WSPÓLNOTA NIEZGODY
Uczelnie publiczne po ustawie Gowina

VANIER OSKARŻONY
Duchowy przewodnik wykorzystywał kobiety

BEATA FUDALEJ
Aktor jako krzyżówka motyla i nosorożca

REJS Z DARWINEM
Przez wszystkie wymiary ludzkiego gatunku

Kraków 8 marca 2020 nr 10 (3687) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Wirus paniki i zdrowy rozsądek

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
10

REKLAMA

Albatros travel
Skandynawska jakość od 1986 r.

Rezerwacja +48 22 128 48 81
albatros.pl

11 dni, 10 598 zł

California Dreamin'

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Los Angeles. **Dz. 2** Los Angeles – San Diego. **Dz. 3** Palm Springs. **Dz. 4** Las Vegas. Las Vegas show z kolacją (dodatkowo płatne). **Dz. 5** Death Valley – Visalia. **Dz. 6** Park Narodowy Sequioa – Modesto. **Dz. 7** Sausalito – San Francisco. Zwiedzanie miasta m.in. Chinatown, most Golden Gate, wzgórza Twin Peaks. **Dz. 8** San Francisco – 17-Mile Drive – Monterey – Carmel – Pismo Beach. **Dz. 9** Pismo Beach – Santa Barbara – Getty Center/Villa i Los Angeles. **Dz. 10** Los Angeles. Wylot do Polski. **Dz. 11** Przylot do Warszawy.

Wylot z Warszawy 20/09 2020

6 dni, 4 998 zł

Bergen i norweskie fiordy

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot do Oslo. Przejazd do Hamar. **Dz. 2** Hamar - Lillehammer – Droga Trolli-Geiranger. Skocznia w Lillehammer, dolina Gudbrandsdalen. **Dz. 3** Geiranger – Hellesyl – Sognefjorden – Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie z Geiranger do Hellesylt. **Dz. 4** Bergen – Gudvangen - Flåm – Geilo. Spacer po Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie między Gudvangen i Flåm. **Dz. 5** Geilo – Oslo. Zwiedzanie Oslo, ulica Karl Johan i park Frognerparken. **Dz. 6** Czas wolny. Wylot z Oslo do Warszawy.

Wylot z Warszawy 24/07 2020

12 dni, 3 798 zł

Karpacki kalejdoskop – Węgry, Rumunia, Mołdawia, Ukraina

Program wycieczki: Dz. 1 Wyjazd z Polski. Przyjazd do Miszkolca. **Dz. 2** Miszkolc. Tokaj. **Dz. 3** Debreczyn. Syhot Marmaroski w Rumunii. **Dz. 4** Wesoły Cmentarz w Sapancie. Drewniane monastyry w Barsanie i Bogdan Vodzie. Przyjazd do Suczawy. **Dz. 5** Klasztory w miejscowościach Moldovica, Voronet i Humor. **Dz. 6** Suczawa. Jassy. Przyjazd do Kiszyniowa. **Dz. 7** Kiszyniów – stolica Mołdawii. Cricova – zwiedzanie piwnic i degustacja wina dla chętnych. **Dz. 8** Stary Orgiejów – klasztory w skałach. Monastyry w Curchi, Tipovie i Saharnie. **Dz. 9** Twierdza Soroca. Bielce. Przyjazd do Czerniowców na Ukrainie. **Dz. 10** Czerniowce. Twierdza Chocimska. Kamieniec Podolski. Przyjazd do Iwano-Frankowska. **Dz. 11** Iwano-Frankowsk. Lwów. **Dz. 12** Żółkiew. Powrót do Polski.

Wyjazdy z Warszawy i Katowic 11/06 lub 12/09 2020

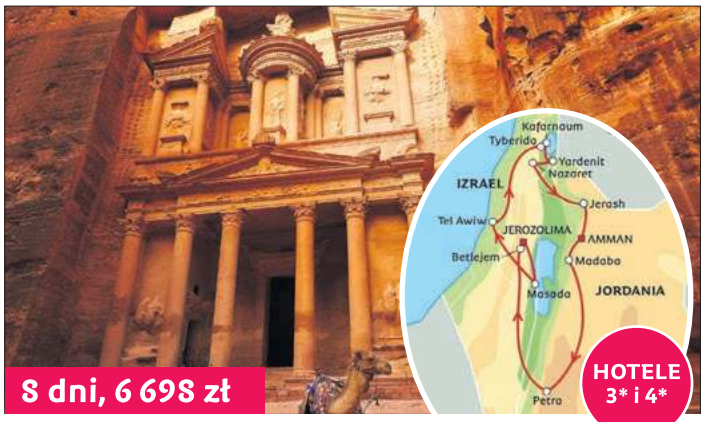

8 dni, 6 698 zł

Izrael z Jordanią w 8 dni

Skarby Ziemi Świętej i relaks nad Morzem Martwym. Jerozolima – miasto tradycji, religii i historii. Podróż kulturowa do Petry

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Tel Awiwu. **Dz. 2** Jezioro Galilejskie. Kafarnaum. Kibuc Shaar Hagolan. Nazaret. **Dz. 3** Yardenit – miejsce chrztu Jezusa. Przejazd do Jordanii. Jerash – „rzymskie miasto". **Dz. 4** Petra wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Amman. **Dz. 5** Wjazd na Górę Nebo. Madaba – mozaiki bizantyjskie. Przejazd mostem Allenby do Izraela. Jerycho - Góra Kuszenia. **Dz. 6** Jerozolima – Brama Jaffy, „Ściana płaczu", Wzgórze Świątynne, Droga krzyżowa - Via Dolorosa, Bazylika Grobu Świętego, Wieczernik. **Dz. 7** Betlejem – Kościół Narodzenia Pańskiego. Kąpiel w Morzu Martwym. Masada. **Dz. 8** Wylot z Tel Awiwu do Warszawy.

Wylot z Warszawy 08/11 2020

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Warszawa, ul. Marszałkowska 74
Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107
Kod reklamy: TP03

KS. ADAM

Boniecki: *Właściwi i niewłaściwi*

Duchownych, którzy chcieli ratować Kościół przed poczynaniami papieży, historia zna wielu. W naszej świeżej pamięci na pierwszy plan wysuwa się zmarły w 1991 r. abp Marcel Lefebvre, który w imię ratowania tradycji doprowadził do schizmy. Uważał, że on i jego ruch płyną w nurcie tradycji Kościoła, Rzym zaś po Soborze Watykańskim II popłynął jakimś bocznym kanałem bez ujścia. Emerytowany arcybiskup Karagandy Jan Paweł Lenga też chce ratować Kościół przed poczynaniami papieża Franciszka – przepraszam, Bergoglia (tak zawsze mówi o Franciszku). Szkoda, że osadzony w Licheniu zesłaniec – jak sam się określa – nie zna powiedzenia wielkiego jezuickiego teologa Henriego de Lubaca, że „tylko wrogowie Kościoła pragną, aby się nie zmieniał". To zdanie cytuje i problem zmian w Kościele omówił Zbigniew Nosowski w medytacji na pierwszy tydzień Wielkiego Postu („Najlepiej nic nie zmieniać, czyli jakoś to będzie" w „TP" 9/2020 oraz na powszech.net/medytacje-nosowski; w tym numerze publikujemy kolejny odcinek). Podejrzewam jednak, że abp Lenga nie zaszczyca lekturą naszego pisma. Zresztą, wsłuchując się w jego liczne wywiady zamieszczane na YouTubie, odnoszę wrażenie, że nie czyta tekstów papieża Franciszka, z którym wciąż polemizuje. Tymczasem biskup ordynariusz diecezji włocławskiej, na której terenie zamieszkuje arcybiskup-emeryt – bp Wiesław Mering – na podstawie KPK (kan. 392 i 763) zakazał arcybiskupowi (poprosił o wstrzymanie się od) publicznych wystąpień medialnych, głoszenia kazań i publicznych celebracji. Sprowokowany tym zakazem spór kompetencyjny – abp Lenga twierdzi, że bp Mering nie jest władny czegokolwiek mu zakazać – zostawmy kanonistom.

Mnie zaintrygował fragment listu, w którym biskup włocławski uzasadnia swoją decyzję (list upublicznił adresat). Wyraża tam przekonanie, że abp Lenga: „nie chce się chyba stać odpowiednikiem księdza Kazimierza Sowy i ks. Wojciecha Lemańskiego". To zdanie dziwnie mi się zrymowało z relacją prof. Dariusza Stoli (rozmowa w „TP" 9/2020, dostępna także na powszech.net/dstola) o zarzutach stawianych mu przez wiceministra kultury Jarosława Sellina, mianowicie o zarzucie „zapraszania niewłaściwych duchownych, zresztą w związku ze spotkaniem z ks. Bonieckim". Tak więc w oczach wiceministra kultury duchowni dzielą się na „właściwych" i „niewłaściwych", w oczach biskupa włocławskiego zaś uosobieniem zła, które powinno budzić zgrozę, są dwaj wymienieni po nazwisku księża. Nie są oni suspendowani, ich książki nie są na indeksie, są podporządkowani biskupom i wykonują kapłańskie obowiązki, ale według biskupa Meringa z pewnością i oni są „księżmi niewłaściwymi".

Bardziej niż moje nazwisko w ustach ministra Sellina zaskoczyły mnie nazwiska tych księży w urzędowym liście biskupa. Choć nie użył określenia „niewłaściwi", z kontekstu wynika, że ci dwaj księża „właściwi" nie są. Wiem, że podział na „właściwych" i „niewłaściwych" księży nie jest niczym nowym. Dla prałatów z Kongregacji Nauki Wiary „niewłaściwym" księdzem był zmarły w 1995 r. dominikanin o. Yves Congar. W książce „Teolog na wygnaniu. Dziennik 1952-1956" (W drodze 2008) opisał, na czym to w jego życiu polegało. Cóż, Congar potem się okazał jedną z ważniejszych postaci Soboru Watykańskiego II i w roku 1994 został mianowany kardynałem. Dla jednych „niewłaściwy", dla innych nigdy nie przestał być mistrzem. Albo błogosławiony ks. Jerzy Popiełuszko: słyszałem biskupa, który wyraźnie dawał do zrozumienia, że to ksiądz jak najbardziej „niewłaściwy".

Wiele przykładów pokazuje, że wielkiej ostrożności wymaga – jeśli w ogóle jest w Kościele dopuszczalne – wpisywanie księży (i nie tylko) do kategorii „właściwych" lub „niewłaściwych". Nie twierdzę, że wszyscy księża są w porządku ani że w Kościele nie są potrzebne środki dyscyplinujące duchownych. Ale jednak nie przez przylepianie etykietek: „ksiądz właściwy", „ksiądz niewłaściwy". Może jest to sposób przyjęty w Ministerstwie Kultury – ale w Kościele? ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

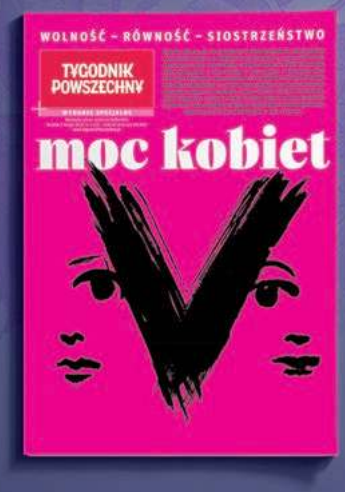

„Tygodnik Powszechny" i Spółdzielnia „Ogniwo" zapraszają na dyskusję

BEZ TABU, BEZ LUKRU

Miesiączka, poród i trudne macierzyństwo. Niepełnosprawność, molestowanie, przemoc domowa i stereotypy. Obok kwestii trudnych również te, które opisują doświadczenie kobiecej wspólnoty i siostrzeństwa.

W dyskusji wokół tematów poruszanych w wydaniu specjalnym „Moc kobiet" udział wezmą **Justyna Bargielska, Justyna Dąbrowska** i **Anna Goc**. Rozmowę poprowadzi **Ewelina Burda**.

Zapraszamy w **poniedziałek 9 marca o godz. 19.00** do Spółdzielni „Ogniwo" przy ul. Paulińskiej 28 w Krakowie.

Wydanie specjalne do nabycia tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na **powszech.net/mockobiet**

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
ogniwo

22 Ciężar klucza
DOROTA BIDZIŃSKA
Dla tych, którzy spędzili lata na ulicy, dom jest marzeniem, ale też wyzwaniem. Sąsiedztwo osób o podobnych doświadczeniach pozwala łagodniej przejść przez zmianę.

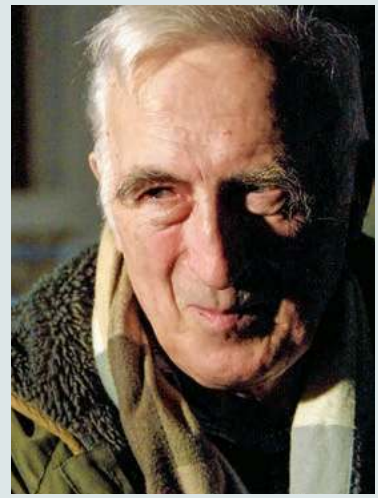

36 Wielka próba
WOJCIECH BONOWICZ
Jean Vanier i jego duchowy mentor stworzyli wokół siebie coś w rodzaju sekty, która pozwalała im na zaspokajanie pragnień seksualnych kosztem kontrolowanych przez nich kobiet.

32 Wspólnota niezgody
RYSZARD KOZIOŁEK
Jedynym sposobem, aby rząd nie mógł władać uniwersytetami, jest włączenie uczelni w służbę społeczną, czyli przekonanie obywateli, że pracują dla nich.

46 Dzień z fanami Trumpa
MARTA ZDZIEBORSKA Z PHOENIX (ARIZONA, USA)
Gdy Demokraci walczą w pocie czoła o prezydencką nominację, Donald Trump jeździ na kolejne wiece wyborcze. Niektórzy kochają go bez względu na wszystko.

66 Boks, waga ciężka
ROZMOWA Z BEATĄ FUDALEJ, AKTORKĄ:
W aktorstwie nic nie przychodzi łatwo, swoje trzeba wypłakać. Szybko to można frytki usmażyć.

78 Gatunek ludzki
ŁUKASZ KWIATEK
W pięć lat opłynął Ziemię. Wyruszył w rejs jako geolog, ale późnym plonem tej wyprawy była jego teoria, która zrewolucjonizowała wiedzę o pochodzeniu człowieka.

TOMASZ ADAMOWICZ / FORUM // GRZEGORZ KOZAKIEWICZ / FORUM // MARTA ZDZIEBORSKA DLA „TP" // DOMENA PUBLICZNA // DAREK SENKOWSKI DLA KLK AGENCJA AKTORSKA // BEATA ZAWRZEL / REPORTER

6 Migranci i uchodźcy patrzą w stronę Europy
PAWEŁ PIENIĄŻEK

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Ciężar klucza
DOROTA BIDZIŃSKA

26 Nadleśnictwo Erewań
MICHAŁ KSIĄŻEK: *Władcy lasów kontra obrońcy przyrody*

28 Klasa i kasa MICHAŁ OKOŃSKI: *Pomyślne zakończenie kryzysu wokół Muzeum POLIN wiąże się z utratą resztek wiarygodności ministrów Glińskiego i Sellina*

OPINIE

32 Wspólnota niezgody
RYSZARD KOZIOŁEK

WIARA

36 Wielka próba
WOJCIECH BONOWICZ

40 Swary cmentarne
MARCIN CHODUŃ: *Mieszkańcy Brzezin domagają się obniżki opłat za pochówek na kościelnym cmentarzu*

42 Ksiądz Zieja – i my JERZY SOSNOWSKI *o filmie „Zieja”*

45 Tajemnica ludzi opuszczających Kościół
ZBIGNIEW NOSOWSKI: *Rekolekcje wielkopostne: polskie pokusy (2)*

ŚWIAT

46 Dzień z fanami Trumpa
MARTA ZDZIEBORSKA

TEMAT TYGODNIKA

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

12 Wirus paniki i zdrowy rozsądek
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, MAREK RABIJ
Czy można dziwić się Polakom, że podczas ostatniego lutowego tygodnia zaczęli wykupywać konserwy, kasze, makarony i zupki w proszku?

16 Miasto w czasach koronawirusa
FRANCESCO M. CATALUCCIO Z MEDIOLANU
Jak w najmroczniejszych chwilach dziejów ludzkości najlepszą obroną przed paniką jest ironia. Byłoby do śmiechu, gdyby nie umierali ludzie.

FELIETONY
31 ANNA DZIEWIT-MELLER **65** ANDRZEJ STASIUK
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: Komputerowa wizualizacja komórek wirusa SARS-CoV-2 / Giovanni Cancemi / Adobe Stock Photo
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

50 Żeń-szeń w walce z wirusem
ROMAN HUSARSKI Z SEULU: *Koronawirus SARS-CoV-2 na Półwyspie Koreańskim*

52 Irlandzka wiosna
PATRYCJA BUKALSKA: *Do gry wróciła partia Sinn Féin*

54 Tajemnica wołyńskiego jeziora PAWEŁ PIENIĄŻEK

HISTORIA

58 Trzy lata nadziei BARTŁOMIEJ NOSZCZAK: *80 lat temu, wiosną 1940 r., polscy oficerowie więzieni w Związku Sowieckim przestali odpisywać na listy*

NAUKA

62 Burzliwe życie gwiazdy
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Betelgeza żyła szybko i umrze młodo, przechodząc w fazę supernowej*

KULTURA

66 Boks, waga ciężka
ROZMOWA Z BEATĄ FUDALEJ

70 Kosmiczna osobliwość
MONIKA OCHĘDOWSKA *o nowej płycie Julii Marcell*

72 Zgroza nagłych cisz
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Krzysztof Garbaczewski wszedł w nową fazę twórczości*

74 Pejzaże we mgle
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Biały, biały dzień”*

76 Opowieść, która jest życiem
LEKTOR *o książce „Adele” Piotra Morgenbessera*

ZMYSŁY

78 Gatunek ludzki
ŁUKASZ KWIATEK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Cyfrowa epidemia
Według służb USA tysiące kont w mediach społecznościowych rozpowszechnia fałszywe doniesienia o koronawirusie SARS-CoV-2 – *o zmasowanej i skoordynowanej dezinformacji piszą* AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI powszech.net/wirusfalsz

Idlib: cywile w potrzasku [Podkast Powszechny]
Trudno oszacować liczbę ofiar. Przynajmniej 900 tys. osób uciekło z domów – *o sytuacji w północno-zachodniej Syrii, gdzie prowadzą ofensywę wojska al-Asada i ich rosyjscy sojusznicy, reporter* PAWEŁ PIENIĄŻEK *opowiada* MARCINOWI ŻYLE powszech.net/podkast-idlib

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

COSTAS BALTAS / REUTERS / FORUM

MIGRANCI I UCHODŹCY PATRZĄ W STRONĘ EUROPY

Żądając od Unii poparcia swojego zaangażowania w wojnę syryjską, Turcja ponownie wykorzystała cierpienie najsłabszych.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Afgańczycy, którzy dopłynęli do brzegów greckiej wyspy Lesbos, 28 lutego 2020 r.

Azad mieszka w Turcji niemal 6 lat, czyli prawie jedną piątą swojego życia. Odkąd tu trafił, rozważał, by – jak setki tysięcy innych ludzi w ostatnich latach – ruszyć w stronę Grecji i dalej w głąb kontynentu. W minionym tygodniu premier Recep Tayyip Erdoğan (oficjalnie skarżąc się na brak wsparcia Europy właśnie w kwestii 3,7 mln uchodźców pod opieką Ankary, nieoficjalnie – żądając jej poparcia dla tureckich działań w Syrii) ogłosił, że jego kraj nie będzie powstrzymywał Syryjczyków i innych przed wyjazdem. A myśli o Europie ponownie zaprzątnęły głowę Azada. M.in. dlatego prosi, by nie podawać jego prawdziwego imienia.

– Wciąż się waham, czy iść, bo sytuacja jest niejasna. Poczekam i zobaczę, czy naprawdę da się dostać do Europy – mówi „Tygodnikowi" Azad w dniach, gdy sąsiednia Grecja rozmieściła wojska przy granicy i ogłosiła, że na miesiąc zawiesi procedury azylowe i deportuje tych, którzy dostaną się do kraju nielegalnie.

W Syrii tureckie władze ogłosiły kontrofensywę przeciwko armii rządowej. Doszło

do tego trzy dni po nalocie dokonanym przez lotnictwo syryjskie i rosyjskie w prowincji Idlib w północno-zachodniej części kraju. W jego wyniku zginęło przynajmniej 33 tureckich żołnierzy. To największe straty w pojedynczym ataku, jakie poniosła turecka armia, odkąd zaangażowała się w syryjską wojnę. Ankara obarczyła winą Damaszek, nie wspominając o Rosji, z którą nie chce wdawać się w konflikt. A jej armia zestrzeliła dwa syryjskie samoloty i zbombardowała dziesiątki celów (miało zginąć ponad 140 żołnierzy i wspierających ich bojowników). Od trzech miesięcy wojsko prezydenta Syrii Baszara al-Asada prowadzi tam ofensywę, próbując odbić jeden z ostatnich bastionów opozycji. W prowincji stacjonuje kilka tysięcy tureckich żołnierzy, którzy wspierają antyrządowe ugrupowania. Ankara obawia się, że jeśli Idlib upadnie, nawet 4 mln mieszkańców prowincji będzie szukało schronienia w sąsiedniej Turcji.

Turcja, członek NATO, zwróciła się o pomoc do sojuszu. Ten zapewnił, że będzie ją wspierał, i wyraził solidarność. Dla Erdoğana to jednak za mało. Dlatego postanowił wywrzeć presję na Unię Europejską, używając do tego uchodźców.

Azad nie z własnego wyboru opuścił Syrię. Uciekał przed Państwem Islamskim, które w 2014 r. zaatakowało jego miasto Kobanê. Turcja była jedynym miejscem, w którym mógł szukać schronienia. Przybył z matką, siostrą i siostrzenicą. Nie wybrał się do Europy, bo musiał zająć się rodziną. Miał trochę szczęścia – znalazł pracę w organizacji pomocowej i dzięki temu powodzi się im nie najgorzej. Niemniej z myśli o wyjeździe do Europy nigdy nie zrezygnował. Złożył dokumenty do ONZ, by zostać objętym programem przesiedlenia i trafić do innego kraju.

– Czekam na decyzję, ale jeśli granica zostanie otwarta, będzie to najlepsza okazja, by opuścić Turcję – mówi Azad. Gdy rozmawiamy przez telefon, siedzi w domu wraz z czterema źle opłacanymi młodymi robotnikami. Syryjczycy w Turcji często pracują na czarno i za grosze. Trudno o pracę, ceny rosną, a wartość liry tureckiej spada. Przyszłość nie daje nadziei, więc wielu uchodźców boi się wrócić do kraju. Azad sądzi, że większość Syryjczyków w Turcji przy pierwszej okazji spróbuje wyjazdu do Europy. ©

Współpraca: RASZWAN NABO

Małżonkowie w grze o prezydenturę

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Przesłanie sobotniej konwencji Małgorzaty Kidawy-Błońskiej było proste: pokażemy ci, obywatelu, co cię czeka, jeśli nadepniesz na odcisk władzy. Dlatego wystąpili na niej m.in. kierowca seicento, który zderzył się z kolumną premier Beaty Szydło w Oświęcimiu, a także ojciec zmarłego po torturowaniu przez policjantów Igora Stachowiaka. Choć wplątanie w politykę tej tragicznej śmierci było zgrzytem, nie zmienia to faktu, że konwencja Kidawy była najlepszą imprezą Platformy w ostatnich latach. Co prawda sama kandydatka jeszcze nie błyszczy, ale już widać pierwsze efekty pracy ekspertów od wizerunku, jest wyraźnie pewniejsza niż przed wyborami sejmowymi. Równocześnie trwa operacja przybliżania Kidawy do ludzi – arystokratyczne korzenie są skrywane, za to wybijane jest wychowanie w Ursusie, dawnej robotniczej dzielnicy Warszawy. Elementem ocieplającym wizerunek było także emocjonalne, osobiste wystąpienie męża.

Podobny chwyt w jeszcze mocniejszym wydaniu zastosował sztab Władysława Kosiniaka-Kamysza. Na konwencji wyborczej PSL w mateczniku PiS – na Podkarpaciu – po raz pierwszy wystąpiła jego żona. Paulina Kosiniak-Kamysz przedstawiła swój program dla Pierwszej Damy, co było ewidentnym uderzeniem w milczącą przez całą kadencję Agatę Dudę. Władysław Kosiniak-Kamysz konsekwentnie prezentuje się jako kandydat środka. Z jednej strony chwali transfery socjalne wprowadzone przez PiS i tak jak PiS domaga się zmian w sądownictwie. Z drugiej zarzuca prezydentowi łamanie Konstytucji i krytykuje rząd za sytuację w służbie zdrowia.

W Rzeszowie pokazał nie tylko, że potrafi działać z rozmachem porównywalnym z PiS i PO. Przede wszystkim udowodnił, że jest pierwszym szefem PSL w historii III RP, który nie startuje z obowiązku, tylko naprawdę chce zostać prezydentem. ©℗

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Kamienne wybryki, czyli fiaska polskich rocznic

LOS BYWA NAPRAWDĘ IRONICZNY. Władze państwa, które tak wielką wagę przywiązują do polityki historycznej, że za cenę międzynarodowej awantury nowelizują ustawę o IPN albo rozpędzają dyrekcje świetnych muzeów, kiedy przychodzi do świętowania rocznic, okazują się kompletnie nieprzygotowane.

Obchodzone w 2018 r. stulecie niepodległości nie pozostawiło po sobie właściwie żadnego trwałego śladu (nie licząc może jubileuszowego paszportu – tego z napisem „Bóg, honor, ojczyzna"), a zbliżające się 10-lecie katastrofy smoleńskiej upływa pod znakiem napięć między Kancelariami Prezydenta i Premiera oraz niezręczności dyplomatycznych, na zimno wykorzystywanych przez Rosję. Na pięć tygodni przed rocznicą nie wiadomo, kto pojedzie na miejsce katastrofy, o wielokrotnie zapowiadanym odzyskaniu wraku tupolewa czy stworzeniu jakiejś niekabaretowej odpowiedzi na raport Millera nie wspominając.

Nie lepiej jest ze stuleciem bitwy warszawskiej. W minionym tygodniu rozstrzygnięto wprawdzie konkurs na projekt pomnika (zwycięska praca, 23-metrowy obelisk skręcony na kształt wiertła, dziwnie przypomina statuetkę z albumu „Presence" zespołu Led Zeppelin; „W Warszawie TYLKO Łuk Triumfalny. Nie zacierać pamięci narodowej takimi NIC niemówiącymi kamiennymi wybrykami" – komentuje na Twitterze nieoceniona Krystyna Pawłowicz), ale o muzeum, które miało powstać w Ossowie, wiadomo jedynie, że pracownia architekta Czesława Bieleckiego za blisko 3,4 mln zł poprawi (czytaj: zmniejszy nieco) własny projekt, który w 2017 r. wygrał rozpisany z zaledwie dziesięciodniowym terminem konkurs na koncepcję placówki. Żeby dotrzymać obietnic dwóch kolejnych szefów MON i otworzyć muzeum na rocznicę, nad Wisłą musiałby się zdarzyć kolejny cud.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

MATERIAŁY KONKURSOWE

Sędzia Tuleya na postrach

PROKURATURA KRAJOWA żąda uchylenia immunitetu sędziemu Igorowi Tulei – jest to jeden z pierwszych przykładów zastosowania tzw. ustawy kagańcowej. Przyczyną postępowania przeciwko sędziemu znanemu z wystąpień przeciwko polityce obecnej władzy jest domniemane uchybienie, jakiego dopuścił się w 2017 r. w procesie, w którym nakazał wznowić umorzone postępowanie w sprawie naruszenia prawa w grudniu 2016 r., gdy odbyła się farsa obrad kadłubowego Sejmu w sali kolumnowej. Ogłaszając swój wyrok Tuleya nie ujawnił żadnych faktów, które słusznie chroni tajemnica śledztwa, lecz jedynie krętactwa czołowych polityków: podał mianowicie do publicznej wiadomości (na sali były obecne media) sprzeczności w zeznaniach posłów PiS, którzy próbowali zamydlić fakt, iż tamto posiedzenie było kpiną z parlamentarnych procedur i zostało urządzone tak, by opozycja nie mogła w nim wziąć udziału. Interes publiczny w ujawnieniu, jak bardzo ważni posłowie ignorują zasady proceduralnej demokracji, jest oczywisty i fakt, że chce się teraz za to Tuleyę ścigać, oznacza, że chodzi nie tyle o dbałość o respektowanie tajemnic śledztwa, ile o zemstę na niepokornym sędzim i zastraszenie jego potencjalnych naśladowców.

©℗ PAWEŁ BRAVO

300 milionów nie dla resortu Ziobry

NORWEGIA WYCOFUJE POMOC dla Ministerstwa Sprawiedliwości. Chodzi o środki z Europejskiego Obszaru Gospodarczego zwane potocznie grantami norweskimi. Na stronach ministerstwa brak informacji, na co miały być przeznaczone (niektóre zakładki nadal są „ślepe" i czytamy w nich: „tutaj ciekawa treść"), jednak z komunikatu władz w Oslo wynika, że chodzi o kwotę prawie 300 mln zł. Decyzja jest „wyraźnym sygnałem dla polskich władz, który świadczy o trosce norweskiego rządu o rozwój praworządności i niezależności sądów w Polsce" – stwierdził przedstawiciel norweskiego MSZ. O wstrzymanie współpracy apelowało norweskie stowarzyszenie sędziów, którego przedstawiciele w styczniu brali udział w Marszu Tysiąca Tóg, czyli proteście przeciwko forsowanym przez resort Zbigniewa Ziobry reformom. Który to resort w swym oświadczeniu wskazuje, że także Norwegia ma „problemy z praworządnością". Chodzi zdaniem autorów dokumentu o wyroki zatwierdzające odbieranie praw rodzicielskich polskim rodzicom przez norweskie instytucje opiekuńcze. „Będziemy bronić polskie dzieci i ich rodziców" – grzmi w reakcji na utracone miliony ministerstwo.

©℗ PAWEŁ BRAVO

KRAJ W SKRÓCIE

RONDO KOZŁOWSKIEGO
W Krakowie, gdzie mamy już m.in. ulice Turowicza, Pszona czy Tischnera, swoje rondo (tuż przy dworcu) będzie miał kolejny członek „Tygodnikowej" rodziny: wieloletni zastępca redaktora naczelnego „TP", senator i szef MSW w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, Krzysztof Kozłowski.

PRAWKO PIRATA
Rondem nie pojedzie z pewnością 35-latek z powiatu opatowskiego, który – dzięki wpływającym na mail świętokrzyskiej policji nagraniom dokumentującym popełnione przez niego wykroczenia – otrzymał 259 punktów karnych i stracił prawo jazdy.

WINA TUSKA
A skąd się biorą piraci? Zdaniem Jarosława Kaczyńskiego to „Donald Tusk doprowadził do zniszczenia jakichkolwiek zasad przyzwoitości w polskim życiu publicznym i wielu innych sprawach, które się właśnie z tą dziedziną łączą".

POPRAWKI SENATU
Rzeczywistość z opozycją jest jednak bardziej skomplikowana. Blisko 2 miliardy na zwalczanie chorób onkologicznych, zwiększenie o 4,6 mld subwencji oświatowej i dodatkowy miliard na walkę ze smogiem to najważniejsze z ponad stu poprawek zdominowanej przez nią izby wyższej do ustawy budżetowej. W głosowaniu przepadł wniosek PiS o przyjęcie budżetu na 2020 r. bez poprawek.

LICZBA TYGODNIA

2400

złotych – tyle według GUS wynosiła pod koniec 2018 r. najczęściej wypłacana w Polsce pensja brutto. Dawało to ok. 1800 zł na rękę. Średnie wynagrodzenie brutto sięgało w tym czasie 5003,78 zł.

Najpierw klimat, potem rozwój

MARCIN ŻYŁA

Od niemal pół wieku trwa w Wielkiej Brytanii spór, jak i gdzie w gęsto zaludnionej południowo-wschodniej części kraju (Londyn i okolice to ponad 20 mln ludzi) zwiększyć przepustowość transportu lotniczego. Właśnie pojawiło się trzecie pytanie: czy w ogóle to robić.

27 lutego Najwyższy Sąd odwoławczy Anglii i Walii uznał za nielegalną planowaną budowę trzeciej drogi startowej na londyńskim lotnisku Heathrow. Powód? Podejmując o niej decyzję, rząd nie wziął pod uwagę międzynarodowych zobowiązań ws. walki ze skutkami zmiany klimatu. To jeszcze nie ostateczny wyrok na Heathrow (gabinet Borisa Johnsona może uchwalić inną ustawę środowiskową), jednak w czasie, gdy Brytyjczycy coraz krytyczniej patrzą na wpływ lotnictwa na poziom

CHRIS J. RATCLIFFE / GETTY IMAGES

emisji gazów cieplarnianych, oraz trzy tygodnie po tym, gdy premier obiecał „zeroemisyjną" gospodarkę w 2050 r., upieranie się przy trzecim pasie startowym może być dla polityków i biznesu coraz trudniejsze. Gdyby z niej ostatecznie zrezygnowano, byłaby to największa inwestycja na Zachodzie wstrzymana ze względu na zmianę klimatu.

Najciekawsze w tej sprawie są jednak pytania o sens „paradygmatu rozwoju" w erze lęku o planetę (masowy ruch lotniczy w aglomeracji londyńskiej obsługują dwa lotniska miejskie, Heathrow i City, oraz cztery podmiejskie) oraz o to, komu tak naprawdę powinno służyć lotnisko. Aż jedna trzecia z ok. 80 mln pasażerów Heathrow tylko się na nim przesiada. Londyńczycy coraz śmielej pytają: dlaczego cierpieć ma na tym nasze miasto? ©℗

ADNAN ABIDI / REUTERS / FORUM

Rodzina jednej z ofiar zamieszek w New Delhi podczas pogrzebu, 29 lutego 2020 r.

Narendra Modi, premier pogromowy

PRAWIE 50 ZABITYCH, kilkuset rannych, spalone domy, sklepy, meczety – to rachunek najgroźniejszych od lat religijnych pogromów, do jakich doszło w stolicy Indii. Większość ofiar to muzułmanie, którzy w Indiach, rządzonych od sześciu lat przez hinduskiego nacjonalistę Narendrę Modiego, czują się już nie tyle obywatelami gorszej kategorii, co niemile widzianymi krewnymi (w 2002 r., gdy był premierem stanu Gudżarat, w rozruchach zginęło tam ponad tysiąc muzułmanów, a Modiego oskarżano, że nie kiwnął palcem, by przerwać pogromy). Jesienią, po zniesieniu autonomii Kaszmiru (jedynego stanu, w którym muzułmanie stanowią większość), podczas sporządzania rejestru obywateli we wschodnim Assamie urzędnicy Modiego wykreślili z niego prawie 2 mln muzułmanów, którzy nie potrafili udokumentować, że żyją w Indiach legalnie. W grudniu 2019 r. parlament przyjął prawo ułatwiające nadawanie obywatelstwa uchodźcom wyznania hinduskiego, sikhijskiego czy buddyjskiego. Muzułmanie i przeciwnicy Modiego, zarzucający mu, że zamierza przerobić świeckie Indie na państwo religijne, hinduskie, wszczęli protesty. W lutym partia Modiego przegrała wybory w stołecznym stanie Delhi, a za winnych porażki uznała muzułmanów. „Jeśli policja nie zrobi z nimi porządku, zrobimy to sami" – zapowiedział jeden z towarzyszy Modiego, a hinduscy bojówkarze uznali to za wezwanie do pogromów.

Pogromy w Delhi zbiegły się z wizytą w Indiach amerykańskiego prezydenta Donalda Trumpa, widzącego w Modim bratnią duszę. Zapytany przez dziennikarzy o pogromy odparł, że jest to sprawa Indii i że nie zamierza się wtrącać.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

#MeToo: Weinstein winny

ŁAWA PRZYSIĘGŁYCH W NOWYM JORKU uznała hollywoodzkiego potentata filmowego Harveya Weinsteina za winnego napaści seksualnej na asystentkę Mimi Haleyi w 2006 r. i gwałtu trzeciego stopnia na innej kobiecie w 2013 r. Werdykt zapadł w poniedziałek 24 lutego. Z zarzutów agresywnej napaści na tle seksualnym i gwałtu pierwszego stopnia (groziłoby mu dożywocie) został oczyszczony. Wyrok zostanie ogłoszony 11 marca.

Silence Breakers, grupa kobiet, które oskarżyły publicznie Weinsteina, tuż po rozprawie wydała oświadczenie: „Choć rozczarowujące jest to, że dzisiejszy werdykt nie zapewnia prawdziwej, pełnej sprawiedliwości, na którą zasługuje tak wiele kobiet", to „Harvey Weinstein będzie teraz na zawsze znany jako skazany seryjny drapieżnik". Nie można mieć wątpliwości, że w kontekście całego ruchu #MeToo jest to wydarzenie przełomowe i ma znaczenie symboliczne.

„Bez względu na to, jak potężny jest człowiek, bez względu na to, jaką ilością błota lub brudu obrzuca się tych, którzy mają odwagę wystąpić, jesteśmy teraz w nowej epoce. Era #MeToo zaczęła na szczęście demaskować systemy nadużywania władzy, a kobiety mogą teraz zostać usłyszane i traktowane wiarygodnie" – mówiła Michelle Simpson Tuegel, adwokatka reprezentująca ofiary.

©℗ EWELINA BURDA

S. BARBARA CHYROWICZ:

Zgoda na samobójstwo wspomagane

ARTUR SPORNIAK: Niemiecki Trybunał Konstytucyjny orzekł, że istnieje prawo do samostanowienia o własnej śmierci i skorzystania z pomocy osób trzecich.

S. BARBARA CHYROWICZ: Przepis prawny nie staje się automatycznie prawem moralnym. Trudno mówić o moralnym prawie do czegoś, co od nas nie zależy. Śmierć spotka każdego z nas niezależnie od naszego chcenia, samostanowienie o własnej śmierci jest więc w istocie jedynie dramatyczną decyzją o skróceniu życia.

Jakie niebezpieczeństwa to stwarza?

Jeśli takie prawo wejdzie w życie, lekarze będą mieli obowiązek pomóc w samobójstwie. Nie będzie miało to nic wspólnego ani z leczeniem, ani z uśmierzaniem bólu, czyli z powołaniem lekarskim. Zapewne część lekarzy odmówi, prawodawca będzie musiał jakoś tę kwestię rozwiązać. Biskupi z Kościołów katolickiego i ewangelickiego zwrócili też uwagę, że świadomi istnienia takiego prawa pacjenci mogą się poczuć subtelnie naciskani do skorzystania z jego zapisów. W społeczeństwie, które preferuje silnych, zdrowych i produktywnych, słabi i chorzy mogą się poczuć zbędnym balastem.

Biskupi stwierdzili także, iż jest to „ingerencja w naszą kulturę". Czy przeżywamy kulturową rewolucję, skoro z badań wynika, że większość Niemców jest za eutanazją?

Odwołanie do kultury jest odwołaniem do sposobu, w jaki rozumiemy wartość ludzkiego życia. Cierpienie i całkowite zdanie się na opiekę innych jawi się człowiekowi w pełni sił jako koszmarna perspektywa. Pytanie jednak, czy w opowiadaniu się za samostanowieniem o własnej śmierci nie kryje się w istocie lęk przed umieraniem, czyli przed czymś, co stanowi integralną część życia. ©℗

IWONA BURDZANOWSKA DLA „TP"

S. BARBARA CHYROWICZ
zajmuje się bioetyką, kieruje Katedrą Etyki Szczegółowej KUL.

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

RS-FOTO / WIKIPEDIA.ORG

ŚMIERĆ REWOLUCJONISTY
W wieku 95 lat zmarł ks. Ernesto Cardenal, poeta, teolog wyzwolenia i były minister edukacji Nikaragui. Pochodził z bogatej rodziny. W młodości zaangażował się w ruch oporu przeciwko prawicowej dyktaturze. W 1965 r. został księdzem. Gdy sandiniści obalili dyktaturę Somozy, objął ministerstwo edukacji w ich rządzie, za co został suspendowany przez Jana Pawła II w 1983 r. Suspensę zniósł Franciszek w 2019 r.

KOŚCIELNA MIZOGINIA
„Przyznaję, że istnieją uprzedzenia, iż nie można kobietom powierzyć większej odpowiedzialności w Kościele, i musimy się ich pozbyć" – powiedział kard. Oswald Gracias w rozmowie z amerykańskim portalem NCR. Metropolita Bombaju i członek papieskiej Rady Kardynałów (K6) przyznał, że „nawrócił się" na sprawę kobiet po wysłuchaniu ich świadectw dotyczących pedofilii w Kościele.

WATYKAN MILCZY
„Do chwili obecnej Nuncjatura nie otrzymała żadnej informacji, że Stolica Apostolska podjęła decyzję o wysłaniu wizytatora apostolskiego w celu zweryfikowania sytuacji w Archidiecezji Gdańskiej" – ogłoszono po tym, jak media podały, że oskarżenie abp. Sławoja Leszka Głódzia o mobbing wobec księży spowodowało reakcję Watykanu. Tymczasem metropolita gdański ogłosił się ofiarą medialnej nagonki i porównał swoją sytuację do męczeństwa św. Pawła.

Polscy biskupi i ofiary z innej planety

ARTUR SPORNIAK

Nasz Kościół to układ dwóch odległych planet: hierarchii i świeckich. Ponieważ ofiary pedofilii należą do tej drugiej planety, są dla biskupów i księży jak ufoludki – wywołują zdziwienie, niedowierzanie, lęk, w najlepszym razie trudności z empatią. A ponieważ sprawcy nadużyć należą do pierwszej planety, dużo łatwiej jest o współczucie dla nich.

Ciągle mamy na to dowody. Kard. Kazimierz Nycz zapytany niedawno o bp. Jana Szkodonia, oskarżonego o kilkuletnie wykorzystywanie seksualne nastolatki, odparł iż „czeka z utęsknieniem", że „to, co sam biskup mówi w swoim oświadczeniu, stanie się faktem" (oznaczać to będzie, że ofiara zmyśla). Z kolei kard. Stanisław Dziwisz w Środę Popielcową w katedrze wawelskiej poinformował o łączności z bp. Szkodoniem, który „ofiarowuje swoje cierpienie i odosobnienie za Kościół krakowski".

W takim kontekście nad zbliżeniem obu planet i ukazaniem w Kościele perspektywy ofiar pracuje Biuro Delegata KEP ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży abp. Polaka. Temu też miały służyć opracowane przez nie materiały na dzień modlitwy i pokuty za grzechy wykorzystania seksualnego małoletnich, obchodzonego w pierwszy piątek Wielkiego Postu. Znalazły się w nich m.in. dwie wersje Drogi Krzyżowej (napisane przez jedną z ofiar i przez Komisję Duszpasterską KEP). Z danych Biura wynika, że w obchody dnia zaangażowało się 26 z 44 diecezji, w tym w 12 wszyscy proboszczowie zobowiązani zostali do odprawienia Drogi Krzyżowej. Ilu sięgnęło po ten tekst – nie wiemy. ©℗

Algorytm: czasem dobry, czasem zły

CZY SZTUCZNA INTELIGENCJA wie, czym jest dobro, a czym zło? Czy też – jak każde narzędzie – jest etycznie neutralna? To jedno z wielu pytań stawianych na watykańskiej konferencji „Dobry algorytm – sztuczna inteligencja: etyka, prawo, zdrowie" (26-28 lutego).

Umiejętność rozumowania i samodzielnego uczenia się komputerów w oparciu o zdobyte doświadczenie to coś więcej niż znane nam drogowe porady i profilowane reklamy w internecie. Sztuczna inteligencja steruje wyborami politycznymi i ocenia wiarygodność kredytową. Potrafi postawić medyczną diagnozę i wydać sądowy wyrok. Uznać, co jest prawdą, a co nie.

Uczestnicy konferencji, zorganizowanej przez Papieską Akademię Nauk, zaapelowali, by tworzący algorytmy kierowali się etyką, a zwłaszcza zasadami przejrzystości, równości, sprawiedliwości, poszanowania prywatności i godności każdego człowieka. Dokument końcowy podpisali m.in. przedstawiciele Stolicy Apostolskiej, Parlamentu Europejskiego i ONZ, a także zarządów Microsoftu i IBM.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

„TAJNE ARCHIWUM WATYKANU" udostępniło historykom dokumenty z czasu pontyfikatu Piusa XII (1939-58). Otwarcie zbioru – planowane na 2015 r. – zapowiedział jeszcze Benedykt XVI. Jednak objętość materiału (16 mln kart) zaskoczyła archiwistów i wydłużyła znacznie jego inwentaryzację. ©℗ EA

KACPER WIERZCHOS, ASTRONOM:

Księżyc w wersji mini

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Wygląda na to, że odkryłeś drugi księżyc Ziemi. Jak to się właściwie robi?

KACPER WIERZCHOS: Pracuję w obserwatorium na Mount Lemmon w pobliżu Tucson w Arizonie. Każdej nocy robimy cztery zdjęcia tej samej porcji nieba i oglądamy w sekwencji. Jeśli jest tam jakaś asteroida albo inny ruchomy obiekt, to na kolejnych zdjęciach ten ruch wyraźnie widać. Gwiazdy się na tych zdjęciach nie ruszają.

TWITTER

W nocy 15 lutego razem z Teddym Pruynem siedzieliśmy przy teleskopie i znaleźliśmy ten obiekt. Nie było w nim nic specjalnego, każdej nocy odkrywamy dziesiątki podobnych. Ale następnego dnia ludzie zaczęli liczyć orbitę tego obiektu, i okazało się, że on jest na orbicie Ziemi. Za kilka miesięcy zejdzie na orbitę słoneczną, ale na razie kręci się wokół Ziemi, a nie wokół Słońca. Wszyscy wiemy, że jest tylko jeden naturalny obiekt na orbicie Ziemi, czyli Księżyc. Dlatego napisałem na Twitterze: „*possible mini-moon*".

Co o nim wiemy?

Wygląda na to, że to jest naturalny obiekt – asteroida o średnicy 2-4 metrów – ale nie możemy jeszcze wykluczyć sztucznego pochodzenia. Tyle że jest mały, a jednocześnie bardzo ciężki, więc nie wiadomo do końca, co by to mogło być. Kontaktowało się z nami wielu astronomów, wiem, że celują w ten obiekt ogromne teleskopy na Hawajach, w Hiszpanii i tutaj, w Stanach, i usiłują otrzymać jego spektrum. Da ono dużo informacji, choć nie opowie całej jego historii. Jestem optymistą i sądzę, że za tydzień będziemy wiedzieli na sto procent, czy to satelita naturalny, czy sztuczny.

To całe medialne zainteresowanie chyba nie jest typowe dla Waszej pracy?

My pracujemy po cichu, w nocy, jak latarnicy. Mamy piękny widok. Ale to ciekawa sensacja, tyle wywiadów i kontaktów – cieszę się z tego powodu.

Jeśli potwierdzi się, że to obiekt naturalny, jak go nazwiecie?

Nie mogę jeszcze powiedzieć. Teraz funkcjonuje nazwa 2020CD3 i na razie niech tak zostanie. ©

KACPER WIERZCHOS *pracuje w Catalina Sky Survey, finansowanym przez NASA obserwatorium, które zajmuje się poszukiwaniami potencjalnie niebezpiecznych dla Ziemi ciał niebieskich.*

KULTURA W SKRÓCIE

NOWE NOMINACJE
Jury Międzynarodowej Nagrody Bookera ogłosiło nazwiska nominowanych. Wyróżnienie przyznawane jest najciekawszym twórcom, których książki zostały w 2019 r. przetłumaczone na język angielski. Na liście znalazły się trzy pozycje znane polskim czytelnikom: „Ósme życie" Nina Haratischwilego, „Serotonina" Michela Houellebecqa oraz „Kentuki" Samanty Schweblin.

NOWA FUNDACJA
Olga Tokarczuk podpisała akt założycielski swojej fundacji. W skład jej rady, poza noblistką, wchodzą reżyserka Agnieszka Holland i dyrektor Wrocławskiego Domu Literatury Irek Grin. Celem fundacji są m.in. działania w dziedzinie ochrony środowiska, praw człowieka i swobód obywatelskich, przeciwdziałanie dyskryminacji oraz wsparcie rozwoju Dolnego Śląska.

TWITTER OLGA TOKARCZUK

NOWE PORZĄDKI
Mary Beard nie została powołana do zarządu British Museum. Kandydaturę słynnej profesorki filologii klasycznej i członkini Akademii Brytyjskiej, znanej w Polsce autorki książek o starożytnym Rzymie oraz manifestu „Kobiety i władza", odrzucono prawdopodobnie ze względu na proeuropejskie poglądy wyrażane otwarcie w mediach społecznościowych. Decyzja została podjęta przy Downing Street pod koniec urzędowania premier Theresy May.

Zmarł „heretyk nauki"

„LEPIEJ SIĘ POMYLIĆ, NIŻ BYĆ NIJAKIM". To motto Freemana Dysona, wizjonera i naukowego heretyka, który zmarł w wieku 96 lat.

Współtworzył termodynamikę kwantową i kwantową elektrodynamikę. Ale jego najważniejszym dziedzictwem może być radosne przeświadczenie, że nauka jest formą buntu. Pisał: „Powinniśmy pokazywać naszym dzieciom naukę jako formę rebelii przeciw biedzie, brzydocie, militaryzmowi i gospodarczej niesprawiedliwości".

Buntował się tak skutecznie, że nigdy nie zrobił doktoratu. Twierdził, że po prostu doskonale się bawił rozwiązując zagadki. „Jesteśmy tak daleko od zrozumienia Wszechświata jak mrówka od pojęcia tabliczki mnożenia" – mówił w wywiadzie udzielonym Karolowi Jałochowskiemu do książki „Heretycy, buntownicy, wizjonerzy".

Fascynowała go inżynieria genetyczna i zjawiska nadprzyrodzone. Pracował nad Projektem Orion – statkiem kosmicznym napędzanym bombami atomowymi. Sugerował, by szukać w kosmosie „sfer Dysona" – otaczających gwiazdy struktur zbudowanych przez obce cywilizacje. Był pionierem badań klimatu i do końca życia, po heretycku, wątpił, czy zmiany klimatyczne są antropogeniczne. ©℗ WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Szczur z NYC

W NOWYM JORKU JEST ICH 2 MILIONY. A życie w wielkiej metropolii zupełnie je odmieniło – jak wynika z ustaleń Arbela Harpaka z Columbia University i współpracowników. Badacze porównali geny szczura wędrownego z Nowego Jorku z genami ich kuzynów z chińskiej prowincji, skąd najprawdopodobniej wywodzi się cały gatunek.

Okazało się, że wśród nowojorskich szczurów rozpowszechniły się specjalne warianty genów wpływające na metabolizm, przemieszczanie się, dietę, a także powstawanie narządów. Co więcej, w sąsiedztwie tych genów doszło u wielkomiejskich szczurów do znaczącego spadku zróżnicowania genetycznego – takie zjawisko biolodzy nazywają „wymiataniem selekcyjnym".

Coś podobnego zaszło w genomie człowieka po udomowieniu bydła, gdy błyskawicznie rozprzestrzeniły się u nas geny pozwalające na trawienie laktozy przez dorosłych – zapewniające łatwy dostęp do pożywnego pokarmu.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK / NATURE.COM

TEMAT TYGODNIKA

WIRUS PANIKI I ZDROWY ROZSĄDEK

Czy można dziwić się, że podczas ostatniego lutowego tygodnia zaczęliśmy wykupywać konserwy, kasze, makarony i zupki w proszku?

MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Koronawirus dotarł do Polski z Włoch. 24 lutego, między godziną dziewiętnastą a dwudziestą. Nie, to nie data pierwszego potwierdzonego przypadku zachorowania na COVID-19 (tę mamy – gdy oddajemy do druku to wydanie „Tygodnika" – nadal przed sobą). Z oczywistych przyczyn nie jest to również moment przeniesienia się wirusa SARS-CoV-2 na pierwszego mieszkańca Polski, bo nie jest go w stanie wyłapać najczulszy nawet test. W poniedziałek 24 lutego choroba z całą siłą uaktywniła się w głównych wydaniach wiadomości.

Jeszcze wcześniej, w weekend, rzeczywistość w dwóch sztandarowych dziennikach – „Wiadomościach" TVP i „Faktach" TVN – była dokładnie taka, do jakiej zdążyliśmy się przyzwyczaić. W sobotę w dwóch pierwszych materiałach telewizja rządowa straszyła „hejterskim atakiem opozycji" w kampanii prezydenckiej, i uspokajała, że „Polska razem z sojusznikami nie zgadza się na okrojenie unijnego budżetu". W niedzielę wiadomością dnia była Eurowizja oraz informacja, że „polska gospodarka szybko rośnie".

W TVN w sobotę mówiono najpierw o biskupach, by później przejść do kampanii wyborczej. Nie inaczej nazajutrz: dziennik TVN owszem, ostrzegał, ale przed „niżową Julią" i wichurami mającymi przejść przez Polskę wraz z nią. Potem w „Faktach" było odliczanie do kampanii wyborczej i dopiero po nim koronawirus, przed którym – na razie – drżeć mieli Włosi.

Kalendarium wzmożenia

Siła włoskiego impulsu – tam apogeum miało miejsce właśnie w poprzedni weekend – musiała jednak być wielka, bo w poniedziałek wymiotła z czołówek prorządowych „Wiadomości" rutynową propagandę. Przynajmniej przez pierwsze minuty: dwa główne materiały programu poświęcono wirusowi – najpierw z perspektywy polskiej, później włoskiej.

„Fakty" TVN tego dnia również po raz pierwszy zajęły się zagrożeniem chorobowym, najpierw w alarmistycznym tonie informując o sytuacji we Włoszech (ofiary, produkty znikające ze sklepów, koszary zamieniane na szpitale). „I to już nie są dalekie Chiny" – mówiła z emfazą prezenterka. Dalej było o tym, że nasz kraj jest przygotowany „do ataku", że odbywają się narady, a rząd uruchamia laboratoria. Neutralnie, informacyjnie, poradnikowo. Ani słowa o polityce – ta pojawiła się dopiero w trzecim materiale.

Cały rozpoczynający się dopiero tydzień miał w mediach upłynąć pod znakiem koronawirusa: z jednej strony pożytecznych porad i rozmów z ekspertami, z drugiej – festiwalu sensacyjnych dezinformacji.

„Z nieoficjalnych informacji, do których dotarli dziennikarze »Super Expressu« wynika, że pierwszy pacjent zarażony koronawirusem może przebywać już w Krakowie, na terenie Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką" – pisał w środę 26 lutego na swojej stronie tabloid. Nazajutrz, gdy informacja została zdementowana, bratni „Fakt" pytał: „Pierwszy przypadek koronawirusa w Polsce?", by dopiero w treści notki poinformować, że pogłoski o zachorowaniu nie są potwierdzone. Medialny apetyt na pierwszeństwo w ogłoszeniu zarazy rósł jednak w miarę żucia tematu i jeszcze tego samego dnia z depesz niektórych portali lokalnych wywiało zarówno przymiotnik „nieoficjalny", jak i znaki zapytania. „Koronawirus w Polsce. Pierwszy potwierdzony przypadek w Łodzi. Kobieta cały miesiąc spędziła w Tajlandii" – podał jeden z nich, powołując się na „dwa źródła". Nic dziwnego, że w połowie tygodnia część zmęczonych tą histerią odbiorców zaczęła – półżartem bądź całkiem serio – wyrażać nadzieję, iż informacja zostanie wreszcie potwierdzona.

Wzrosła też temperatura polityczna, co ciekawe – z winy polityków-lekarzy. Najpierw marszałek Senatu Tomasz Grodzki (chirurg) zalecił na Twitterze noszenie maseczek, narażając się ministrowi zdrowia (kardiologowi), który prostował, że maseczki przydadzą się tylko zarażonym. Potem wybuchł groteskowy spór Grodzkiego z senatorem PiS Stanisławem Karczewskim (też chirurgiem) o ważki problem prawidłowej obsługi dozowników z mydłem.

W piątkowy wieczór emocje politycznych sporów o koronawirusa pokazywał najdokładniej już internet, w którym pojawiły się sugestie, jakoby informację o wykryciu pierwszego polskiego przypadku zatajono – aby podać ją do wiadomości nazajutrz w południe, kiedy swoje konwencje rozpoczną kandydaci z PO i PSL na urząd prezydencki. Być może do tych sugestii pił zmęczony sytuacją minister zdrowia Łukasz Szumowski, gdy w piątkowym wydaniu programu śniadaniowego TVN zapewniał, że jest najpierw lekarzem, a dopiero potem politykiem i z pewnością nie będzie zwlekać z podaniem tak ważnej informacji.

Światy równoległe

Na razie – to jest w poniedziałek 2 marca, czyli na dwa dni przed ukazaniem się tego numeru „Tygodnika" – wszytko wskazuje jednak na to, że medialno-polityczne wzmożenie to jedno, a społeczne nastroje – drugie.

11 lutego mniej niż połowa Polaków dostrzegła w koronawirusie zagrożenie dla kraju. Po dwóch tygodniach – a więc już w apogeum szumu wokół choroby – trzy czwarte pytanych uważało, że wirus nie ominie Polski, ale nadal tylko ↦

JAREK PRASZKIEWICZ / FORUM

Na lotnisku w podkatowickich Pyrzowicach wprowadzono nadzwyczajne środki ostrożności dla lotów z Włoch, 25 lutego 2020 r.

↦ 41 proc. było do tego przekonanych. Równocześnie nieco ponad połowa wyrażała pogląd, że państwo nie poradzi sobie organizacyjnie z ewentualną epidemią. Komentując wyniki sondażu IBRIS dla „Rzeczpospolitej", socjolożka Helena Chmielewska-Szlajfer zastrzegała jednak, że nie dostrzega śladów paniki: „Widać raczej oznaki naszej przedsiębiorczości, gdy słyszy się o tym, że w internecie sprzedawane są maski antysmogowe jako antywirusowe, i to 400 zł za sztukę".

Statystyki Google'a w odniesieniu do haseł takich jak „koronawirus" czy „maseczki" zanotowały największe zwyżki w weekend 15-16 lutego, a potem z początkiem tygodnia. Popularność hasła „dezynfekcja rąk" między 21 a 28 lutego wzrosła aż stukrotnie.

„Efekt koronawirusa" widać także w postawach konsumenckich. Z aptek znikały maseczki, z drogerii i dyskontów mydła oraz żele antybakteryjne. W jednym z krakowskich sklepów Tesco przez ostatnie trzy dni ubiegłego tygodnia obroty wzrosły o około 20 proc., a sprzedaż makaronów, ryżów, kasz – nawet o 50 proc. Podobnie było w dwóch stołecznych Carrefourach: z półek zniknęły środki antybakteryjne, klienci kupowali masowo – poza ryżami i kaszami – także konserwy.

– W magazynie niektóre półki świeciły w sobotę pustkami. Ludzie wydzwaniają od rana, pytając o maski. Pani przy kasie zwierzyła się, że w poszukiwaniu środków antybakteryjnych odwiedziła już osiem punktów Rossmana. Bezskutecznie – mówiła nam pracownica jednego z Carrefourów jeszcze w weekend. Nie inaczej było w niektórych spożywczych dyskontach Łodzi i Gdańska: z półek – poza maseczkami i środkami przeciw bakteriom – znikała żywność z przedłużoną datą ważności.

Do początku marca nie było natomiast widać oznak większej paniki w placówkach medycznych, jeśli nie liczyć doniesień o wymagającej 10-godzinnego stania kolejce w stołecznym Wojewódzkim Szpitalu Zakaźnym, do którego zgłaszali się m.in. pacjenci powracający z zimowych ferii za granicą.

W podzielonym środowisku lekarskim jedna refleksja zdaje się powszechna: jedyne, czego trzeba się naprawdę bać, to paraliż służby zdrowia na skutek masowego oblegania placówek przez osoby całkiem zdrowe, bądź chore, ale niewymagające lekarskiej interwencji. Jeszcze kilka dni temu lekarze byli jednak w tej mierze ostrożnymi optymistami. W krakowskiej przychodni przy ul. Szwedzkiej liczba pacjentów zgłaszających się do lekarzy z objawami przeziębienia, gorączki i kaszlem właściwie nie różniła się od notowanej zazwyczaj o tej grypowej porze roku. Być może apele o zachowanie spokoju tym razem zostały wysłuchane.

Nowoczesny danse macabre

Prof. Michał Wróblewski, socjolog i filozof z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, w 2018 r. przeprowadził wraz z Łukaszem Afeltowiczem i Andrzejem Melerem badanie społecznej percepcji chorób zakaźnych w Polsce.

– Podchodzimy do nich niezwykle racjonalnie, bo cyklicznie powracające choroby zakaźne ankietowani umieścili dopiero na piątym miejscu największych zagrożeń dla zdrowia, daleko za nowotworami i schorzeniami układu krążenia – wylicza prof. Wróblewski. – Jako najgroźniejszą z chorób zakaźnych badani wskazywali najczęściej AIDS. Potem grypę sezonową. Epidemii świńskiej grypy czy SARS, które na początku dekady nie schodziły z pierwszych stron gazet i głównych wydań wiadomości, obawiało się natomiast zaledwie 3-4 proc. Polaków.

Czy to oznacza, że odbiorca polskich mediów uodpornił się na ich katastroficzną narrację? Badanie, jak twierdzi Wróblewski, pokazało, że ponad 90 proc. konsumentów mediów istotnie uważa ich przekazy na temat chorób zakaźnych za przesadzone.

– Analizując ten dyskurs jednocześnie zobaczyliśmy, że narracja o takich zagrożeniach jak „wirus" czy „epidemia" jest ukształtowana przez skojarzenia wyrastające wprost z kultury masowej – mówi badacz. – Kiedy powiemy „grawitacja", zaczynamy sięgać do zasobów szkolnej wiedzy. Na brzmienie słowa „wirus" lądujemy natomiast myślami w sali kinowej, a nie na lekcji biologii.

OMAR MARQUES / GETTY IMAGES

Wirus także polityczny

ZA OCEANEM – SPADEK ZAUFANIA do prezydenta Trumpa, w Europie – kryzys strefy Schengen prowadzący do przywrócenia kontroli na wewnętrznych granicach Unii. To tylko dwa z możliwych politycznych wstrząsów wywołanych ewentualną pandemią COVID-19.

W minionym tygodniu Donald Trump oświadczył, że w USA „koronawirus jest pod kontrolą", zasugerował, że to dobry czas, aby inwestować na giełdzie, i oskarżył Demokratów o sianie strachu przed nową chorobą (potem się z tego wycofał). Ale rzeczywistość mu nie sprzyja: to jego administracja ucięła budżet CDCP, federalnemu instytutowi sanitarnemu, a dalsze rozprzestrzenianie się choroby może przynieść zwolenników Berniemu Sandersowi, jak dotąd najpopularniejszemu kontrkandydatowi w zaplanowanych na listopad wyborach prezydenckich, który opowiada się za nacjonalizacją ochrony zdrowia w USA.

Tymczasem w Europie unijni komisarze zaprzeczali w ostatnich dniach, że koronawirus zagraża strefie Schengen. Jednak kraje członkowskie mogą same czasowo przywracać kontrole na granicach z innymi członkami Unii. Nieoficjalnie, wyrywkowo, wprowadziły je już Niemcy. Ewentualna pandemia byłaby jednym z największych testów dla idei otwartych granic. Już teraz straty w turystyce w krajach Unii szacowane są na ok. 900 mln euro miesięcznie.

©℗ MARCIN ŻYŁA

Epidemie kreślone z rozmachem przez hollywoodzkich scenarzystów zwykle rozgrywają się podług zbliżonego schematu. U źródeł problemu stoi szalony naukowiec, terroryści, ewentualnie nieodpowiedzialny biurokrata, który wypuszcza patogen w świat. Racjonalnie rozumującemu widzowi otwiera się w tym momencie brzytwa Ockhama, ale choroba jako zwykła składowa rzeczywistości po prostu nie jest materiałem na rasowy film katastroficzny. Napięcie nie może opaść także w kolejnych scenach, zwycięstwo nad epidemią zależy więc zwykle od pomysłowości naukowców, zaradności zwykłych ludzi, ewentualnie – od poświęcenia szlachetnych jednostek.

Brzmi znajomo? Oczywiście. Jak mówi prof. Wróblewski, media relacjonujące rozwój epidemii konstruują swoje opowieści z niemal identycznych klocków: – Wiadomości o ekspansji SARS-CoV-2 do złudzenia przypominają narrację w sprawie epidemii świńskiej grypy sprzed 11 lat. Przede wszystkim są to narracje wznoszące. Informacje o chorobie trafią w eter wtedy, kiedy układają się w historię o narastającym zagrożeniu. Danych o spadku zachorowań zwykle się nie podaje. I tam, i tu nie brakuje także pytań o kompetencje, a nawet intencje osób kierujących walką z wirusem oraz wątpliwości co do prawdziwej skali zagrożenia, którą decydenci mogą z premedytacją zaniżać. Są nawet zwykli bohaterowie, którzy poświęcają się dla wspólnoty, jak choćby żołnierze budujący szpitale w Wuhan czy tamtejszy lekarz, który zmarł na skutek zakażenia od pacjentów.

Większość przekazów medialnych, jak zauważa badacz, kończy się uwagą, że ryzyko jest niewielkie i warto zachować spokój, akcent położony jest jednak na podkreślenie zagrożenia. W rezultacie do odbiorcy trafia komunikat, który w warstwie informacyjnej ma uspokajać, ale jednocześnie odwołuje się do atawizmów poprzez eskalowanie poczucia zagrożenia. Czy więc można dziwić się Polakom, którzy jeszcze dwa tygodnie temu ze spokojem śledzili marsz koronawirusa przez świat, że podczas ostatniego lutowego tygodnia zaczęli wykupywać konserwy, kasze, makarony i zupki w proszku?

Nastrojowi zbliżającej się katastrofy poddali się także politycy. 1 marca na stronach Sejmu pojawił się uszyty ewidentnie *ad hoc* projekt ustawy „o szczególnych rozwiązaniach związanych z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem COVID-19". Obok oczywistych i potrzebnych regulacji, legalizujących np. tymczasową pracę zdalną czy kwestie zasiłków dla rodziców, którzy będą musieli wziąć wolne po zamknięciu żłóbków, pojawiły się w nim także przepisy, które wprowadzają przymusową kwarantannę i pozwalają rządowi wydawać polecenia niezależnym od władz centralnych „osobom prawnym, jednostkom organizacyjnym nieposiadającym osobowości prawnej, a nawet przedsiębiorcom". Opozycja krytykowała projekt jako zbyt histeryczny – czyli dokładnie takimi słowami, jakimi kilka dni wcześniej PiS punktował propozycje Koalicji Obywatelskiej. Podczas poniedziałkowej, emocjonalnej debaty nad projektem minister zdrowia i premier apelowali, by nie wykorzystywać wirusa w kampanii wyborczej, szef Koalicji Obywatelskiej Borys Budka wypominał ministrowi wyjazd na narty do Włoch, posłanka Lewicy witała obecnego na sali kandydata na prezydenta Roberta Biedronia, a inny kandydat, Władysław Kosiniak Kamysz, krytykował również siedzącego na sali Andrzeja Dudę za bezczynność.

Świat aseptyczny

Na rosnące poczucie zagrożenia nie ma większego wpływu także fakt, że na razie jedynym naprawdę niepokojącym elementem jest tempo, w jakim ten wirus rozprzestrzenia się po świecie. Wywoływana przez niego choroba nazwana COVID-19 zdaje się lekceważyć międzynarodowe umowy o współpracy sanitarnej, decyzje kolejnych korporacji tnących eksport i import, a nawet bezprecedensowe wysiłki władz poszczególnych krajów, które zamykają kolejne lądowe granice i trzymają pod przymusową kwarantanną dziesiątki milionów ludzi.

Wirusa nie udało się najpierw zatrzymać w granicach miasta Wuhan. Potem wymknął się z Chin, a następnie z Azji i dziś grozi już światu pandemią, czyli licznymi ogniskami zachorowań, które mogą mieć wpływ na całą ziemską populację. W zestawieniu z tym tempem rozprzestrzeniania uspokajające statystyki Światowej Organizacji Zdrowia, które pokazują, że niemal dziewięć na dziesięć zachorowań na COVID-19 przebiega jak zwykłe przeziębienie, jakoś nie trafiają do masowej wyobraźni. Bardziej przemawia do niej katastroficzna wizja wirusa, który wymknął się spod kontroli.

Ten sam koronawirus, którego obawia się teraz Zachód, zbliża się także do obozów przy granicy Birmy i Bangladeszu, gdzie na obszarze niespełna 30 kilometrów kwadratowych w prowizorycznych warunkach wegetuje ponad milion niedożywionych Rohingów. Pytanie o ewentualne objawy paniki w tak dużej populacji doktor Abdullah Abu Matil, jeden z lekarzy pracujących na terenie obozu, zbywa jednak tylko wzruszeniem ramion.

– Właśnie dobiega końca wyjątkowo chłodna jak na tutejsze warunki zima ↦

Szkoła higieny

„WDRAŻAMY te środki profilaktycznie" – uspokajał w weekend szef kołobrzeskiego sanepidu po tym, jak odwołano zajęcia w jednej ze szkół, bo u 10-letniej uczennicy podejrzewano koronawirusa. Także w Mazańcowicach koło Bielska odwołano zajęcia: nauczycielka czekała na badania po powrocie z Rzymu. Zamknięte szkoły to na razie wyjątki. Podobnie jak zalecenia izolacji dzieci. Takie rekomendacje natrafiały zresztą na problemy. „Media nagłośniły po warszawskich feriach, jak to niektórzy dyrektorzy szkół niepublicznych zalecili dzieciom wracającym z Chin i Włoch kwarantannę – pisał na swoim blogu Jarosław Pytlak, kierujący Zespołem Szkół STO na Bemowie. – Nie pisały, na ile dało się to wyegzekwować. Ja też zaleciłem. Zdecydowana większość takich delikwentów do szkoły przyszła". MEN jednak uspokaja: na razie w większości szkół wystarczy profilaktyka. W wytycznych resortu dla dyrektorów znalazły się m.in.: rozmowa z uczniami na temat higieny, apel do rodziców, by nie posyłali chorych dzieci na lekcje czy powstrzymanie się od wycieczek do zagrożonych miejsc. Jeszcze w zeszłym tygodniu minister Dariusz Piontkowski zapewniał, że ewentualne decyzje o zamknięciu placówek leżą w gestii dyrektorów. Jednak 1 marca w projekcie specustawy znalazł się passus, zgodnie z którym szef MEN „może czasowo ograniczyć lub zawiesić funkcjonowanie jednostek systemu oświaty na obszarze kraju lub jego części". ©℗ PW

↦ – wylicza doktor. – Wśród dzieci i starszych odnotowaliśmy o blisko jedną trzecią więcej zgonów wywołanych zapaleniem płuc i ostrymi biegunkami niż poprzedniej zimy. Proszę wierzyć, jeszcze jedna choroba, do tego o relatywnie niskim wskaźniku śmiertelności, naprawdę nie wpływa na poczucie bezpieczeństwa mieszkańców obozu.

To samo zagrożenie oglądane z perspektywy rozwiniętego świata winno wydawać się jeszcze mniejsze. W rzeczywistości jest na odwrót. Ryzyko choroby kończącej się śmiercią w około 3 proc. przypadków może wydać się groźne tylko tam, skąd postęp nauki praktycznie wyrugował choroby zakaźne. Gruźlica, wścieklizna, odra – nie mówiąc o dżumie, ospie czy cholerze – w życiu codziennym przeciętnego Europejczyka stanowią egzotyczny rekwizyt z teatrzyku dziejów, nie realną groźbę. Czym bowiem, jeśli nie wysokim poczuciem społecznego bezpieczeństwa, można tłumaczyć rosnącą popularność ruchów antyszczepionkowych?

Wśród cezur, jakimi posługujemy się dla wyznaczenia umownego początku nowoczesności, chyba najbardziej namacalną dla przeciętnego człowieka była ta związana z poznaniem źródeł chorób zakaźnych. Niewidzialne zagrożenie, dotychczas tylko realne, stało się także zrozumiałe. W ten sposób pokonaliśmy ospę i dżumę, a gruźlicę, wściekliznę czy kiłę zredukowaliśmy do rozmiarów epidemiologicznej ciekawostki. Potem rzucił się na nas HIV, ale i z nim w zasadzie daliśmy sobie radę w niespełna pół wieku.

Dlatego samo nagłe pojawienie się SARS-CoV-2 w tym aseptycznym świecie wydaje się abstrakcyjnym błędem systemu, który zdaje się gwarantować nam przeżywalność na poziomie około 80 lat – o ile tylko nie zabijemy się w aucie, nie wyhodujemy w płucach nowotworu, nie zamęczymy wątroby alkoholem albo po prostu nie zamulimy organizmu cholesterolem. Śmierć od choroby zakaźnej? To scenariusz z taniego filmu katastroficznego.

©℗ MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

O wirusie czytaj także w dziale Świat.

ANDREAS SOLARO

Mediolan, 23 lutego 2020 r.

Miasto w czasach koronawirusa

FRANCESCO M. CATALUCCIO Z MEDIOLANU

Jak w najmroczniejszych chwilach dziejów ludzkości najlepszą obroną przed paniką jest ironia. Byłoby do śmiechu, gdyby nie umierali ludzie.

Od dawna żywię przekonanie, że surrealizm ostatecznie wygrał i panuje nad światem na swój tragikomiczny sposób. Widzę dziś jego osobliwy triumf w Mediolanie w czasie szczególnego karnawału, który, jak wiadomo, kończy się w tym mieście cztery dni później niż dla reszty ludzkości. Skąd ten wyjątek? Otóż w IV wieku Mediolan spustoszyła zaraza. Ludność była odcięta od świata, drogi dojazdowe zamknięto, ograniczono wymianę handlową, ściśle racjonowano zapasy żywności. Biskup (późniejszy święty) Ambroży, aby oszczędzić dodatkowych cierpień swojemu ludowi – żeby nie musiał rozpoczynać postu i pokut tuż po tym, jak dręczyły go choroba i głód – uzyskał od papieża bullę: diecezja mediolańska może świętować karnawał aż do soboty poprzedzającej pierwszą niedzielę Wielkiego Postu. Dziwactwo powstałe ze zbiegu epidemii i święta trwa do dzisiaj.

Kiedy w minionym tygodniu wsiadłem do metra, poczułem upiorną karnawałową atmosferę – ludzie siedzieli na co trzecim krzesełku (lekarze zalecają zachować półtora metra odstępu od innych). Jeśli jakiś pasażer próbował usiąść pomiędzy nimi, spoglądano nań wrogo. Wiele z tych spojrzeń wyglądało jeszcze drapieżniej z powodu maseczek zakrywających połowę twarzy.

Grupa młodych ludzi, korzystających z nieoczekiwanego zamknięcia szkół i uczelni, stała przebrana w szczelne białe kombinezony, lateksowe rękawiczki i ochraniacze na buty, ze stożkowymi maseczkami, w okularkach pływackich i czepka na głowie. Wyglądali jak duchy, uczepione na podobieństwo nietoperzy do poręczy, kołysząc się rytmicznie przy każdym wstrząsie wagonu. Ale tak w ogóle wszystko wydawało się normalne. O dziwo, znaczna część ludzi przeżywa to, co się teraz

dzieje w Mediolanie, Lombardii, Wenecji i Wenecji Euganejskiej, jako coś „normalnego".

Ta sytuacja przypomina mi pełne emocjonalnych wstrząsów momenty po katastrofie w Czarnobylu (zresztą już pojawiały się komentarze, że obecna epidemia może okazać się dla Chińskiej Republiki Ludowej równie śmiertelnym ciosem, jak wybuch w czarnobylskiej elektrowni jądrowej dla ZSRR) – strach przed czymś, co krąży w powietrzu, ale czego nie widać ani nie czuć, brak jasnych, jednoznacznych informacji, psychoza pustych półek i braku żywności...

Sen Raskolnikowa

Supermarkety są dobrze zaopatrzone, ale ludzie szturmują je i robią zapasy, jakby właśnie wybuchła wojna. W miasteczkach w „czerwonej strefie" – należących do aglomeracji mediolańskiej – do sklepu może wejść naraz tylko dwadzieścia osób. Reszta czeka w kichającej kolejce na zewnątrz. Niektóre sklepy wpuszczają tylko klientów w maseczkach. Największym wzięciem cieszą się: woda mineralna (tak jakby koronawirus przenosił się wraz z kranówką), wszelkiej maści środki dezynfekujące i mydło; mrożonki i żywność w puszkach; makaron w wielkich ilościach.

W aptekach schodzi wszelki rodzaj towaru: witaminy, antybiotyki (kompletnie nieprzydatne w walce z wirusem), środki na wzmocnienie, spreje do nosa i gardła, krople homeopatyczne. Od dawna wyczerpały się zapasy maseczek – kosztowały 75 centów, na ulicach spekulanci sprzedają je po 10 euro. Dom mody Fendi zaproponował markową maseczkę przeciwwirusową z jedwabiu po 190 euro i całą partię wykupiono na pniu. „Eksperci" (immunolodzy, wirusolodzy, biolodzy, lekarze ogólni, farmaceuci) są pytani na okrągło i o wszystko. W telewizji leci żenujące widowisko: lekarze i naukowcy pokrzykują na siebie, jakby to była debata polityków podczas kampanii wyborczej.

Restauracje są czynne, ale raczej w nich pusto. Bary i inne lokale publiczne trzeba jednak zamykać wcześnie (o 18.00). Tego rodzaju przybytki najbardziej teraz ucierpiały, bo ludzie boją się wychodzić z domów i przebywać w miejscach tłumnie odwiedzanych. Z tych samych powodów ogromne straty ponoszą organizatorzy masowych imprez i targów – także z powodu decyzji władz lokalnych. Lombardia, Emilia-Romania i Wenecja Euganejska już odwołały wszystkie targi przewidziane na marzec (mediolański Salon Mebli, przyciągający co roku 400 tys. gości, przełożono na czerwiec). Tydzień mody co prawda się odbył, ale pokazy odbywały się bez publiczności. Chińczycy mogli śledzić sobie transmisje na żywo.

Wiele rzeczy, jak w majakach, które przychodzą o świcie, ulega dematerializacji. Skoro nie można normalnie funkcjonować, różne działania przenosi się do sieci. Szkoły i uczelnie organizują streaming wykładów, firmy każą pracownikom siedzieć w domu i pracować zdalnie. Kto może i nie boi się oszustw, robi zakupy online i zamawia jedzenie z restauracji (korzystając z ciężkiej pracy imigrantów, którzy pedałują po mieście z wielkimi torbami przytroczonymi do pleców).

Zamknięto kina, teatry i sale koncertowe, ludzie siedzą więc w domu i oglądają telewizję – wreszcie rozumiejąc, jaka to jest różnica jakościowa. Mecze odbywają się przy pustych trybunach, kibice gromadzą się za to przed telebimami. Katedra mediolańska zamknięta, jak zresztą świątynie wszystkich religii. Wierni muszą brać udział w nabożeństwie przed ekranem komputera. Osoby zmarłe niedawno nie mogą mieć pogrzebu, ani kościelnego, ani świeckiego. Prosto ze szpitalnej kostnicy zwłoki jadą na cmentarz.

Muzea, rezerwaty archeologiczne, wystawy i biblioteki są niedostępne. Cała branża turystyczna przechodzi trudny czas, goście z zagranicy odwołują na potęgę już zarezerwowane pobyty. Wenecja opustoszała, jest więc piękna, ale ponieważ nie ma w niej praktycznie innego biznesu poza turystyką, grozi jej całkowita zapaść – zwłaszcza że wcześniej turystów wystraszyła jesienna fala powodziowa.

W poprzednich tygodniach, kiedy stało się jasne, jak poważnie epidemia dotknęła Chiny, firmy z luksusowych branż zaczęły się martwić o to, że przestaną przyjeżdżać stamtąd liczni bogaci klienci. Teraz problem jeszcze się zaostrzy – będzie coraz mniej przyjezdnych, skoro choroba rozpanoszyła się w pobliżu Mediolanu, miasta kluczowego dla tego rodzaju turystyki zakupowej. Ale nie tylko bogaci klienci luksusowych sklepów przestaną przyjeżdżać do Włoch. Kraj zapłaci cenę, nie tylko w pieniądzach.

Wydaje się, jakbyśmy znaleźli się we śnie Raskolnikowa z końcowych stron „Zbrodni i kary": „Zdawało mu się w chorobie, w majaczeniu, że cały świat skazany jest na pastwę jakiejś strasznej, niesłychanej i niewidzialnej morowej zarazy ciągnącej z głębi Azji na Europę. Zginąć mają wszyscy oprócz kilku nader nielicznych wybrańców. Pojawiły się jakieś nowe złośliwe drobnoustroje, które zagnieżdżały się w ciałach ludzi. (...) Ludzie, którzy je przyjęli w siebie, natychmiast dostawali obłędu i opętania. Ale nigdy, nigdy ludzie nie poczytywali się za tak mądrych i nieomylnych, za jakich uważali siebie ci zarażeni. Nigdy nie mieli swych wyroków, swych wniosków naukowych, przekonań moralnych i wierzeń za tak niezbite. Całe osiedla, całe miasta i ludy ulegały zarazie i wariowały" (tłum. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski).

Stan wyjątkowy

Obecność Chińczyków w Mediolanie zaczęła się w latach 20. XX wieku od masowej imigracji z Wenzhou – miasta na południowym wschodzie prowincji Zhejiang. Stamtąd pochodzi ok. 90 proc. osób narodowości chińskiej obecnie mieszkających we Włoszech (300 tys.). W centrum Mediolanu znajduje się piękna, tętniąca życiem dzielnica Chinatown licząca 40 tys. mieszkańców. Także dzięki temu Mediolan jest jednym z miast Europy o największej wymianie handlowej z Chinami. Kiedy w grudniu rozeszła się wieść o epidemii, natychmiast rozpętała się kampania antychińska, podsycana przez partie prawicowe. W Chinach zaczynały się właśnie obchody nowego roku, spodziewano się więc znacznej liczby turystów stamtąd. A także wyjazdów Włochów chińskiego pochodzenia, którzy mieli jechać do rodzin (a potem wrócić do Mediolanu).

Skutkiem tej kampanii była decyzja o odwołaniu wszystkich bezpośrednich lotów do Chin. I to się okazało pierwszym błędem: zamiast uruchomić na lotniskach kontrole pozwalające zarejestrować wszystkie osoby powracające z miejsc, gdzie mogły ulec zarażeniu, spowodowano falę niekontrolowanych powrotów. Ludzie lecieli do Zurychu, na lotniska we Francji czy Austrii, po czym wjeżdżali nie niepokojeni pociągiem, przez co Włochy utraciły kontrolę nad napływem ludzi z Chin.

Kiedy pojawiły się pierwsze przypadki infekcji – w małym miasteczku Codogno ↦

↦ oraz w Rzymie u pary chińskich turystów – rozpętała się panika, z niewątpliwym i interesownym udziałem większości gazet i stacji telewizyjnych. Strach w takiej skali był nieuzasadniony. Jak tłumaczyło kilkoro odważnych badaczy i badaczek: przeszliśmy zbiorowe pranie mózgów.

Włoskie władze zdecydowały się na znacznie bardziej rygorystyczne kontrole niż w innych krajach europejskich i wprowadziły środki nadzwyczajne, które paraliżują gospodarkę oraz dają zagranicznym mediom pożywkę do informowania, że Włochy są „drugim po Chinach ogniskiem zarazy". Zrobiły tak w przekonaniu, że struktury naszej służby zdrowia nie poradzą sobie z szybko rozwijającą się epidemią.

Zdaniem ekspertów, zachorowania wywołane przez koronawirusa prowadzą do powikłań wymagających hospitalizacji w 5 proc. przypadków. Gdyby pozwolić wirusowi rozwijać się bez ograniczeń, objąłby on podobną liczbę ludzi, co „zwyczajna" grypa, czyli ok. 15 proc. populacji, a więc Włochy stanęłyby przed koniecznością hospitalizacji ok. 0,8 proc. swej ludności, czyli 480 tys. ludzi. Ile mamy łóżek w szpitalach? Według najnowszych dostępnych danych – 159 tys. Nawet gdyby nagle zwolnić wszystkie łóżka, włoski system zdrowotny nie byłby w stanie zagwarantować opieki 321 tysiącom ludzi z koronawirusem (przeważnie w wieku powyżej 55 lat).

Sęk w tym, że wdrożenie ostrych środków hamujących zarażenia w kraju, gdzie nie panuje reżim totalitarny jak w Chinach, nie daje się do końca przeprowadzić. Oprócz pewnych tragikomicznych skutków budzi to zresztą obawy co do stanu i odporności demokracji.

Filozof Giorgio Agamben, zawsze uważny obserwator polityki dążącej do kontroli nad naszymi ciałami, pisał w gazecie „Il Manifesto", że widzimy rosnącą tendencję do używania „stanu wyjątkowego" jako paradygmatu normalnych rządów. Przyjęty w trybie ekspresowym dekret powołujący się na względy „higieny i bezpieczeństwa publicznego" prowadzi do militaryzacji gmin i obszarów, gdzie pojawia się „co najmniej jedna osoba o pozytywnym wyniku testu, co do której nieznana jest droga przekazania wirusa albo droga ta nie prowadzi do osoby pochodzącej z obszaru już dotkniętego wirusem".

Agamben jest przekonany, że „tak ogólnikowe sformułowanie pozwoli rozszerzyć szybko stan wyjątkowy na wszystkie regiony". Innym, nie mniej niepokojącym według niego czynnikiem jest stan lęku, zasiany w świadomości jednostek i przekładający się na potrzebę przeżywania stanów zbiorowej paniki, do czego epidemia daje idealny pretekst. „W szalonym błędnym kole narzucone przez rządy ograniczenie wolności zostaje zaakceptowane w imię potrzeby bezpieczeństwa, wywołanej przez te same rządy, które obecnie wkraczają, by ją zaspokoić".

Bójmy się strachu

Jak w najmroczniejszych chwilach dziejów ludzkości, najlepszą obroną jest iro-

Komunię lepiej przyjmować na rękę

W OBLICZU ZAGROŻENIA EPIDEMICZNEGO biskupi powinni poinformować wiernych „o możliwości przyjmowania Komunii świętej duchowej [czyli: poza przestrzenią sakramentalną] lub na rękę" – czytamy w wydanym 28 lutego komunikacie przewodniczącego KEP abp. Stanisława Gądeckiego. „Kto ma obawy przed zakażeniem, nie powinien korzystać z wody święconej umieszczonej w kropielnicach" – podkreślono. Biskupi zdecydowali też, że podczas mszy czytany będzie list ministra zdrowia nt. zagrożenia. Tekst zaleca przestrzeganie podstawowych zasad higieny (unikanie kontaktu z kichającymi, regularne mycie rąk). Tymczasem Komisja Maryjna KEP wydała apel zachęcający do „podjęcia modlitwy błagalnej o oddalenie od nas kolejnego niebezpieczeństwa" – najlepiej w formie suplikacji. We Włoszech i Niemczech biskupi, poza zaleceniem nieudzielania komunii do ust, prosili, by znaku pokoju nie przekazywać sobie poprzez podawanie rąk. Wierni z objawami choroby powinni pozostać w domu. W kilku diecezjach północnych Włoch zawieszono odprawianie mszy. W Hongkongu księży i wiernych zobowiązano do noszenia w kościele masek, opróżniono pojemniki na wodę święconą, zakazano nawet wspólnego korzystania ze śpiewników.

©℗ MACIEJ MÜLLER

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

nia. Można by się z tego wszystkiego śmiać – z nierozsądnych zachowań ludzi, z absurdalnych zakazów, z nieudolności polityków nieprzygotowanych do radzenia sobie w sytuacjach nadzwyczajnych, z niespójnych decyzji zagranicznych biurokratów, którzy dziś boją się każdego Włocha gorzej niż dżumy.

Oto znamienny przykład: 40 włoskich turystów nie wypuszczono z samolotu na Mauritiusie, bo pochodzili z Lombardii i Wenecji Euganejskiej. Zaproponowano im dwa tygodnie kwarantanny, czyli dokładnie tyle, ile miał trwać ich urlop. Inni pasażerowie, którzy spędzili wszak z nimi 12 godzin na pokładzie tego samego samolotu, mogli wysiąść bez problemu. Po powrocie do Rzymu wszyscy włoscy turyści okazali się po przebadaniu zdrowi.

Młodzi ludzie stroją sobie żarty, wysyłając sobie memy i dowcipy. W porównaniu z czasami faszyzmu różnica jest tylko taka, że teraz nikt niczym nie ryzykuje i łatwo jest kpić z tego, co się dzieje. Byłoby zresztą do śmiechu, gdyby nie umierali ludzie. Rację ma eseista Adriano Sofri, który na łamach „Il Foglio" pisał: „Chciałbym godnie pożegnać starsze panie i starszych panów, którym wirus zadał ostateczny cios, oraz tych, którzy na niego dopiero czekają. Eufemistycznie nazywamy ich »ludźmi w podeszłym wieku« albo, żeby uspokoić wszystkich innych, »osobami już będącymi w ciężkim stanie zdrowia«. »Umarliby nawet na normalną grypę« – powiedziała niedawno pewna niewątpliwie zdolna lekarka, zapominając o różnicy między statystyką a życiem ludzkim".

Pisarz Gianrico Carofiglio w artykule „Kiedy chorobą staje się strach" przypomniał słowa Franklina D. Roosevelta, który u progu Wielkiego Kryzysu mówił, że dziś tak jak nigdy musimy bać się strachu. „Trzeba – wzywa pisarz – pokonać go mając za broń naszą inteligencję, bo nieopanowany strach prowadzi do katastrofalnych skutków".

Kiedy to się wszystko skończy, zostaniemy na kupie gruzów nie tylko gospodarczych, ale i moralnych, a także, jak się obawiam, politycznych. Straty materialne dwóch spośród trzech najbogatszych regionów Włoch skłonią Ligę i inne organizacje populistycznej prawicy do zażądania jeszcze większej autonomii regionalnej, tak by pieniądze z podatków zostawały na miejscu, a nie „szły do Rzymu". Już widać, jak każdy region próbuje sobie radzić na własną rękę i, jak to często bywa, działa w kontrze do innych. Pracownicy regionalnych służb sanitarnych nie chcą, żeby ministerstwo zdrowia z Rzymu wtrącało się w ich sprawy. Niektóre regiony narzuciły z własnej inicjatywy zakazy, które nie powinny istnieć w spójnym państwie: gubernator Bazylikaty zamknął wstęp dla przybyszów z Lombardii i Wenecji Euganejskiej (ciekawe, jak ich będą rozpoznawać?).

Włochy ryzykują rozpadem, tak jak to się dzieje z Europą, która w tej medycznej chwili próby także działa wedle złowrogiej zasady „ratuj się, kto może".

© FRANCESCO M. CATALUCCIO

Przeł. PB

Tekst ukończono 27 lutego.

FRANCESCO MATTEO CATALUCCIO
(ur. 1955) jest wydawcą i publicystą. Studiował filozofię i filologię polską we Florencji oraz Warszawie. Autor książek: „Niedojrzałość, choroba naszych czasów" (2006), „Czarnobyl" (2013). Jest redaktorem włoskiego wydania dzieł Witolda Gombrowicza oraz włoskiej i hiszpańskiej zbiorowej edycji Brunona Schulza. Laureat nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego.

REKLAMA

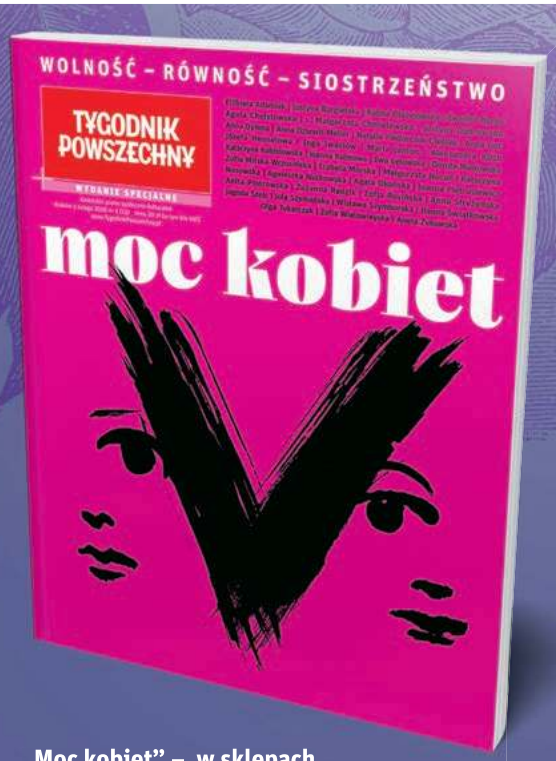

Premiera — już w kioskach!

„Cudowne było uświadomienie sobie, że nie zdobędę stuprocentowej akceptacji otoczenia. Szkoda, że tak późno to zrozumiałam."

KATARZYNA NOSOWSKA

„Moc kobiet" – w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/mockobiet

weź, czytaj!

WYDAWCA TYGODNIK POWSZECHNY
WSPÓŁWYDAWCA FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
PARTNERZY ZAIKS SIEMENS Ingenuity for life

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. MARCIN DŁAWICHOWSKI / FORUM // GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

PAWEŁ

Śpiewak:
Narodziny mowy

Na początku było słowo, poucza jeden z wielkich Nowego Testamentu. Jest to podstawowa prawda. Początek aktywności człowieka, stopniowego dochodzenia do niezależności, jest opisany w drugim rozdziale Pierwszej Księgi Mojżeszowej. Oto Bóg wzywa człowieka, by dał zwierzętom imiona. Czeka na jego decyzję. Powierzył nam dar nadawania imion, by to, co imienia nie posiadało, mogło w pełni zaistnieć. Temu dzisiaj służy poezja: pokazywaniu rzeczy niewidzialnych. Bóg dał człowiekowi moc i prawo do nadawania imion, budząc w nim wrodzoną rozumność. A zdolność mówienia uczynił cechą konstytutywną istoty ludzkiej. Tym się wyróżniała z wszystkich ożywionych stworzeń. Bóg wszelako stworzył świat dziesięcioma powiedzeniami, za pomocą mowy. Z kolei człowiek nie ma daru tworzenia słowem imion. Wyposażył nas, jak się dowiadujemy, w ów niezwykły dar tworzenia światów abstrakcyjnych, istniejących przez słowa i w słowach.

Bóg zasadził w raju na wschodzie dwa drzewa: drzewo życia oraz drzewo poznania dobra i zła. Drzewo życia jest też drzewem dusz. Z niego rodzą się kolejne. Stąd trafiają do *Guf*, skarbca dusz, i anioł Gabriel sięga po nie, a anioł poczęcia Lajla czuwa nad embrionem, póki się nie narodzi do ziemskiego istnienia. Mesjasz przyjdzie, gdy skarbiec dusz będzie już pusty. Drzewo dobra i zła może oznaczać drzewo wszystkiego, bo co poza nimi istnieje w świecie moralnym człowieka?

Bóg się martwił o człowieka i nie chciał, by ten był sam, bez żadnej pomocy. Więc najpierw z ziemi stworzył zwierzęta. „Utworzył więc Pan Bóg z ziemi wszelkie dzikie zwierzęta i wszelkie ptactwo niebios i przyprowadził do człowieka, aby zobaczyć, jak je nazwie, a każda istota żywa miała mieć taką nazwę, jaką nada jej człowiek. Nadał tedy człowiek nazwy wszelkim dzikim zwierzętom. Lecz nie znalazła się pomoc dla niego odpowiednia" (1 Moj 2, 20-21).

Język nie jest prostym odzwierciedleniem danego człowiekowi świata. Imiona wyrażają emocje ludzi, ich stosunek do zwierząt i wszystkiego, co istnieje. Jest w tym namiętność, podziw, nasze potrzeby. Jedne zwierzęta mogą okazać się niebezpieczne, inne zabawne, a jeszcze inne pomocne człowiekowi, jak wielbłądy, owce czy konie. Nie znamy pierwotnych imion zwierząt. Wiemy, że nie miały związku z drzewami życia oraz dobrego i złego. Nie został w ten sposób naruszony pierwotny ład świata. Nazywanie jest przede wszystkim związane z budowaniem samoświadomości. Pierwszy człowiek uświadamia sobie, kim jest wobec świata natury i jakie ma wobec niego obowiązki. Bóg nakazał mu pracować w ogrodzie i dbać o wszelkie rośliny i zwierzęta. Ale oswajanie świata biologii nie umniejszyło jego samotności. Tkwił w nim, ale nie był z nim w jedności. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Punkt usług religijnych

„Po sześciu dniach Jezus zabrał ze sobą Piotra, Jakuba i jego brata Jana i wyprowadził ich z dala od ludzi na wysoką górę. Tam przemienił się w ich obecności, a Jego twarz zajaśniała jak słońce. Jego ubranie stało się białe jak światło. Wtedy ukazali się im Mojżesz i Eliasz, którzy z Nim rozmawiali. Piotr powiedział do Jezusa: Panie, dobrze, że tu jesteśmy. Jeśli chcesz, postawię tutaj trzy namioty; jeden dla Ciebie, drugi dla Mojżesza, a trzeci dla Eliasza". Ponoć wtedy, zabierając ze sobą tylko trzech apostołów, Jezus ustanowił pierwszych kanoników, infułatów i prałatów. Może i tak, ale nie o to chodzi.

Uczniowie widzą Jezusa rozmawiającego z Mojżeszem, z którym Bóg zawarł przymierze, i Eliaszem, który przyjdzie ogłosić wypełnienie tej bosko-ludzkiej umowy. Na pytanie uczniów, kiedy się to stanie, Jezus odpowiedział: „Eliasz już przyszedł, a nie poznali go i postąpili z nim tak, jak chcieli. Tak i Syn Człowieczy będzie od nich cierpiał. Wtedy uczniowie zrozumieli, że mówił im o Janie Chrzcicielu". Początkowo ta nowa prawda o Jezusie przeraziła apostołów. Nie radząc sobie z tą, jak mówi Franciszek, „nowością Jezusa", chcieli Go wkomponować w to, co już o sprawach Bożych wiedzieli. A wiedzieli wciąż nie po chrystusowemu. Coś podobnego dzieje się dzisiaj.

W początkach chrześcijaństwa gminie przewodniczył człowiek cieszący się jej zaufaniem. Dzisiaj przewodniczymy parafii na podstawie przekonania, że jesteśmy do tego powołani. To przekonanie potwierdził biskup, który też pełni urząd na mocy nominacji. Nic dziwnego, że my, duchowni, często jesteśmy postrzegani jako obcy, przywiezieni w teczce. Może więc dobrze się stało, że papież Franciszek nie zniósł celibatu, co miało przysporzyć liczby prezbiterów, gdyż nie tego dzisiaj koniecznie Kościołowi potrzeba. Może Kościołowi brakuje nie tyle duchownych, ile Kościoła, a więc świadomych swoich praw i obowiązków świeckich katolików. Ponad 40 lat temu prof. Stefan Swieżawski w liście do Jana Pawła II pisał, że dzielenie wspólnoty Kościoła na duchownych i świeckich jest herezją. Przecież jeśli gdzieś szukać przyczyn klerykalizmu, to na pewno w obecnej, ale istniejącej od wieków uprzywilejowanej pozycji kleru. Po prostu świeccy nie mogą odzyskać należnego im miejsca w Kościele, gdyż jest ono wciąż okupowane przez nas, przez kler. Uważamy, że nadal tak być powinno, bo zawsze tak było. Nie, nie zawsze!

Jezus obiecał, że Kościół będzie istniał aż „do skończenia świata", ale niekoniecznie w takim kształcie, jaki znamy. Może więc brak księży nie jest objawem kryzysu, ale wyzwaniem, szansą, by Kościół stał się wspólnotą, a nie punktem świadczącym religijne usługi na coraz wyższym poziomie artystyczno-towarzyskim. ©

Dokąd doszedłeś – okazuje się w czasie pokusy.

ABBA POJMEN

Piękno Boga to życie rozświetlone prawdą.

PORFIRIUSZ Z TYRU

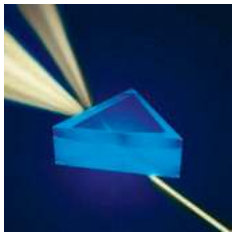

Wybrał PIOTR SIKORA

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Skuteczność Kościoła

Wstrząsająca scena. Jezus z trójką najbliższych uczniów (Piotrem, Jakubem i Janem) schodzą z Taboru. U podnóża góry czeka na nich podekscytowany tłum. Ludzie otaczają apostołów debatujących z uczonymi w Piśmie. Łatwo to sobie wyobrazić: żywo gestykulują, spierają się podniesionym głosem. Tym żywiej i tym głośniej, im bardziej okazali się bezradni. Oto jakiś człowiek przyprowadził do Jezusa swojego syna, od dzieciństwa ciężko dręczonego przez złego ducha. Pod nieobecność Pana prosił apostołów, „aby go wyrzucili". Ale nie byli w stanie tego dokonać.

Jezus jednym stanowczym zdaniem – „Duchu niemy i głuchy, rozkazuję ci, wyjdź z niego i więcej w niego nie wchodź!" – wyzwala młodego człowieka spod władzy szatana. Przerażenie jeszcze nie mija: ludzie myślą, że chłopiec umarł. Pan jednak podaje mu rękę i dźwiga go. Dwa użyte tu greckie słowa: *egeiren* i *aneste* oddają powagę sytuacji – tak jakby rzeczywiście nasz bohater nie powstał z ziemi, lecz ze... śmierci (zob. Mk 9, 14-29).

W domu, na osobności, już po wszystkim, apostołowie pytają Jezusa: „Dlaczego my nie mogliśmy go wyrzucić?". Jezus odpowiada: „Ten rodzaj można wyrzucić tylko modlitwą i postem". Wszyscy znamy tę odpowiedź; łatwo ją „przełykamy", gdy jest odczytywana w liturgii, jeszcze łatwiej ją nieraz cytujemy. Czy nie za łatwo?

O jaką modlitwę chodzi i o jaki post?

Żadna z narracji ewangelicznych nie mówi o tym, żeby na widok opętanego chłopca Jezus zagłębił się w modlitwie. Tym bardziej nie ogłosił ani sam nie podjął postu w intencji jego uwolnienia. Jezus mówi tu raczej o modlitwie i poście, które są Jego stałą postawą i predyspozycją. On jest Człowiekiem modlitwy i postu, i to stąd, a nie z jednorazowo podjętych przez Niego nawet najpobożniejszych czynności i działań, bierze się Jego siła w walce ze złem. To samo odnosi się do apostołów: nie chodzi o to, że się w tym momencie „nie pomodlili", albo że nie odmówili sobie sytego posiłku. Raczej chodzi o to, że jeszcze nie wiedzą, że nie będąc ludźmi modlitwy i postu są... bezsilni. W sytuacji konfrontacji ze złem, które zniewala i wręcz zabija, stać ich jedynie na dyskusję – tam, gdzie powinni ogłosić i przynieść zbawienie.

To przejmujący i prawdziwie „prześwietlający" obraz Kościoła – naszego Kościoła. Możemy godzinami debatować i „gadać" o złu, które nas upokarza, obala na ziemię i zniewala, i nigdy nie sięgnąć po środki, które Jezus uznał za jedynie mocne. Także dlatego, że wydają się one powszechnie bardzo słabe. Tymczasem one sprawiają – jeśli tylko są stałą postawą, a nie doraźnymi pobożnymi „praktykami", że jesteśmy nieustannie podłączeni do Źródła siły.

Kościół, który się nie modli i nie pości – nie wierzy. Nawet jeśli wiele i z wielkim przejęciem dyskutuje. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (8 – 15 III)

2. niedziela Wielkiego Postu: Rdz 12, 1-4a; Ps 33; 2 Tm 1, 8b-10; Mt 17, 1-9;
Poniedziałek: Dn 9, 4b-10; Ps 79; Łk 6, 36-38;
Wtorek: Iz 1, 10. 16-20; Ps 50; Mt 23, 1-12;
Środa: Jr 18, 18-20; Ps 31; Mt 20, 17-28;
Czwartek: Jr 17, 5-10; Ps 1; Łk 16, 19-31;
Piątek: Rdz 37, 3-4. 12-13a. 17b-28; Ps 105; Mt 21, 33-43. 45-46;
Sobota: Mi 7, 14-15. 18-20; Ps 103; Łk 15, 1-3. 11-32;
3. niedziela Wielkiego Postu: Wj 17, 3-7; Ps 95; Rz 5, 1-2. 5-8; J 4, 5-42.

KRAJ

CIĘŻAR KLUCZA

W latach 90. nowojorski psycholog Sam Tsemberis zapytał pacjenta w kryzysie bezdomności: „Czego potrzebujesz?", by w odpowiedzi usłyszeć: „Mieszkania". Jego koncepcja pomocy dociera do Polski.

DOROTA BIDZIŃSKA

TOMASZ ADAMOWICZ / FORUM

Wydawało się, że to nie ma prawa się udać. Oboje z dramatyczną przeszłością, z doświadczeniem rodziny w kryzysie. Młodzi, od wielu lat na ulicy, przebywający w przestrzeni miasta, wagonów, pustostanów – opowiada Jolanta Kaczmarczyk z Dzieła Pomocy św. Ojca Pio. – Przyszli do Dzieła, nie prosili o konkretną pomoc. W trakcie spotkania zobaczyliśmy, że spodziewają się dziecka. Wtedy zaczęliśmy się zastanawiać: a gdyby udostępnić im jedno z naszych mieszkań? W systemie „drabinkowej" pomocy socjalnej takie rozwiązanie na pewno się nie mieściło. Zgodzili się, choć chyba, tak jak my, nie wiedzieli, jak się to wszystko potoczy. Pamiętam, jak cały nasz zespół obserwował ich drogę tworzenia rodziny, budowania i uczenia się od podstaw wspólnego domu, którego nigdy nie zaznali. Nasze dziewczyny z Dzieła pokazywały kobiecie, jak przewija się i karmi dziecko, śpiewały z nią kołysanki. Nasz psycholog wspierał mężczyznę, który uczył się, jak być ojcem. Dzisiaj wynajmują mieszkanie, pracują, wychowują gromadkę dzieci.

Drogi do domu

Był początek lat 90., kiedy Sam Tsemberis, psycholog kliniczny z nowojorskiego szpitala zapytał jednego ze swoich pacjentów, bezdomnego mężczyznę: „Czego potrzebujesz?". Ten odpowiedział: „Mieszkania".

Tsemberis potraktował jego słowa serio. Stworzył fundację Pathways to Housing z nowatorską metodą wspierania osób doświadczających bezdomności „Najpierw Mieszkanie". W popularnym, „drabinkowym" systemie pomocy najpierw stawia się na działania terapeutyczne i socjalizacyjne: zachęca do zadbania o higienę, zdrowie, rozpoczęcia odwyku, znalezienia pracy. Dopiero na końcu, jeśli te działania przyniosą skutek, pojawia się lokum. Tsemberis i jego współpracownicy postawili ten schemat na głowie.

Tę samą odpowiedź, co Tsemberis, usłyszałam nie tak dawno w jadłodajni dla osób potrzebujących. W Krakowie trwały właśnie obchody Światowego Dnia Ubogich. Zaproponowałam jednemu z mężczyzn, by skorzystał z przygotowanej z tej okazji oferty: posiłków, bezpłatnych porad prawnika i pracownika socjalnego, warsztatów i koncertów. Zły rzucił znad talerza: „Ludzie nie potrzebują tego wszystkiego. Oni po prostu chcą mieć dom".

Pomysł Tsemberisa okazał się zaskakująco skuteczny. Pathways to Housing podaje, że ok. 80 proc. objętych programem zdołało utrzymać się w mieszkaniach. Model z powodzeniem kopiowany jest w wielu krajach Europy. Czemu nie spróbować i u nas?

W styczniu i lutym wystartowały dwa projekty pilotażowe testujące, jak metoda sprawdzi się u nas: realizowany w Warszawie przez fundację Fundusz Współpracy (20 mieszkań) i równolegle w Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu przez Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta (w sumie 30 lokali). Realizację w Krakowie planuje Dzieło Pomocy św. Ojca Pio.

Mieszkanie, tylko skąd?

– Dobrze, że jesteś. Chodź, pomożesz mi. Jak myślisz, który lepszy? – Piotrek pokazuje mi kilka typów foteli na stronie sklepu meblowego. Przez kolejną godzinę

Kamiliańska Misja Pomocy Społecznej częstuje ciepłymi posiłkami osoby w kryzysie bezdomności, Warszawa, styczeń 2017 r.

będziemy porównywać ceny szafek pod telewizor, mierzyć stoliki, dyskutować o układzie mebli i wyższości szuflad nad otwartymi półkami. Kiedy się poznaliśmy, mieszkał w schronisku dla bezdomnych mężczyzn. Od kilku miesięcy wynajmuje spory pokój w dzielonym mieszkaniu.

– Wiesz, co jest najfajniejsze? – mówi. – Że mogę sprzątać, kiedy chcę. W schronisku, jak wpisali cię na dyżur, to nieważne, że akurat jesteś w pracy albo masz jakieś plany. Musisz sprzątnąć teraz i już. Co najwyżej mogłem dać piątkę jakiemuś chłopakowi, żeby zrobił to za mnie. Rano trzeba było wychodzić, wracać dopiero po 15, nawet w weekendy. Ja zresztą i tak przychodziłem zawsze najpóźniej, jak się da. Teraz po pracy odpocznę sobie, obejrzę coś w telewizji. Mogę zaprosić do siebie znajomych.

Z Magdaleną też spotykamy się u niej. Proste meble, miękkie narzuty, świece i kwiaty w doniczkach – wszystko urządziła tu sama. Kiedy rozmawiamy, głaszcze po grzbiecie brązowego kundelka. – On też był bezdomny, więc wiele nas łączy – mówi.

Gdyby nadal mieszkała w placówce, ich drogi nigdy by się nie połączyły. W miejscach zbiorowego schronienia obowiązuje zakaz trzymania zwierząt.

– Po śmierci męża załamałam się i wpadłam w uzależnienie od alkoholu – opowiada. – Dodatkowo od wielu lat leczyłam się psychiatrycznie i regularnie przyjmowałam leki. Kiedy zaczęłam pić, odstawiłam je, co spowodowało wiele komplikacji. W końcu trafiłam do szpitala na stacjonarne leczenie, ale gdy terapia się skończyła, po prostu nie miałam dokąd pójść. Wcześniej pracowałam, miałam dom i normalne życie. Cztery lata picia sprawiły, że straciłam prawie wszystko.

Tak trafiła do domu dla bezdomnych kobiet prowadzonego przez siostry zakonne: – Początkowo czułam się tam tragicznie. Nie mogłam się utożsamić z przebywającymi tam paniami, z miejscem do spania w pokoju dzielonym z dwiema obcymi osobami, ze wspólnymi posiłkami, modlitwami, z robieniem wszystkiego na dzwonek.

Zwolennicy modelu „Najpierw Mieszkanie" często odwołują się do piramidy potrzeb według Maslowa. Żeby realizować te wyższego rzędu, trzeba najpierw ↦

zaspokoić bazowe. W tym potrzebę bezpieczeństwa, a o nie trudno bez stabilnego dachu nad głową, ciepłych czterech ścian i klucza w kieszeni. Problem jest wtedy, gdy okazuje się, że ten, zdawałoby się, podstawowy pułap to w rzeczywistości poprzeczka zawieszona bardzo wysoko.

Oryginalny amerykański program „Housing First" opiera się na wynajmie lokali od prywatnych właścicieli. Zakłada się, że 30 proc. dochodu mieszkańca (może to być zarówno renta, jak i wynagrodzenie za pracę) plus dodatek mieszkaniowy wystarczą na pokrycie kosztów. Oczywiście zdarza się, że osoba początkowo nie ma żadnych dochodów, nie pracuje, nie pobiera świadczeń. Wtedy czynsz płaci za nią fundacja. Z czasem jednak większość zyskuje samodzielność.

Piotr płaci za pokój 700 zł plus media. Gdy rozpoczął pracę, zarabiał minimalną krajową, wtedy jeszcze 1634 zł na rękę. Ceny wynajmu kawalerek w Krakowie wahają się od 1500 do 2500 zł. Nawet teraz, gdy dostał podwyżkę, nie może sobie pozwolić na własne mieszkanie.

Magdalena lokum, w którym żyje, dostała dzięki niewielkiej fundacji pomagającej osobom w kryzysie: – Ponoszę tylko koszty eksploatacji, na co spokojnie mnie stać. Mogę godnie żyć, dbając o zdrowie, spłacać długi z mojego ciemnego okresu życia, ale też realizować marzenia.

Wcześniej wynajmowała pokój. Lubiła swoich współlokatorów, choć dzielenie przestrzeni ze studentami to niekoniecznie to, o czym marzy introwertyczka w dojrzałym wieku.

Fundacja Fundusz Współpracy dostała mieszkania od miasta. Towarzystwo Brata Alberta ma do dyspozycji lokale komunalne, Skarbu Państwa i kilka wynajmowanych prywatnie od znajomych i sojuszników organizacji. W obu przypadkach, tak jak w oryginalnym projekcie, pozostaje zobowiązanie do przekazania jednej trzeciej dochodu na czynsz, nikt jednak nie łudzi się, że to wystarczy. Na czas trwania pilotażów organizacje mają zapewnione środki unijne, później jednak będą musiały samodzielnie opłacać lokale i poszerzać bazę mieszkań.

W czterech ścianach

Jednym z nielicznych krajów europejskich, w którym wskaźnik bezdomności wyraźnie i konsekwentnie spada, jest Finlandia. Tu model „Najpierw Mieszkanie" stał się częścią krajowej polityki przeciwdziałania bezdomności, a dużą bazę przystępnych cenowo mieszkań udało się stworzyć, przerabiając dawne budynki zbiorowego schronienia na bloki z samodzielnymi kawalerkami. Zachętą były dopłaty z funduszu państwowego pokrywające 50 proc. kosztów renowacji, o ile zostanie spełniony warunek stworzenia niezależnych lokali z łazienką i aneksem kuchennym.

Realizacja programu „Najpierw Mieszkanie" w makroskali na pewno wymaga dużych inwestycji. Jednak w dłuższej perspektywie czasowej się opłaca. W wielu krajach po jego wprowadzeniu spadły koszty związane z interwencjami pogotowia wzywanego do ludzi żyjących na ulicach, pobytami w szpitalach, izbach wytrzeźwień, aresztach, pracą służby miejskiej. Mimo to trudno dziś sobie wyobrazić wprowadzenie w Polsce reform podobnych do tych w Finlandii. Takiego przedsięwzięcia nie da się zrealizować w ciągu jednej kadencji. Wielu Polaków żyje z perspektywą 30 lat spłacania kredytu hipotecznego. Inni zarabiają za mało, żeby dostać kredyt, a za dużo, by starać się o mieszkanie socjalne, i jakoś muszą sobie radzić. Trudno oczekiwać, że poprą rozdawanie mieszkań prawie za darmo tym, którzy „na to nie zasłużyli". W Polsce mieszkanie to wciąż luksus.

Fiński model „Najpierw Mieszkanie" we wspólnych budynkach odbiega od amerykańskiego wzorca. W programie realizowanym przez Pathways to Housing kładzie się duży nacisk na rozproszenie lokali. To sprzyja socjalizacji, przeciwdziała powstawaniu gett i stygmatyzacji. Jednak Finowie przekonują, że jest też druga strona medalu. Juha Kaakinen, prezes helsińskiej Y-Foundation i ekspert z zakresu fińskiej polityki przeciwdziałania bezdomności, zauważa, że dla wielu klientów „Najpierw Mieszkanie" problemem jest samotność w czterech ścianach. Dla tych, którzy spędzili lata na ulicy, dom jest marzeniem, ale też wyzwaniem. Sąsiedztwo osób o podobnych doświadczeniach pozwala łagodniej przejść przez zmianę.

> Dla tych, którzy spędzili lata na ulicy, **dom jest marzeniem, ale też wyzwaniem.** Sąsiedztwo osób o podobnych doświadczeniach pozwala łagodniej przejść przez zmianę.

– Odwiedziłam niedawno mężczyznę, który dostał mieszkanie socjalne po wielu latach bezdomności ulicznej – opowiada Katarzyna Lech, kierowniczka zespołu specjalistów w programie realizowanym przez Fundusz Współpracy. – Opowiadał, że na początku nawet nie był w stanie wejść do środka. Siedział na ławce przed blokiem i długo patrzył w okna swojego domu. Czuł lęk. Kiedy wreszcie przełamał się i zamknął za sobą drzwi, płakał i miał myśli samobójcze. Musiał oswoić się ze zmianą.

Ekwiwalent miłości

– Najpierw mieszkanie, a dopiero potem terapia? – zastanawia się Piotrek. – Pewnie bym ich robił w bambuko. Wiesz, na ilu terapiach byłem, zanim naprawdę przestałem pić? Wysyłali mnie z pracy. Jechałem, żeby mnie nie wylali. Wracałem i piłem znowu.

– A gdyby nikt cię nie wysyłał? Gdyby czekali, aż to będzie twoja decyzja? – dopytuję.

– Sam nie wiem. Alkoholik najpierw musi poczuć konsekwencje swojego picia, a potem też korzyści wynikające z trzeźwości.

„Naszym nadrzędnym celem jest stworzenie programu będącego ekwiwalentem bezwarunkowej miłości" – pisze o „Najpierw Mieszkanie" Sam Tsemberis. W jego modelu nie ma wymogu trzeźwości, obowiązku poddania się leczeniu, wykazywania postępów w socjalizacji i aktywizacji zawodowej. Uczestnik musi się tylko zgodzić na cotygodniowe wizyty członka zespołu terapeutycznego. Potem wspólnie z nim, w swoim tempie i zgodnie z własnymi oczekiwaniami planuje zakres wsparcia.

– Brzmi idealistycznie, prawda? Nie tak dawno usłyszałem jednak zdanie: „Jeśli do czegoś dążymy, zostaniemy nazwani romantykami, ale jeśli do tego dojdziemy – uznają nas za realistów" – mówi Piotr Czyrka, członek zespołu specjalistów z warszawskiego projektu „Najpierw Mieszkanie". Ma doświadczenie pracy

w noclegowni i jak mówi, tam jego możliwości niesienia pomocy są ograniczone do doraźnego wsparcia: wydania pakietu żywnościowego, niezbędnych środków higienicznych, zapewnienia warunków do spania. – Samo mieszkanie to punkt wyjścia, podstawowe prawo człowieka i jednocześnie koło zamachowe do dalszej pracy. Pracy na podstawie relacji terapeutycznej. Nie zapominajmy, że te osoby w zdecydowanej większości miały kiedyś gdzie mieszkać, ale z jakichś przyczyn straciły do tego zdolność – dodaje Czyrka

Podkreśla, że jego zadaniem nie jest odgrywanie roli „złego rodzica", który karze dziecko za niepoprawne zachowanie. A tak niestety wciąż postrzega się pracę z osobą doświadczającą bezdomności, zwłaszcza uzależnioną: – W naszym programie mamy zapewnić człowiekowi poczucie godności i bezpieczeństwa. To, co robi uczestnik, robi dla siebie. Ma też prawo do popełniania błędów. Dla osoby w kryzysie bezdomności alkohol to często jedyny dostępny od ręki lek na cierpienie. Nakaz abstynencji, bez uzbrojenia człowieka w inne sposoby radzenia sobie w kryzysie, na ogół nie daje szansy na trwałą zmianę.

Doświadczenia amerykańskie i fińskie pokazują, że nie każdemu udaje się za pierwszym razem. Czasem zdarza się, że któryś z lokatorów nie przestrzega obowiązujących w budynku norm i właściciel mieszkania żąda wyprowadzki. Autorzy programu zdają się być na to przygotowani. Znajdują dla danej osoby nowe lokum, wspierają, co nie oznacza, że zwalniają ją z odpowiedzialności za jej działania. Jeśli pojawiły się zaległości w opłatach lub podczas nawrotu choroby ktoś sprzedał meble zakupione ze środków programu, będzie zmuszony je stopniowo spłacić. Jednak żaden z tego typu problemów nie spowoduje, że zostanie z programu wykluczony.

– Na pewno musimy uzbroić się w cierpliwość – mówi Piotr Czyrka. – Podążać małymi krokami za możliwościami uczestników. Jesteśmy przygotowani na różne reakcje i zachowania: także na to, że niektóre osoby będą z mieszkań uciekać.

– Na zdrowienie patrzymy jak na proces – tłumaczy Katarzyna Lech. – Miarą sukcesu niekoniecznie jest pełna samodzielność danej osoby, ale poprawa warunków jej funkcjonowania.

Kryterium doboru osób do programu wcale nie są dobre rokowania: – Wybieramy tych, **którzy mają najmniejsze szanse na przetrwanie** w dotychczasowych warunkach.

Piotr Olech, koordynator programu Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta, wyjaśnia, że kryterium doboru osób do programu wcale nie są dobre rokowania: – Powiem wprost: wybieramy tych, którzy mają najmniejsze szanse na przetrwanie w dotychczasowych warunkach.

– Do jednego z naszych mieszkań wprowadziła się młoda dziewczyna, narkomanka – opowiada Juha Kahila, jeden z pracowników fińskiego programu „Najpierw Mieszkanie". – Mimo naszych sugestii nigdy nie zdecydowała się na odwyk. Przedawkowała. Znaleziono ją martwą w mieszkaniu. Niedługo po tym dostaliśmy list od jej matki. Trochę baliśmy się go otworzyć. Spodziewaliśmy się ogromnego żalu i pretensji, że nie uratowaliśmy jej dziecka. Tymczasem, mimo smutku i żałoby, matka była nam wdzięczna. Napisała: „Przynajmniej wiem, że moja córka nie umierała na ulicy". Czasem możemy zrobić tylko tyle.

Najpierw człowiek

Z czasem Magdalena wypracowała strategię, jak radzić sobie z życiem w placówce.

– Zaczęłam pomagać innym mieszkankom domu – wspomina. – Mój pokój stał się takim małym biurem, do którego przychodziły panie, jeżeli czegoś potrzebowały. Przestałam myśleć o sobie i wyjściu z bezdomności. Ocknęłam się dopiero po czterech latach.

Piotrek pamięta, jak zawsze przygotowywał się do wizyty w MOPS-ie. Po zasiłek przychodził wygolony i pachnący. Zakładał najlepsze ciuchy – koszulki Lacoste lub Hilfigera wypatrzone w internetowych outletach albo sklepach z używaną odzieżą. Robił to trochę na złość.

– Oczekują, że będziesz brudnym „dziadem" z siatami. Patrzą na ciebie z góry – mówi z irytacją o pracownikach pomocy społecznej. – Gdy musiałem tam iść, byłem chory.

Do dziś wspomina, jak jedna z urzędniczek wpuściła go, bezdomnego, za swoje biurko. Potrzebne było zaświadczenie o wpływach do ZUS-u, chciała go po nie odesłać. Wtedy zaproponował, żeby weszła na jego konto online. Zmieszana, chyba nie wiedziała, jak to zrobić, oddała mu swoje krzesło i poprosiła, by się zalogował.

– Różnica między osobą z organizacji pomocowej a tą, która przychodzi po wsparcie, jest taka, że ta pierwsza swoje słabości ma głęboko ukryte, schowane pod ładnym ubraniem, prestiżem, pozycją społeczną, a ta druga ma je niemal wypisane na twarzy – mówi Jolanta Kaczmarczyk. – Każdy z nas popełnia błędy, czasem zachowuje się irracjonalnie, podejmuje niesłuszne decyzje. Jeśli nie będę siadała do rozmowy z osobą potrzebującą z tą świadomością, to nigdy nie wejdę w relację równości, nie zatroszczę się o zachowanie jej poczucia godności i sprawczości, nie dam drugiemu mocy do zmiany życia. Bo zmiany zawsze dokonuje ta osoba, nie ja.

– Sam Tsemberis stworzył „Najpierw Mieszkanie". Dla mnie najważniejsze, że u podstaw jego programu jest podejście „najpierw człowiek" – mówi Julia Wygnańska, koordynatorka merytoryczna warszawskiego projektu i od wielu lat propagatorka metody „NM" w Polsce. – Zapytał doświadczającego bezdomności, czego potrzebuje. Nie decydował za niego.

– Kiedy jeszcze piłeś, nie miałeś dachu nad głową, gdzieś musiałeś znaleźć ten punkt zaczepienia. Jak to się stało, że poszedłeś na leczenie, stanąłeś na nogi? – pytam Piotrka, gdy odprowadza mnie na przystanek.

– Takim punktem byli dla mnie wolontariusze z jednej fundacji – odpowiada. – Dziś mogę powiedzieć: moi przyjaciele. Nigdy nie dali mi odczuć, że jestem od nich gorszy. Przyjęli mnie do swojego grona. Przyglądałem im się. Pomyślałem, że ja też mogę mieć udane życie.

© DOROTA BIDZIŃSKA

Imiona niektórych bohaterów zostały na ich prośbę zmienione. Więcej o metodzie „Najpierw Mieszkanie" na stronie: www.czynajpierwmieszkanie.pl.

MICHAŁ KSIĄŻEK

Linia energetyczna w okolicach Gnilca. Padające drzewa zrywały ją od wielu lat, grudzień 2019 r.

Nadleśnictwo Erewań

MICHAŁ KSIĄŻEK

Szef firmy odpowiadającej za PR Lasów Państwowych zamieszczał wpisy na facebookowej stronie atakującej ekologów. Również w oficjalnych przekazach leśnicy uciekają się do manipulacji, żeby oczernić obrońców przyrody.

Facebookowy fanpage „Mieszkańcy Puszczy" wyglądał jak lokalna inicjatywa części mieszkańców Puszczy Białowieskiej, tych sprzyjających wycince i gospodarce leśnej. Obrywało się tam działaczom organizacji ekologicznych. Błąd Facebooka ujawnił, że wpisy zamieszczał szef firmy PReal's, która jednocześnie odpowiadała za pi-ar Regionalnej Dyrekcji LP w Białymstoku. Ta wiadomość to jeszcze jeden powód, by do informacji płynących z Lasów Państwowych odnosić się z dystansem. Wystarczy przyjrzeć się zeszłorocznym doniesieniom z Puszczy Białowieskiej.

Żubr

W lutym w Puszczy drzewo spadło na cielę żubra. Zdarza się. Dwa lata temu drzewo zabiło żubra w Bieszczadach. Tam leśnicy uznali to za przypadek. Na Podlasiu interpretacja poszła znacznie dalej.

„To zdarzenie pokazuje, że mamy do czynienia z rzeczywistym zagrożeniem, któremu niestety nie możemy w pełni realnie zapobiegać ze względu na uwarunkowania prawne" – tłumaczył dyrektor Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku, Andrzej Nowak.

„Uwarunkowania prawne", które jakoby powstrzymują leśników, to zakazujący cięć wyrok Trybunału Sprawiedliwości UE, proces o zaniechanie naruszenia środowiska przed Sądem Okręgowym w Warszawie oraz rekomendacje UNESCO, jakie przedstawiono leśnikom w specjalnym raporcie po wycince z 2017 r. Zdaniem leśników stoją za nimi ludzie zwani „ekologami". Ale jakiekolwiek by owe „uwarunkowania prawne" były, zdumienie budzi już samo twierdzenie, że leśnicy są w stanie zapobiec wszystkim wypadkom i potknięciom w lasach. Wrażenie panowania nad zdarzeniami losowymi i obietnica bezpieczeństwa są ułudne i fałszywe. Wypadki zwyczajnie będą się zdarzać.

Przyjmijmy jednak na chwilę argumentację, że „uwarunkowania prawne" uniemożliwiają leśnikom ratowanie cieląt żubrów, jeleni, saren, a także szczeniąt lisów i jenotów przed padającymi z nagła konarami. Przecież zanim usłyszeli wyrok TSUE (kwiecień 2018) i przyjechała komisja z ramienia UNESCO (wrzesień 2018), to Dyrektor Generalny Lasów Państwowych ustanowił strefę referencyjną w lasach, gdzie zginął żubr, zakazując tam cięć gospodarczych (wiosna 2016). Zatem to nie tyle Komisja Europejska czy UNESCO, lecz ich własny pryncypał jako pierwszy związał im ręce.

I tak mógłbym zakończyć wątek o żubrze, ale oto dowiaduję się, że zginął w pobliżu poletek łowieckich, na których dokarmiana jest zwierzyna. Było to więc miejsce koncentracji żubrów, ich względnie stałego przebywania. Dokarmianie mogło sprzyjać wypadkowi. Okoliczne drzewa noszą wszak ślady otarć, czochrania i złamań, jakie zostawiają żubry. Byk waży nawet 700 kg, jeśli po drodze na śniadanie czochrał się o pień, mógł zwyczajnie złamać suche drzewo, które spadło na przechodzącego obok żuberka.

Okazuje się też, że żubr zginął pod drzewem przydrożnym. Otóż żaden akt prawny nie zabrania leśnikom wycinania i pielęgnowania niebezpiecznych drzew w sąsiedztwie dróg. Właśnie tu powinni troszczyć się o bezpieczeństwo, nie w głębi lasu. Dlaczego nie usunęli zagrażającej wierzby?

Wierzba, nie świerk

Doniesienie prasowe RDLP z Białegostoku nie mówiło o gatunku drzewa, a jedynie o „suchym drzewie". Ale sformu-

łowanie „martwy świerk” pojawiło się w tym doniesieniu kilka razy. I to w kontekście milionowego występowania. To wystarczyło, by przekonać niejednego odbiorcę o tym, że świerk zabił żuberka. A kto wcześniej bronił świerków przed wycinką? Ekolodzy!

Tak kreuje się fakty medialne: w przekazie leśnicy tworzą dziurę informacyjną (pomijając gatunek drzewa), ale podsuwają zaraz narrację o „martwym świerku” (by czytelnik sam uzupełnił lukę w opowieści). W ten sposób autor prasówki pozostaje niewinny. By obowiązkowi i dezinformacji zarazem stało się zadość, Generalna Dyrekcja Lasów w Warszawie napisała, że żubra zabiła iwa.

Ale zdarzają się oskarżenia formułowane bezpośrednio, bez wymachiwania martwym świerkiem. Po głośnej wymianie zdań między kapelanem leśników a świadkiem blokady wywozu drewna na Drodze Narewkowskiej w sierpniu 2017 r. RDLP Białystok podała, że ksiądz został uderzony. Że doszło do „naruszenia nietykalności cielesnej”. Bez sprawdzania faktów użyto sformułowania z kodeksu karnego. Niedawno sąd oczyścił oskarżonego ze wszystkich zarzutów. To oznacza, że ksiądz i leśnicy kłamali. Ale co tam – kolejna fala hejtu znów uderzyła w ludzi chroniących przyrodę.

Doniesienie o śmierci żubra również wywołało burzę werbalnej agresji. „Martwe drzewo, zniszczone przez kornika, przewróciło się na młodego żubra i go zabiło” – napisał redaktor portalu wgospodarce.pl, oskarżając ekologów. Tymczasem żubr zginął pod wierzbą, a kornik drukarz nie żeruje na wierzbie. Wierzba uschła ze starości albo z braku wody. Być może złamał ją żubr. Na jedynych trzech udostępnionych zdjęciach widać duży ubytek kory na pniu, jaki powstaje wskutek ocierania się zwierzęcia o drzewo. Kiedy poprosiłem leśników o pozostałe zdjęcia i dokumenty (w trybie informacji publicznej), odpisali, że niczego takiego nie posiadają.

Kręgi pożogi

„W Puszczy Białowieskiej jest bomba, która w każdej chwili może wybuchnąć. Eksplozja połączona z pożarem może zniszczyć nawet kilkaset hektarów” – alarmowali leśnicy w kwietniu 2019 r., rozsyłając informację prasową do mediów. „Zagrożenie pożarowe wzrosło 1000-krotnie!” – dodawali. Obok „suchych świerków” pojawiało się sformułowanie „palący problem”.

Chodzi o jednostkę wojskową umieszczoną w Puszczy, kilka kilometrów na wschód od Hajnówki. Leśnicy alarmują, że w przypadku pożaru – a jakże! – suchych czy martwych świerków może zapalić się też jednostka i dojść do eksplozji materiałów wybuchowych. Do prasówki dołączyli wizualizację katastrofy: kontrastowe trzy kręgi rozchodzące się wokół jednostki na Puszczę i część Hajnówki.

Czytelnicy nigdy nie dowiedzieli się, co symbolizują żółto-czerwone kręgi. Zasięg ognia czy też eksplozji? Czy chodzi o jakąś falę uderzeniową? Może granice planowanych wycinek? Tajemnicą pozostało też, w jaki sposób wyliczono ich promień. Ważne, że wizualizacja w formie ozdoby choinkowej robiła wrażenie. Sytuacja wydawała się dużo poważniejsza niż w przypadku jednego świerka mordercy, który okazał się wierzbą.

Ale dlaczego harwestery w 2017 r. nie usunęły świerków wokół jednostki, choć usychają tam od lat? Maszyny cięły tam niewiele, a głównie w głębi Puszczy, w miejscach, gdzie nie ma ładunków wybuchowych i zagrożenia. I skoro ogień jest zagrożeniem (czego nikt nie lekceważy), to czemu leśnicy nie dbają o retencję wody w Puszczy?

Nam ciąć nie kazano

9 września ub.r. w Puszczy, w leśnictwie Gnilec, wybuchł pożar. Filmy na stronie FB nadleśnictwa były przerażające. Suchy świerk – a jakże! – spadł na linię energetyczną, doszło do zapłonu i płoną – cóż by innego? – suche świerki. Pożar rozprzestrzenia się błyskawicznie.

Przekaz pomijał, że w miejscu pożaru świerki są zielone, a palić musiało się już dobrych parę godzin, zanim ogień odkryła grupka energetyków, którzy przyjechali do awarii linii. Przekaz nie informuje, że był to tzw. pożar pokrywy gleby, nie koron (tak stoi w ewidencji). Spłonął obszar wielkości boiska szkolnego, ale nie drzewa. Straty oceniono na około 3 tysiące zł.

Wzdłuż feralnej linii energetycznej co 30-40 metrów stoją suche sosny, olchy, brzozy; owszem, są i świerki, w mniejszości. Do pożaru mogło tam dojść w każdej chwili od wielu lat, sądząc po liczbie i stanie połamanych i zagrzybionych drzew. Nic dziwnego, że nadleśniczy relacjonował z miejsca pożaru: „Niestety stało się to, czego się obawialiśmy...”. Z taką liczbą drzew zagrażających linii energetycznej każdy może bawić się w jasnowidza i przewidzieć pożar.

Rozmawiam ze znajomymi leśnikami, czemu nie wycinają takich drzew. To obowiązek energetyków, słyszę odpowiedź. Energetycy mają wycinać drzewa w Lasach Państwowych? Kto zdaniem leśników jest winien pojawieniu się kornika? Ekolodzy. Kto winien suszy? Spółka Wody Polskie. Szkód od zwierzyny? Myśliwi. Kto winien pożarów? Energetycy. Nigdy Lasy Państwowe.

Tamtego dnia na Gnilcu energetycy stwierdzili nie tylko pożar, ale też dużą awarię linii energetycznej na odcinku prawie kilometra. Uszkodzonych zostało aż 10 „przelotów”, czyli odcinków drutów między słupami, zapewne wskutek padających drzew. Doniesienia leśników pomijały ten ważny fakt. Ciekawe, że kiedy poprosiłem o wizję lokalną, nikt z pięciu obecnych pracowników Lasów Państwowych nie umiał wskazać świerka, o którym tak ochoczo pisali w doniesieniach.

Jęk pił

Nie wierzę leśnikom. O kolejnych półprawdach i kłamstwach można by mówić długo. Dlatego śmieszą mnie sugestie rzecznika Lasów Państwowych Krzysztofa Trębskiego, że firma PReal’s miała umowę tylko z Regionalną Dyrekcją Lasów Państwowych w Białymstoku, a Lasy Państwowe nie mają z tym nic wspólnego. Przecież Trębski sam jest specem od PR, nie jest leśnikiem. Tak, rzecznikiem leśników nie jest leśnik, lecz były szef redakcji „Wiadomości” TVP w zielonym mundurku. W swoich wystąpieniach dezawuuje ruchy społeczne. Wykorzystał na przykład głośną i absurdalną budowę zamku na obszarze Natura 2000, by obciążać nią polski ruch ochrony przyrody.

Czekamy zatem na kolejne doniesienia. W tym roku leśnicy zamierzają przystąpić do cięć w Puszczy Białowieskiej, jęk pił dochodzi z Bieszczadów i lasów całej Polski. Nie zabraknie więc tematów do dowcipów. Ja proponuję taki, na wzór sławnych dialogów o Radiu Erewań z epoki sowieckiej: nadleśnictwo podaje, że leśnicy ratują świerka w Puszczy Białowieskiej. Słuchacze pytają, czy to prawda. Tak, prawda. W stu procentach prawda. Ale nie ratują, tylko wycinają. Nie świerka, ale wszystko. Nie w Puszczy, ale w Polsce. ©

Klasa i kasa

MICHAŁ OKOŃSKI

Muzeum POLIN ma w końcu nowego dyrektora – i ma w końcu pieniądze z tzw. grantu norweskiego. Pomyślne zakończenie kryzysu wokół placówki wiąże się jednak z utratą resztek wiarygodności ministrów Piotra Glińskiego i Jarosława Sellina.

Oskarżenia, jakie formułował pod moim adresem pan minister Gliński, były fałszywe" – mówił w poprzednim numerze „TP" Dariusz Stola, b. dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Po naszej publikacji MKiDN wysunęło kolejne oskarżenia, a my ujawniliśmy na stronie internetowej „Tygodnika" pismo dowodzące, że i one są nieprawdziwe. Resort nie wycofał się wprawdzie ze swoich stwierdzeń, ale podjęte przez jego zwierzchników decyzje mówią o ich wiarygodności więcej niż jakiekolwiek sprostowanie.

Nieduże kwoty ministra

Przypomnijmy: prof. Stola przedstawił w opublikowanym przez nas tydzień temu wywiadzie okoliczności, w jakich w styczniu 2018 r. Ministerstwo Kultury próbowało wymusić na nim przekazanie kwoty trzech do pięciu milionów euro z przyznanego kierowanej przezeń placówce tzw. grantu norweskiego na rzecz nieistniejącego wówczas Muzeum Getta Warszawskiego.

„Idę z koleżanką, na wstępie dziękuję, mówię, że się cieszę z tego spotkania, bo to już najwyższy czas brać się do roboty – relacjonował Stola. – I słyszę, że nie: że musimy o tym poważnie porozmawiać, bo to niesprawiedliwe, żeby tylko muzeum dostało te pieniądze. »Co pani przez to rozumie?«. »Jest tyle cennych przedsięwzięć z zakresu żydowskiego dziedzictwa kulturowego, dlaczego tylko wy macie dostać te pieniądze?«. »Bo Norwedzy nam ufają, wiedzą, że potrafimy to robić, a tak w ogóle, to o jakich projektach pani mówi?«. »No, konkretnie to chodzi o Muzeum Getta Warszawskiego«. »To ono istnieje?«. »Nie, jeszcze nie«. »Ma dyrektora może?«. »Nie«. »Ma jakąś załogę, która potrafi takie projekty realizować?«. »Nie, ale będzie miało«".

W reakcji na naszą publikację wiceminister kultury Jarosław Sellin stwierdził w wypowiedzi dla Onetu, że resort miał „poważne zastrzeżenia co do sposobu, w jaki dyrektor Stola wydaje pieniądze z funduszy norweskich" – co stoi w sprzeczności z postawą samego wiceministra Sellina jako członka rady Muzeum POLIN. „Min. Gliński zarzucał mi straszne grzechy, w tym złamanie statutu muzeum, a jego zastępca nadzorował na bieżąco nasze prace i w przypadku wątpliwości mógł przecież formułować zastrzeżenia, np. podczas przyjmowania sprawozdań rocznych" – mówił w rozmowie z „TP" Stola. Wedle jego relacji minister Sellin „miał jakieś drobne uwagi, np. że zapraszamy niewłaściwych duchownych, zresztą w związku ze spotkaniem z ks. Bonieckim. Na szczęście kilkanaście dni wcześniej bardzo pochwalił nas kard. Nycz, więc mogłem w dyplomatyczny sposób dać mu do zrozumienia, że nie musi być bardziej katolicki od kardynała". Jak dodawał b. dyrektor Muzeum POLIN, „z posiedzeń rady muzeum sporządzane są protokoły. Żaden z zarzutów, jakie padały wobec mnie w ostatnich miesiącach, w ich trakcie nie padł. Albo więc zostały wymyślone *ad hoc*, albo ministrowie Gliński i Sellin się nie komunikują".

W kolejnej rozmowie z „Tygodnikiem", przeprowadzonej już po publikacji wywiadu „Powód za pięć milionów", prof. Stola mówi, że nieprawdziwe są również inne twierdzenia wiceministra Sellina. Wiceszef resortu kultury opowiadał: „Staraliśmy się przekonać dyrektora [Stolę – red.], żeby w kolejnym budżecie przeznaczył te pieniądze na bardziej konkretne działania. W Polsce jest ok. 1500 żydowskich cmentarzy, część w fatalnym stanie. Są zaniedbane synagogi. Czasem, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, to jedyne ślady po diasporze żydowskiej. Proponowaliśmy, żeby część z tych 10 mln euro przeznaczyć na renowację takich miejsc".

Otóż jak informuje nas prof. Stola, z sugestią dotyczącą cmentarzy żydowskich wiceminister Sellin zwrócił się do muzeum dopiero we wrześniu 2018 r., prawie osiem miesięcy po rozmowie na temat przekazania znacznej części norweskiej dotacji nieistniejącemu Muzeum Getta Warszawskiego. Muzeum POLIN chętnie tę sugestię przyjęło i dodało do projektu komponent dotyczący cmentarzy, przeznaczając nań milion złotych.

„Tak, zaproponowaliśmy też dofinansowanie tworzenia Muzeum Getta Warszawskiego, które powstaje z inspiracji środowisk żydowskich. Ale nie chodziło o duże kwoty, po prostu pieniądze na rozruch" – zapewniał wiceminister Sellin. Słowom tym przeczy pismo sporządzone przez Dariusza Stolę wkrótce po jego rozmowie w ministerstwie, którego skan i pełną treść zamieściliśmy na naszej stronie internetowej (powszech.net/

CZAREK SOKOŁOWSKI / AP / EAST NEWS

Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, obok: „TP" nr 9/2020 z rozmową z Dariuszem Stolą. Czytaj też: powszech.net/rozmowastola

pismo). Z listu wysłanego przez dyrektora Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN 19 lutego 2018 r. i dostarczonego do ministerstwa jeszcze tego samego dnia – listu, dodajmy, na który prof. Stola nigdy nie otrzymał odpowiedzi – wynika jednoznacznie, że mowa była o przekazaniu nieistniejącej jeszcze placówce 30-50 proc. grantu wielkości 10 milionów euro, czyli 3-5 mln euro. Nie jest to, jak chciałby wiceminister, nieduża kwota.

Anonimowe wywody resortu

Kilka godzin po wypowiedzi wiceministra Sellina na stronie internetowej MKiDN ukazał się także anonimowy artykuł „Niedominujący lider bierze wszystko, czyli odpowiedź na zarzuty prof. Dariusza Stoli ws. tzw. grantu norweskiego" – artykuł będący próbą zignorowania opisanych w „TP" faktów. Jego autor twierdzi np., że „powody, dla których prof. Dariusz Stola nie został powołany na stanowisko dyrektora Muzeum Polin były wielokrotnie formułowane i są jednoznaczne. Nie ma i nie było zgody na upolitycznianie Muzeum Historii Żydów Polskich" – ale w naszym wywiadzie była mowa, po pierwsze, o nieprawdziwości zarzutów o upolitycznieniu muzeum, a po drugie (o czym wspomnieliśmy w poprzednim wątku) o tym, że nie pojawiały się one w trakcie posiedzeń rady muzeum i że zaczęto je formułować dopiero po odrzuceniu przez prof. Stolę sugestii przekazania części pieniędzy z tzw. grantu norweskiego nieistniejącemu wówczas Muzeum Getta Warszawskiego.

Co się zaś tyczy samego grantu norweskiego: projekt „Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe" został opracowany w Muzeum POLIN jeszcze w 2016 r., a następnie przekazany stronie norweskiej właśnie za pośrednictwem MKiDN, które nie miało zastrzeżeń ani do jego wysokości, ani wykonawcy. Został przez obie strony zatwierdzony jako tzw. projekt predefiniowany – w umowie międzyrządowej z 20 grudnia 2017 r. wymieniono właśnie Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN jako instytucję mającą go realizować. Oznacza to m.in., że właśnie dyrektor muzeum odpowiadał za całość przyznanych środków, w tym za ewentualne nieprawidłowości w ich wydawaniu. „Każdy taki wypadek – uzasadniał swoją odmowę przekazania części grantu nieistniejącej instytucji dyrektor Stola w opublikowanym przez nas na stronie internetowej piśmie do ministerstwa – nawet ewidentnie zawiniony przez partnera, obciąży MHŻP jako formalnego beneficjenta: może skutkować nie tylko pogorszeniem reputacji muzeum (którą zbudowaliśmy z dużym wysiłkiem), ale też korektami finansowymi i utratą zdolności pozyskiwania grantów w przyszłości. Podobne straty poniósłby osobiście dyrektor MHŻP: podjęcie przezeń nadmiernego ryzyka lub firmowanie działań instytucji, na którą nie ma formalnie wpływu, mogłoby stać się podstawą jego negatywnej oceny, a nawet posądzeń o działanie na szkodę muzeum".

Nie chodziło więc o to, że – jak pisze autor artykułu na stronie resortu – muzeum „w sposób absolutnie uzurpatorski postawiło się w roli wyłącznego beneficjenta", tylko o realizację woli grantodawcy, który właśnie POLIN uznał za instytucję godną zaufania i zdolną do realizacji tak dużego i skomplikowanego przedsięwzięcia. Fakt, że taki zapis znalazł się w umowie międzyrządowej, świadczy zresztą o tym, że również polski rząd – a zatem także ówczesny minister kultury, czyli Piotr Gliński – nie miał do tego zastrzeżeń. Przypomnijmy raz jeszcze, że było to przede wszystkim efektem wysokiej oceny merytorycznej projektu poprzedniego, z lat 2014-17, o którym prof. Stola mówił w wywiadzie dla „TP". Za realizację tego projektu muzeum dostało nie tylko międzynarodową nagrodę Europa Nostra, ale też list pochwalny od... ↦

wiceministra Sellina. Zasadne jest pytanie, skąd nagła zmiana opinii resortu.

Klasycznym przykładem mydlenia oczu niezorientowanym czytelnikom jest pisanie przez anonimowego autora na stronie ministerstwa, że „wniosek Muzeum Historii Żydów Polskich o wypłatę środków w ramach projektu, zawierający liczne uchybienia formalne, został złożony do MKIDN dopiero 23 grudnia 2019 r. (!)" – jak udało się nam ustalić, Muzeum POLIN, skądinąd zarządzane już przez p.o. dyrektora Zygmunta Stępińskiego, otrzymało niezbędne dokumenty aplikacyjne od Ministerstwa Kultury dopiero 3 grudnia 2019 r., z terminem złożenia do 30 grudnia, nie ma tu więc mowy o opóźnieniu, a przynajmniej nie ze strony muzeum.

Lekcje klasy dyrektorów

W trakcie kryzysu wokół muzeum dowiedzieliśmy się niejednego o klasie osób pełniących funkcje publiczne. Np. o klasie ministra Glińskiego, który – konfrontowany z faktami, datami i liczbami – był w stanie rzucać wyłącznie ogólne oskarżenia albo, w duchu peerelowskiej propagandy, przypisywać swoim oponentom niecne intencje i sugerować skrywaną rzekomo przed opinią publiczną jakąś tajną wiedzę. „Profesor Stola dobrze wie, dla kogo miały być te pieniądze i dlaczego" – mówił w rozmowie z dziennikarzami pan wicepremier. Albo: „Grant [norweski – red.] pokazywał tylko, jakiego formatu menadżerem kultury jest pan prof. Stola. Uważał, że ma prawo do monopolizacji 40 mln zł tylko i wyłącznie na swoją instytucję".

W obliczu takich wypowiedzi rodzi się pytanie, czy minister w ogóle przeczytał umowę międzyrządową, na podstawie której Muzeum POLIN powierzono prowadzenie projektu „Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe" (szczegółowo mówiliśmy o tym – zwłaszcza o genezie faktycznie wyjątkowo hojnej dotacji dla warszawskiej placówki – w poprzednim numerze „TP"). W każdym razie dosadne porównanie tej sytuacji z braniem kredytu na słupa (Malinowski bierze kredyt, wydaje go Kowalski – analogicznie grant otrzymuje Muzeum POLIN, a wydaje nieistniejąca instytucja), użyte przez prof. Stolę w rozmowie z radiem Tok FM, zdaje się tu być bardzo na miejscu.

Na szczęście sporo dowiedzieliśmy się również o klasie osób, którym powierzono troskę o funkcjonowanie Muzeum Historii Żydów Polskich. Najpierw o klasie samego prof. Stoli, który dla dobra tej instytucji zrezygnował z przysługujących mu w związku z wygranym konkursem na dyrektora praw i umożliwił współzałożycielom placówki – Stowarzyszeniu Żydowski Instytut Historyczny, miastu Warszawa oraz Ministerstwu Kultury – wyjście z wielomiesięcznego pata, spowodowanego faktem, że minister Gliński odmawia jego nominacji. Następnie o klasie jego wieloletniego zastępcy, później pełniącego obowiązki dyrektora w wyjątkowo trudnym okresie (zaniepokojeni postawą ministerstwa zagraniczni darczyńcy wycofywali się ze współpracy), a dzięki gestowi Stoli w końcu mianowanego na stanowisko dyrektora – Zygmunta Stępińskiego.

MATEUSZ GROCHOCKI / EAST NEWS

ZYGMUNT STĘPIŃSKI:

Będę robił wszystko, co w mojej mocy, aby rozwijać potencjał instytucji, której profesor Stola oddał tyle serca i kawał życia.

Dzień po odebraniu nominacji na trzyletnią kadencję dyrektor Stępiński wydał komunikat, w którym jasno ponazywał rzeczy po imieniu, począwszy od przypomnienia, że w maju 2019 r. odbył się konkurs, który bezapelacyjnie wygrał prof. Stola („Mój mentor, przełożony, kolega" – napisał o poprzedniku). „Nie byłoby zręcznie, abym dziś komentował lub recenzował proces wyboru czy też raczej braku wyboru prof. Stoli na kolejną kadencję – pisał. – Sam znalazłem się w niełatwej sytuacji, piastując przez ostatni rok funkcję p.o. dyrektora – wywiązywałem się z tego zadania najlepiej jak potrafię, wszakże ze świadomością, że jest ono tymczasowe – Muzeum ukształtował Pan Profesor i miał zaraz wrócić do gabinetu, który cały czas na niego czekał".

A potem, łamiąc formułę oficjalnego dokumentu, dodawał: „Darku, w tym miejscu zwrócę się do Ciebie bezpośrednio. Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych. Może to prawda. Ale prawdą jest też, że żyją wśród nas ludzie wyjątkowi, onieśmielająco mądrzy, którzy wpływają na bieg zdarzeń i kształtują historię. Mieliśmy ogromne szczęście, mogąc współpracować właśnie z taką osobą. Muzeum POLIN to jedna z najważniejszych instytucji kultury w Polsce i nie zejdzie ze szlaku, który wytyczyłeś. Liczę zresztą, że niejeden raz się na nim spotkamy" (na spotkaniu z dziennikarzami Stępiński już zadeklarował, że chciałby kontynuować współpracę z poprzednikiem, np. na płaszczyźnie naukowej).

I jeszcze: „Dzisiaj, gdy w poczuciu ambiwalencji wchodzę do Muzeum jako jego dyrektor, mam dla wszystkich jedno przesłanie: będę robił wszystko, co w mojej mocy, aby rozwijać potencjał instytucji, której profesor Stola oddał tyle serca i kawał życia. Muzeum POLIN będzie kontynuować swoją misję przywracania pamięci o polskich Żydach – angażująco, ciekawie i wiarygodnie opowiadając o ich zwyczajach, kulturze, religii i patriotyzmie, ponieważ byli, są i będą immanentną częścią wielokulturowej i wielonarodowej Rzeczypospolitej: wspólnego domu ludzi wielu wyznań, poglądów, tradycji i obyczaju".

O tzw. grancie norweskim dyr. Stępiński mówi równie jasno jak poprzednik: że był predefiniowany, a w związku z tym przekazywanie jego części komukolwiek nie wchodziło w grę. W tej sytuacji wiadomość, że ministerstwo kultury zdecydowało się nie blokować dłużej uruchomienia tych pieniędzy – o decyzji resortu w tej sprawie poinformowano w trakcie konferencji nowego dyrektora – należałoby właściwie uznać za zwycięstwo zdrowego rozsądku. Szkoda tylko – zważywszy na dymisję Dariusza Stoli oraz ilość złych słów, jakie w ostatnich miesiącach wypowiedziano na temat jednego z najlepszych polskich muzeów – że było to zwycięstwo pyrrusowe.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

ANNA

Dziewit-Meller:
Nie patrz tak na mnie badawczo

Piszę ten felieton w gwarnej kawiarni, pełnej ludzi, którzy najwyraźniej nie ulękli się groźby infekcji krążącej nad Europą. Kątem ucha słyszę, że słowo „koronawirus" pojawia się w paru konwersacjach sąsiadów: ten wrócił z nart w Dolomitach, tamten z kolei ma brata, który z wywczasów leciał w ubiegłym tygodniu przez Bergamo i brat wrócił z katarem, ale już mu przeszło. Może i w innych okolicznościach uległabym ogólnym nastrojom i odsunęłabym się nieco dalej od sąsiedniego stolika, osłaniając dyskretnie wierzchem umytej dokładnie dłoni moją kawę, gdyby nie to, że i ja przecież byłam dwa tygodnie temu na nartach przy szwajcarskiej granicy. Jako że wróciłam zdrowa jak koń, podobnie jak cała moja rodzina, z zaniepokojeniem przyjęłam badawcze spojrzenia znajomych, którzy widząc mnie jakby włączali termometry w oczach, wypatrując na mojej twarzy objawów. I jeśli naprawdę się czymś dzisiaj martwię, to tym, że wirus atakuje nie tylko górne drogi oddechowe, ale także to coś w mózgach, co odpowiada za zdrowy rozsądek. Cieszę się, że nigdy nie miałam żadnych oszczędności, które mogłabym zainwestować w cokolwiek, np. w giełdę.

Jako że lubię absorbującym mnie sprawom przyglądać się z różnych perspektyw, to korzystając wciąż z tego, że nikt jak dotąd nie zamknął Warszawy, siedziałam w tej kawiarni i czytałam książkę idealną na ten czas. „Co nas (nie) zabije. Największe plagi w historii ludzkości" Jennifer Wright to popularnonaukowa pozycja, napisana lekko i niestroniąca od specyficznego humoru. Autorka przygląda się licznym potężnym epidemiom, które nie tylko dziesiątkowały ludność świata, ale i – jak się potem nieraz okazywało – wpływały znacznie na jego dzieje.

Ot, choćby pierwsza z brzegu epidemia zwaną plagą Antoninów. Oczywiście badacze po dziś dzień spierają się ponoć o to, czy aby na pewno można dowieść, iż owa zaraza dziesiątkująca ludność Cesarstwa w czasach Marka Aureliusza faktycznie była tym kamieniem, który rozpoczął lawinę, pierwszym gwoździem do trumny imperium. Ale – jak pisze autorka „Największych plag" – nadeszła ona, gdy Rzym był u szczytu swej potęgi, sięgając od Syrii po Szkocję. Tu właśnie Rzymianie doszli do ściany – bo od tej pory było już tylko gorzej. Potęgi Rzymu strzegły w owym czasie liczne oddziały legionistów, które przywlokły zarazę z terenów Mezopotamii, zatem rozmiary państwa okazały się dlań ostatecznie jednak niekorzystne.

I choć Rzymem rządził wówczas stoik Marek Aureliusz, którego „Rozmyślania" zaleca się do dziś wszystkim w celu ukojenia nerwów i odnalezienia spokoju, po wybuchu zarazy ludność daleka była od stoickiej postawy. Wielu spryciarzy wzbogaciło się wówczas na sprzedaży amuletów i innych magicznych środków zaradczych. Na szczęście cesarz do ratowania sytuacji zabrał się jak na stoika przystało – wprowadził prawa mające uporządkować choćby kluczowe kwestie higieniczne dotyczące pochówku ofiar epidemii, znalazł też szybko sensownego kozła ofiarnego – czyli coraz bardziej panoszącą się sektę chrześcijan – co na pewno psychicznie odciążyło zmęczonych chorobą Rzymian. Wreszcie, by poprawić coraz bardziej kulejącą sytuację ekonomiczną, posunął się do wyprzedaży osobistego cesarskiego dobytku na Forum Trajana. I choć dzięki tym wszystkim zabiegom tchnął nieco życia w coraz bardziej zacinającą się maszynerię Imperium, to – co za pech – zmarł, najpewniej z powodu zarazy, którą tak dzielnie zwalczał.

Równia pochyła stała się wówczas jeszcze bardziej pochyła i lepsze czasy już nie nadeszły, bo drugiego Marka Aureliusza niestety rzymska ziemia wydać już nie chciała. Cesarza Kommodusa, który go zastąpił, możecie państwo sobie przypomnieć, włączając film „Gladiator" – to ten władca grany przez Joaquina Phoenixa, który zmienił nazwę Rzymu na Colonia Commodiana, a po mieście chodził w stroju Herkulesa, za którego się w głębi serca uważał. Z analizy kolejnych plag opisywanych przez Jennifer Wright – czy to dżumy w średniowiecznej Europie, czy to pląsawicy w Alzacji doby wojen religijnych, czy ospy przywleczonej do Ameryki przez konkwistadorów, czy polio w zeszłym stuleciu – wynika wniosek, który warto sobie przyswoić także w pierwszej ćwierci wieku XXI. Otóż kluczowe dla zwalczenia choroby okazuje się sensowne i mądre przywództwo. Jak w przypadku wzmiankowanego polio – rozsądek prezydentów Roosevelta i Eisenhowera uchronił całe generacje dzieci przed chorobą. Wright pisze: „Zdali sobie sprawę z powagi sytuacji i odważnie poprowadzili społeczeństwo do walki z chorobą. Nie zignorowali epidemii, nie gloryfikowali jej, nie obwiniali ludzi, którzy na nią zapadli".

Czyli zupełnie inaczej, niż zachował się Ronald Reagan słysząc w 1982 r. o AIDS. Efekty znamy. Co w wigilię przybycia koronawirusa do Polski warto sobie przemyśleć.

©

TP

Zapraszamy na rekolekcje z ks. Adamem Bonieckim

niedziela–wtorek, 8-10 marca, godz. 18

Prywatne Szkoły im. C. Plater-Zyberkówny, ul. Piękna 24/26

WSTĘP WOLNY!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OPINIE

WSPÓLNOTA NIEZGODY

Jedynym sposobem, aby rząd nie mógł władać uniwersytetami, jest włączenie uczelni w służbę społeczną, czyli przekonanie obywateli, że dla nich pracujemy.

RYSZARD KOZIOŁEK

Od 1 października 2019 r. zaczęła obowiązywać nowa ustawa o szkolnictwie wyższym, zwana „Ustawą 2.0", „Konstytucją dla Nauki" lub „Ustawą Gowina". Tym samym rozpoczął się proces przebudowy i różnicowania polskich uczelni publicznych. Najbardziej widoczny skutek ustawy jest taki, że po raz pierwszy wyraźnie zróżnicowały się ich struktury, czyli wewnętrzny podział na jednostki mniejsze oraz sposób kierowania nimi. Mamy więc uczelnie z kolegiami lub szkołami; z instytutami (chemii, pedagogiki, literaturoznawstwa itp.), w których robi się tylko naukę, lub z tradycyjnymi wydziałami z nauką i dydaktyką w środku. Z czasem okaże się, który model jest w polskich warunkach najlepszy, i pewnie nastąpią dalsze korekty.

Większość środowiska akademickiego przyglądała się nieufnie pracom nad ustawą, podejrzewając, że jest drogą do podporządkowania sobie uczelni przez polityków, jak to miało miejsce z innymi instytucjami publicznymi. Najbardziej niepokoiły dwa jej elementy: nowy twór w postaci rady uczelni oraz istotne zwiększenie władzy rektora. W toku prac nad projektem obu groźnym przepisom została wyrwana część zębów. Rada nie wybiera rektora ani nie ma monopolu na wyszukiwanie kandydatów na ten urząd. Władza rektora jest większa, ponieważ decyduje on o obsadzie większości stanowisk. Niemniej statuty wielu uczelni mocno ograniczyły tę swobodę, zwiększając wpływ środowiska na wybór kandydatów.

Główna intencja projektodawców ustawy jest jasna: zmusić polskie uczelnie do wzajemnej konkurencji, najpierw w kraju, a docelowo z całym światem akademickim. Kolejny etap tej stymulacji właśnie się zakończył. W ogłoszonym i przygotowanym przez ministerstwo konkursie o nazwie „Inicjatywa doskonałości – uczelnia badawcza" wyłoniono 10 uczelni, które będą przez 7 lat otrzymywać z budżetu państwa finansowanie o 10 proc. większe od kwoty przekazywanej uczelniom na badania i kształcenie w roku 2019.

Tak dokonuje się proces, który w zachodnich uniwersytetach trwał co najmniej od pół wieku, a polskie uczelnie przechodzą go, jak całą modernizację europejską XX w., w ciągu kilkunastu ostatnich lat. Bill Readings stwierdzał w „Ruinach uniwersytetu", że nowoczesna uczelnia ma przed sobą dwie znane drogi: „ideologiczny aparat państwa narodowego" lub „transnarodowe biurokratyczno-kapitalistyczne przedsiębiorstwo" (przeł. S. Stecko).

W Polsce mamy za sobą pierwszą falę kapitalizacji „dóbr akademickich", czyli nauki i wiedzy. Zaczęło się to w połowie lat 90. Za sprawą hossy edukacyjnej i mnożących się szkół prywatnych nauczyciel akademicki mógł wreszcie zarabiać pieniądze, a nie tylko „otrzymywać pensję". Okazało się, że ta grupa zawodowa także zyskała możliwość wolnej sprzedaży swojej pracy, której wartość mierzyło się dotąd niemal wyłącznie za pomocą kryteriów nieekonomicznych (rozwój nauki, osiągnięcie badawcze, uznanie w środowisku naukowym, cytowania, misja

kształcenia itp.). Popyt na edukację akademicką sprawił, że zaczęliśmy pracować naprawdę dużo: na studiach zaocznych, podyplomowych, w kolegiach językowych i innych, w mediach, agencjach reklamowych.

Równolegle dała się zauważyć inna, na pozór mniej istotna zmiana. Oto przestaliśmy na naszych uczelniach przebywać, rozmawiać i myśleć razem. Stopniowo zaczęło brakować czasu na przesiadywanie po zajęciach z kolegami i studentami, na prowadzenie niekończących się „akademickich dyskusji" – na uczelni, w knajpach, prywatnych mieszkaniach. Powrotu nie ma, zresztą chcieliśmy tej wolności, tak ekonomicznej, jak i naukowej. Ceną popytu na kształcenie był spadek zainteresowania samą nauką. Prowokowana przez ustawę konkurencja ma ostatecznie odwrócić ten trend i skłonić polskie uczelnie do intensywnych starań, aby dołączyły do akademickich liderów naukowego świata. Lecz na razie będzie to konkurencja wewnętrzna, ponieważ środków finansowych pozwalających na rywalizację z czołówką światową w budżecie państwa ani na rodzimym rynku nie ma.

Większość polskich uczelni publicznych nie będzie więc w najbliższych latach rywalizować z czołówką światową, ani nawet z krajową. Muszą zatem zdefiniować swoją naukową, dydaktyczną i społeczną rolę inaczej niż poprzez wynik mierzony pozycją w rankingach światowych, liczbą zatrudnionych noblistów czy wysokością budżetów. Jednym ze sposobów na wymknięcie się pułapce Readingsa jest zwrot społeczny uniwersytetu, czyli przemyślenie odpowiedzi na pytanie: dla kogo to robimy?

Obywatel niezwiązany zawodowo ze światem akademickim ma prawo zapytać: co dla niego osobiście i dla całego społeczeństwa oznacza wprowadzenie nowej ustawy? Czy dzięki niej on, jego dzieci i wnuki będą lepiej wykształceni? Czy polska nauka przyczyni się do rozwiązywania ludzkich problemów oraz do lepszego zrozumienia rzeczywistości?

Przeciw reformie. Collegium Broscianum, Kraków, czerwiec 2018 r.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

We władzy algorytmów

Naukowcy w polskich uczelniach, oprócz właściwej pracy, jaką jest prowadzenie badań i kształcenie studentów, toczą walkę na punkty, które stały się rodzajem pieniądza, swego rodzaju naukoinami. Należy zdobyć największy dostępny nominał, czyli dokonać jak najkorzystniejszej wymiany swojego dorobku naukowego na punkty przyznawane za publikacje w prestiżowych czasopismach naukowych lub takich wydawnictwach.

Na pozór nic w tym złego. Każdy naukowiec wie, jakie są najważniejsze dla jego dyscypliny periodyki i w jakich wydawnictwach ukazują się prace naukowe, które poznaje lub poznać musi. A jeśli poważnie traktuje swoją pracę, chce jej wyniki tam umieścić. Dla mnie, literaturoznawcy polonisty, przez ponad 20 lat pracy takimi miejscami były m.in. „Pamiętnik Literacki" i „Teksty Drugie". W nich publikowali autorzy moich podręczników i kanonicznych prac naukowych, tam ukazywały się przekłady prac najważniejszych światowych literaturoznawców. Każdy to wiedział. Wiedzieliśmy jednak, że ważne prace mogą się ukazać także gdzie indziej, w miejscach mniej prestiżowych, a wtedy o randze publikacji decydowało uznanie, z jakim spotka się ona w gronie specjalistów.

Wobec rosnącej lawinowo liczby publikacji naukowych zaczęliśmy tracić zaufanie we własne siły krytyczne, w naszą, badaczy, zdolność do oceny osiągnięć prezentowanych w artykułach i książkach. W poczuciu przytłoczenia nadmiarem oddaliśmy swoją pracę i siebie samych we władzę algorytmów, które mają policzyć wartość pracy naukowej i określić „zysk", jaki wypracował uczony dla siebie i swojej uczelni. Formy systemów informatycznych rzeźbią instytucje, umysły i ciała ułożone w pozycji niekończącej się sprawozdawczości. Nie wolno jednak tej wyceny absolutyzować, gdyż wówczas pochłonie ona sens i poznawczą wartość pracy naukowej.

Sprowadzenie efektywności i pożytków płynących z połączenia kilku tysięcy ponadprzeciętnych umysłów, technologii oraz sprzętu do punktów i pozycji uniwersytetu w rankingu jest groźnym objawem naukometrycznej choroby, która niszczy poczucie sensu pracy badawczej. Kiedy celem badań jest wyłącznie ich publikacja, powstaje akademicki nihilizm, czyli przekonanie, że punkty są jedyną miarą wartości pracy badawczej.

Nie chodzi o utyskiwanie konserwatywnych idealistów, którzy chcieliby, żeby było jak dawniej. To dla naszego – społecznego i jednostkowego – dobra nie wolno pozwolić uniwersytetom grać jedynie w swoje gry, rywalizację na punkty, poprawianie pozycji w rankingach. Wycofanie się nauki z publicznego sporu o rzeczywistość jest jedną z przyczyn postępującego lekceważenia ekspertów akademickich. Funkcjonujemy w świecie, w którym można zanegować argumentowany naukowo sąd bez troski o jego weryfikację. Spory o katastrofę smoleńską, szczepienia, stan sądownictwa czy zmiany klimatyczne ujawniły słabość nauki akademickiej jako miejsca, gdzie tworzy się prawdziwy lub najbardziej prawdopodobny opis rzeczywistości. Uniwersytet – chce czy nie – jest aktorem na scenie publicznej. Dysponuje największą, skumulowaną w archiwach, bibliotekach i bazach danych, wiedzą o świecie współczesnym i historycznym. A co najważniejsze: jej funkcjonalna część jest wcielona w naukowców, nauczycieli i studentów, którzy powinni używać jej nie tylko na uczelniach, ale w życiu poza ich murami. ↦

↦ Niewykorzystaną rolą uniwersytetu jest jego potencjał doradzania społeczeństwu. Publiczny uniwersytet powinien być wielkim społecznym think tankiem – naukowym i merytorycznym fundamentem opinii publicznej. Może pomóc obywatelom wydać rzeczowy sąd lub przemyślaną opinię na temat rzeczywistości. Nie powinien jednak trwać wyłącznie w pozie niezależnego eksperta, który z akademickiego Olimpu wydaje wyroki. Tam, gdzie to możliwe, uniwersytet musi włączać ludzi i ich problemy w swoją przestrzeń; prowadzić cywilizowany spór rzeczowo i merytorycznie, bez krzywdy słownej, bez lęku przed wykluczeniem z rozmowy.

Finał badań i publikacja efektów to początek wspólnego myślenia o znaczeniu tego, co zostało zbadane lub odkryte. **Myślenie razem o tym, co robimy osobno – oto uniwersytet.**

Nietuzinkowe nisze

Na początku ubiegłego roku akademickiego zadałem grupie moich studentów dwa warianty tego samego pytania: kto z nich w gimnazjum i szkole średniej był obiektem krzywdzących wypowiedzi? Oraz czy spotkało ich to, od kiedy są studentami? Dla wszystkich nas odpowiedzi były zaskakujące. Okazało się, że jako uczniowie niemal wszyscy zostali dotknięci jakąś odmianą krzywdzącej mowy – żywej lub elektronicznej. Natomiast w środowisku akademickim spotkało to zaledwie kilkoro z nich. Żadna to statystycznie wiarygodna próba, a jednak sami byliśmy zdziwieni tą różnicą. Nie działa przecież na uczelni „policja internetowa", nikt nie ustala z góry zasad dyskutowania na zajęciach. Żaden z nas, łącznie ze mną, nie jest retorycznym barankiem i w innych miejscach pozwala sobie na ostre słowa i emocjonalne opinie. A na uniwersytecie nie lub zdecydowanie rzadziej; także poza zajęciami – w realu i w sieci. Jakbyśmy wchodząc na uczelnię przechodzili przez niewidzialną bramkę, podobną do tych, jakie są na lotniskach. I pozbywali się większości ostrych narzędzi – słów, gestów, obrazów, których celem jest krzywdzenie człowieka.

Uniwersytety powstały jako instytucje zaawansowanego kształcenia. To, co zwiemy dziś nauką, pojawiło się na nich kilkaset lat później i długo pozostawało drugą w kolejności misją uczelni. Przełomowy był wiek XIX za sprawą fenomenalnych osiągnięć nauk eksperymentalnych i stosowanych oraz druga połowa wieku XX, kiedy okazało się, że efekty naukowe można szybko komercjalizować, co spowodowało zasadnicze przeobrażenie zachodnich, zwłaszcza amerykańskich uczelni, których budżet nie opierał się już wyłącznie na czesnym, subwencjach czy darowiznach, ale na inwestycjach w konkretne projekty i zyskach z ich wdrożenia. Wydawało się, że stąd tylko krok do wyprowadzenia najbardziej efektywnej nauki do wyspecjalizowanych laboratoriów przy wielkich firmach. Tak się dzieje, a jednak tylko uczelnia daje prawdziwą wolność naukową i sprzyjające badaniom zróżnicowane środowisko uczonych i studentów. Nie wolno przegapić tego dobra, jakim jest myślenie razem w ramach nazywanych uniwersytetem.

Zmieniając na chwilę język argumentacji na całkowicie banalny, uważam, że bliski mi uniwersytet, prócz tego, że robi się w nim naukę i kształci studentów na najlepszym możliwym poziomie – jest d o b r y m m i e j s c e m. Nie tylko do pracy i studiowania, ale w dużo szerszym znaczeniu: jest dobrym miejscem w przestrzeni publicznej, w którym chce się być z racji ludzi i spraw, którymi ci ludzie się zajmują. Szukając elementów składających się na subiektywne doznanie przebywania w edukacyjnym „dobrym miejscu", zebrałem swoje pozytywne doświadczenia edukacyjne, a ściślej: miejsca, w których panowały warunki sprzyjające aktywności poznawczej, pomysłowości, ciekawości cudzego sądu.

PALARNIA w moim technikum. Każdy uczeń, który skończył 18 lat, mógł tam palić papierosy. Było to obszerne zejście do piwnicy. Stało się tam lub siedziało na szerokich schodach, przypominających te ze Szkoły Ateńskiej Rafaela. Palili z nami nauczyciele i, co ciekawe, przychodzili także niepalący, ponieważ treść i atmosfera rozmów były nieporównywalne z żadną inną sytuacją szkolną. Odczuwało się podwójny smak dojrzałości – wspólny papieros i wspólna rozmowa ze starszymi i mądrzejszymi.

CERATA – bufet w dawnej polonistyce UŚ w Sosnowcu. Wydzielony szklaną ścianą kawał korytarza, którym musiał przejść każdy w drodze na zajęcia. Zawsze siedział tam lub przechodził ktoś, kogo się znało lub chciało poznać. Bez względu na dyscyplinę, widywali się tam i znali prawie wszyscy.

MIESZKANIE PROFESORA STEFANA SZYMUTKI. Co tydzień, czasem dwa razy w tygodniu, przez dwa lata, odbywaliśmy tam trzyosobowe, wielogodzinne seminarium. Pozostało niezapomniane uczucie, że jest się szczerze oczekiwanym (pełny dzbanek potwornie mocnej kawy) z powodu pracy, jaką się wykonało wcześniej.

ATRIUM w Akademii Muzycznej w Katowicach. Cotygodniowy dowód na to, jak przestrzeń architektoniczna może sprzyjać spotkaniom i rozmowom w drodze. Stoliki kawiarni zatrzymują przechodzących we wciąż nowych konfiguracjach rozmów, prawie zawsze o kwestiach, które zawodowo nas pasjonują. Mam skłonność do idealizowania każdego, kto tam siedzi.

ŚLĄSKI FESTIWAL NAUKI. „Dlaczego tak nie może na co dzień wyglądać uniwersytet?" – westchnęła jedna z 51 tysięcy odwiedzających tegoroczną edycję, mając zapewne na myśli fakt, że siedem uczelni publicznych województwa śląskiego tworzyło przez trzy dni jeden uniwersytet, wypełniony ludźmi w stanie zachwyconego odurzenia bogactwem wiedzy tworzonej w tych uczelniach.

Czy te pozytywne reminiscencje są wystarczające do szkicowania wizji uniwersytetu jako dobrego miejsca? Nie. A mimo to ufam im bardziej niż rankingom mówiącym, która uczelnia jest najlepsza. Wszystkie te przestrzenie należą do nieformalnej sfery edukacji, niepowiązanej bezpośrednio z prowadzeniem badań ani z nauczaniem, a jednak są ich bezpośrednią emanacją; naturalnym ciągiem dalszym formalnej nauki i kształcenia. Z jakiegoś powodu w tych miejscach lepiej widzę uniwersytet niż w jego właściwych przestrzeniach dydaktycznych lub badawczych. Jakby uniwersytet mówił o sobie więcej poprzez swoją najbliższą zewnętrzność. Co mówi?

Że pracuję i przebywam wśród wyjątkowego nagromadzenia utalentowanych, interesujących ludzi. Często dziwnych

lub ekscentrycznych, co przypomina mi, że nauce i nauczaniu sprzyjają oryginalne, nietuzinkowe postacie, a poszukiwana i promowana „innowacyjność" wywodzi się z tak niemierzalnego parametru jak osobowość uczonego i jego studentów. Że powstaje tam poczucie sensu tego, co się robi, oraz sprawczość, której dowodem są pomysły i ich realizacje. Że jest to środowisko naturalne dla myśli krytycznej, w którym swoboda jasnego i kontrowersyjnego sądu jest większa niż gdzie indziej, ale podlega on też szybszej falsyfikacji. Że panują tam warunki sprzyjające do zadania pytania o wszystko. Że jasność wypowiedzi jest wymagana jako dowód życzliwości i szacunku. Że dobre warunki do życia i pracy powstają dzięki równości podmiotów, a jedyna akceptowalna hierarchia w nauce jest merytoryczna i powstaje za każdym razem od nowa w obliczu kolejnego problemu, który próbujemy rozwiązać.

Trzymając się kurczowo tych doświadczeń i przekonań, myślę, że uniwersytet powinien uważnie badać swoje nisze. Rozpoznanie miejsc, gdzie czujemy się i działamy „dobrze", nie powiedzie się bez zmiany pozycji studenta w relacji dydaktycznej. Edukacja w Polsce jest w większości oparta na modelu, w którym mistrz „doprowadza" studenta (przymusem egzaminu lub atrakcją metodyczną) do realizacji efektów uczenia się, którymi są: „zna", „umie", „posiada". Jakie warunki musi spełnić uniwersytet, aby stał się miejscem, w którym się studiuje, czyli uczy się, poszukuje, sprawdza, wypróbowuje, bada, krytycznie ocenia, polemizuje, współpracuje, a przede wszystkim stawia pytania?

Zmusić naukę do myślenia

Thomas Mann w „Czarodziejskiej górze" stworzył elegię na koniec humanistycznego kształcenia, które jest możliwe tylko, jeśli opuścimy „dół" i skierujemy się „ku górze" – w powieści jest to uzdrowisko dla gruźlików w Davos – gdzie panują szlachetne choroby wyniszczające ciało, ale krzepiące umysł. W tej melancholijnej i ironicznej utopii idealnego kształcenia bezinteresowne pragnienie prawdy jest rodzajem szlachetnej choroby umysłu. „Zdrowi" żyją na dole. Także powieściowy Hans Castorp – „student idealny" – ma za sobą cztery semestry Politechniki Gdańskiej i kolejne cztery „w wyższych szkołach politechnicznych w Brunświku i Karlsruhe" (przeł. J. Kramsztyk). Zanim zostanie konstruktorem okrętów, musi jeszcze odbyć praktykę w firmie „Tunder & Wilms". W powieści właściwe studiowanie rozpoczyna się jednak po zdobyciu zawodu.

Przeciwstawienie „studiowanie dla zawodu i dla czystej wiedzy" jest fałszywe i właściwie już niemożliwe do utrzymania. Żaden zawód i żadna „myśl czysta" w pojedynkę nie rozwiążą kluczowych problemów świata. Tzw. „problemy humanistyczne" wyrastają z samego środka nauk eksperymentalnych i ścisłych: ontologia z fizyki, etyka z biologii, poetyka z matematyki. „Humanistyczność" lub „ścisłość" nie wynika z wyboru fakultetu, ale z redukcji lub otwarcia poznającego umysłu. „Nauka nie myśli" – twierdził złośliwie Heidegger. Nawet jeśli jest to złośliwość filozofii lekceważonej przez nauki ścisłe, to uniwersytet powinien być miejscem, które zmusza naukę do myślenia.

Co możemy dać lepszego naszym studentom niż czas i warunki pozwalające sformułować nowe pytania, które będą dla nich ważne? Studiowanie „wyższe" to czas i środowisko sprzyjające, aby dało się przemyśleć możliwości lepszego życia. Ani wcześniej, ani później nie będzie już dostępu do przestrzeni i czasu, w których tego rodzaju praktyki są wartością nadrzędną. Chciałbym, żeby uniwersytet był miejscem, w którym – dzięki wiedzy i nauce – badamy sposoby poprawy życia z innymi. Naprawy świata, po prostu.

Wybór uniwersytetu na miejsce studiowania i pracy to zobowiązanie do myślenia o świecie w całości – niepoznawalnej, nieogarnionej, niespójnej – ale jednak całości. Nie wolno pozwolić, aby nauka kończyła swoje zadanie wraz z realizacją projektu badawczego, a nawet wraz z jego zastosowaniem w praktyce. Finał badań i publikacja efektów to zarazem początek wspólnego myślenia i rozmowy o znaczeniu i możliwych konsekwencjach tego, co zostało zbadane lub odkryte. Myślenie razem o tym, co robimy osobno – oto uniwersytet.

Kiedy w wyobraźni odbierzemy sobie na chwilę uczelnie z ich wyniosłą infrastrukturą kampusów, sal wykładowych i laboratoriów, okaże się, że alternatywą uniwersytetu-aplikacji jest wciąż model sokratejski, czyli myślenie razem dzięki rozmowie. Uczenie to nadal przede wszystkim monolog lub rozmowa, w których uczestniczą minimum dwie – przebywające razem w ograniczonej przestrzeni i w czasie rzeczywistym – osoby, z których jedna zwykle wie, rozumie i potrafi zdecydowanie więcej niż pozostałe.

Mądrość społeczeństw Zachodu przejawiła się i (chcę wierzyć) trwa w wynalazku uniwersytetów. Wpisana w nie przezorność naszych przodków polega na instytucjonalizacji „greckiego cudu", czyli na zbudowaniu prawnych i ekonomicznych warunków dla ponawianego bez końca pytania o to, co jest prawdziwe. To jednak nie wystarczy. Uniwersytet nie może być tylko fabryką wiedzy, ponieważ jest dziś jedyną instytucją publiczną, jaką dysponuje społeczeństwo, przygotowaną do tego, aby przejąć każdy spór lub konflikt i nadać mu postać cywilizowanej konwersacji. Różnice bez rzeczowej rozmowy stają się instrumentami walki ideowej lub politycznej, opiniami i wartościami w służbie gniewu i bezradności.

Zadaniem ludzi uniwersytetu jest ćwiczenie się we „wspólnocie niezgody", czyli w trudnym współżyciu z tymi, których poglądów nie podzielam, ale pracuję, myślę i rozmawiam w tym samym miejscu – w imię większego dobra. Do tego uniwersytet musi być silny. Musi mieć mocne oparcie w demokratycznej polityce i finansowaniu porównywalnym z odpowiednimi sobie uczelniami europejskimi. Oraz w społecznej umowie, że swoją autonomię wykorzysta dla dobra wspólnego. Jedynym sposobem, aby państwo (rząd) nie mógł władać uniwersytetami, jest włączenie uczelni w „służbę" społeczną, czyli przekonanie obywateli, że dla nich pracujemy – ucząc najlepiej, jak to możliwe, nasze dzieci, rozwiązując problemy dzięki nauce, doradzając społecznościom i instytucjom, dowodząc, że można lepiej rozmawiać, a nawet żyć ze sobą.

Warunki wewnętrzne dobrego funkcjonowania tej wspólnoty są skromne i wyzbyte nakazującej mocy. Nauka akademicka – pisał Kazimierz Twardowski w tekście „O dostojeństwie uniwersytetu" – ma „jedno tylko zadanie: dochodzenie należycie uzasadnionych sądów prawdziwych albo przynajmniej jak najbardziej prawdopodobnych". Ostrzegał jednocześnie, że „gdyby nawet wyniki pracy naukowej Uniwersytetu były niemiłe tym, którym on zawdzięcza swój byt, nie wolno by w tem upatrywać uprawnienia do nakładania mu jakichkolwiek więzów, do stosowania jakichkolwiek ograniczeń".

© RYSZARD KOZIOŁEK

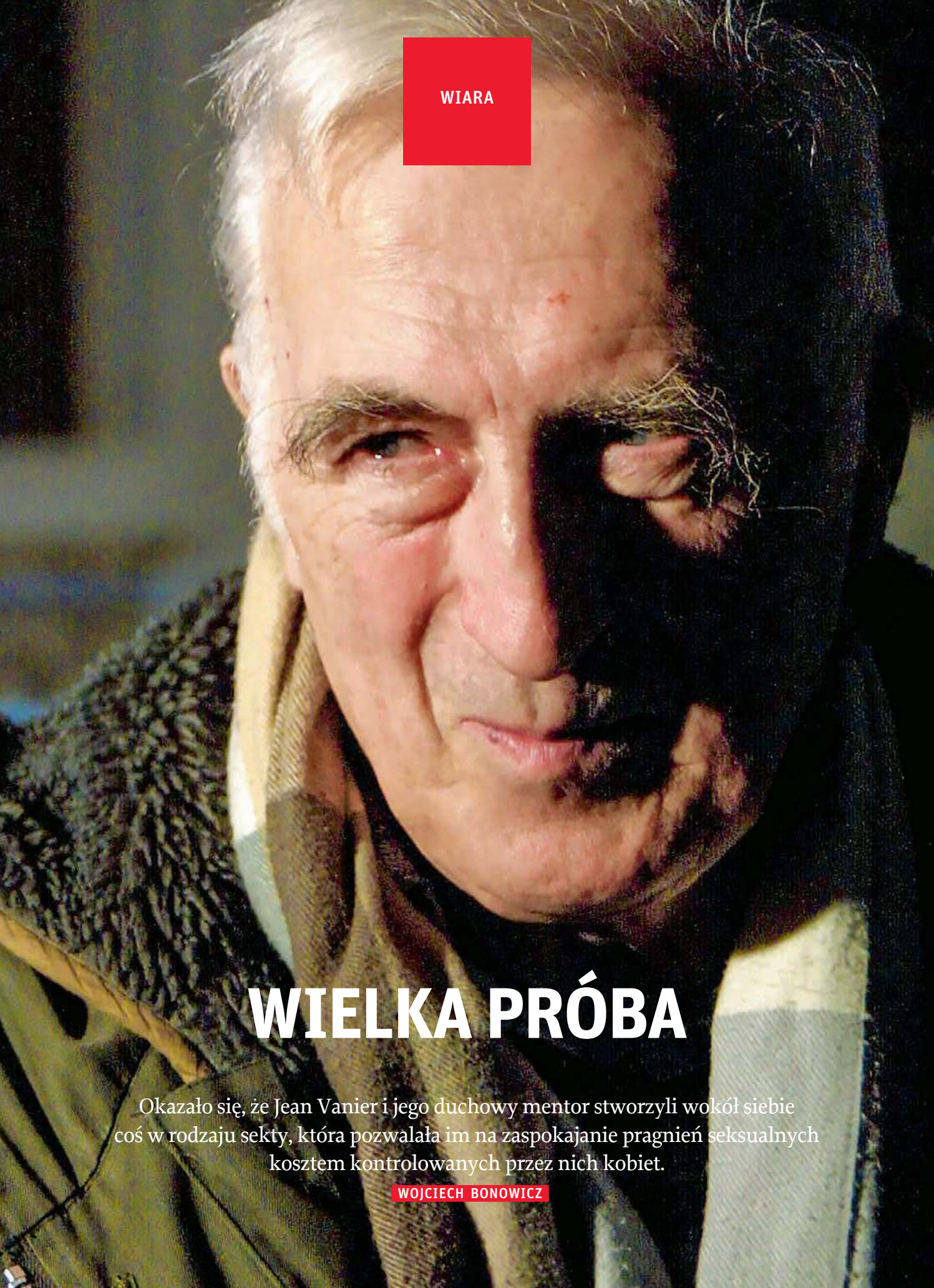

WIELKA PRÓBA

Okazało się, że Jean Vanier i jego duchowy mentor stworzyli wokół siebie coś w rodzaju sekty, która pozwalała im na zaspokajanie pragnień seksualnych kosztem kontrolowanych przez nich kobiet.

WOJCIECH BONOWICZ

Dziś rano mieliśmy spotkanie całej wspólnoty. Jest nas przeszło setka. Cisza tego spotkania była porażająca" – napisała moja przyjaciółka, mieszkająca w jednej ze wspólnot Arki (L'Arche) w zachodniej Europie. Spotkanie odbyło się rankiem 24 lutego, dwa dni po tym, jak przez media przetoczyła się fala wstrząsających informacji na temat zmarłego w ubiegłym roku Jeana Vaniera. „Założyciel Arki przez kilka dekad wykorzystywał seksualnie kobiety" – brzmiały nagłówki na portalach internetowych.

Liderzy Arki – federacji wspólnot tworzonych przez osoby z niepełnosprawnością intelektualną i towarzyszących im wolontariuszy – zamierzali zawczasu przygotować członków ruchu na ten wstrząs. Jednak informacja o raporcie, który zlecili i którego streszczenie miało trafić najpierw do odpowiedzialnych za wspólnoty, przedostała się do mediów, zanim streszczenie zostało rozesłane.

– Najtrudniejsze były pytania osób – usłyszałem od mojej przyjaciółki („osoby" to w języku Arki niepełnosprawni członkowie wspólnot). – Wiele z nich rozumie, jakie są zarzuty wobec Jeana. Pytają: „Czemu to ogłoszono?" i „Jak on mógł to robić?".

Zwłaszcza drugie pytanie zadawali sobie w tych dniach także wszyscy, dla których Jean Vanier był kimś ważnym: autorytetem, świadkiem, przewodnikiem. A takich ludzi – na świecie i w Polsce – jest bardzo wielu. Jean to nie tylko twórca Arki, ale też współzałożyciel ruchu „Wiara i Światło". Ten ruch także jest skupiony wokół osób z niepełnosprawnością intelektualną, jednak jego członkowie nie mieszkają razem, lecz spotykają się i przyjaźnią. Wiele osób poznało Vaniera jako inspirującego rekolekcjonistę i wykładowcę. Jeszcze inni znają go z książek, których napisał kilkadziesiąt: „Każda osoba jest historią świętą", „Wspólnota miejscem radości i przebaczenia", „Odnaleźć pokój", „Tajemnica Jezusa", „Mężczyzną i kobietą stworzył ich". Na egzemplarzu tego ostatniego tytułu mam nawet osobistą dedykację autora...

„Nie mogę się pogodzić..."

Pierwsza wspólnota Arki powstała w 1964 r. U jej początków, oprócz Jeana Vaniera, stał dominikanin o. Thomas Philippe. Vanier z uporem podkreślał że o. Philippe nie był współzałożycielem Arki, a jedynie zainspirował go do pójścia w tym kierunku. Ta uporczywość była trochę dziwna – mówią dziś osoby, które znały Jeana blisko. Dla interesujących się korzeniami tego ruchu było oczywiste, że bez udziału o. Thomasa wiele rzeczy po prostu by się nie wydarzyło. Zresztą Vanier zawsze wypowiadał się o nim z największym szacunkiem, a pod koniec życia z równym uporem bronił go przed zarzutami, które okazywały się coraz poważniejsze. „Nie mogę spokojnie pogodzić tego, co o nim wiem, z tym, co słyszę na jego temat" – miał powiedzieć podczas jednej z rozmów, kiedy spytano go, czy wiedział o podejrzanych praktykach o. Thomasa.

Poznali się na początku lat 50. ubiegłego wieku. Jean, dobrze zapowiadający się oficer kanadyjskiej marynarki, właśnie porzucił karierę wojskową, by poświęcić się poszukiwaniom duchowym. Jego pobożna matka, Pauline Vanier, która jako żona ambasadora kanadyjskiego we Francji miała nad Sekwaną liczne kontakty, postanowiła zapoznać syna z cenionym duszpasterzem, o. Thomasem Philippe'em. Ten namówił Jeana, aby wstąpił do stworzonej przez niego wspólnoty Eau Vive (Żywa Woda), która skupiała studentów chcących lepiej poznać chrześcijańską duchowość. Równocześnie Jean zaczął studia przygotowujące do kapłaństwa.

Jednak wokół wspólnoty szybko pojawiły się kontrowersje. Przez lata mówiło się, że miały charakter teologiczny. O. Philippe nie był żadnym „progresistą", ale w swoim nauczaniu pozwalał sobie na dość swobodne interpretacje Ewangelii i doktryny katolickiej. W 1956 r. władze kościelne zażądały, żeby inni członkowie wspólnoty zerwali wszelkie kontakty z założycielem, który został przez Święte Oficjum (czyli obecną Kongregację Nauki Wiary) ukarany całkowitym zakazem publicznego i prywatnego sprawowania funkcji kapłańskich. Vanier wielokrotnie podkreślał, że oskarżenia o odstępstwa od kościelnej ortodoksji nie miały podstaw. Przez pewien czas twierdził wręcz, że późniejsze wewnątrzzakonne śledztwo ich nie potwierdziło (ufając jego osobistej opinii, jeszcze niespełna rok temu na łamach „TP" również napisałem, że oskarżenia wobec o. Philippe'a były niesprawiedliwe).

Vanier nie przestał kontaktować się ze swoim ojcem duchowym. Porzucił za to myśl o zostaniu księdzem i skierował się w stronę filozofii. Na początku lat 60. o. Philippe zaprosił go do małego miasteczka Trosly-Breuil (80 km od Paryża), gdzie w domu opieki dla mężczyzn z upośledzeniem umysłowym Val Fleuri pełnił obowiązki kapelana. (Nie jest jasne, jak na razie, w jakich okolicznościach cofnięto nałożoną nań karę; dominikanie właśnie rozpoczęli wyjaśnianie tej sprawy). Ta wizyta zmieniła plany Jeana, który już zaczął wykłady z etyki na uniwersytecie w Toronto. Postanowił kupić w Trosly mały domek i zamieszkał w nim z dwójką mężczyzn, którzy wcześniej byli pensjonariuszami domu opieki. Prowadzili proste życie, wypełnione pracą, modlitwą i – Jean bardzo lubił to słowo – świętowaniem. Właśnie tak powstała pierwsza Arka, która stała się wzorem dla następnych wspólnot. O. Philippe został jej kapelanem i towarzyszył w rozwoju ruchu w kolejnych latach.

„Czemu to ogłoszono?"

W 2014 r. – kiedy o. Thomas nie żył już od 21 lat, a Jean skończył 86 i nie pełnił już żadnych funkcji w Arce – do liderów ruchu dotarły informacje, że dominikanin jako kierownik duchowy wykorzystywał seksualnie zgłaszające się doń kobiety. Liderzy natychmiast poprosili o kościelne śledztwo w tej sprawie. Śledczy potwierdzili zarzuty: stosując pokrętną argumentację teologiczną, o. Philippe potrafił skłonić niektóre z szukających u niego pomocy kobiet do kontaktów seksualnych. Kobiety były pełnoletnie i nie były niepełnosprawne, duchowny miał jednak nad nimi „psychiczną i duchową władzę" (to cytat z wyników śledztwa). Tłumaczył im m.in., że w kontaktach z nim doświadczają „specjalnej łaski", o której nie powinny nikomu mówić, bo „inni tego nie zrozumieją".

Zaniepokojeni tymi rewelacjami odpowiedzialni za nich dwukrotnie zapytali Vaniera, czy wiedział o postępowaniu swego duchowego ojca. Jean ↦

GRZEGORZ KOZAKIEWICZ / FORUM

Jean dwukrotnie zaprzeczył. Jednakże w 2016 r. wpłynęło kolejne świadectwo, tym razem kobiety, która o podobne czyny oskarżyła samego założyciela Arki. Vanier przyznał, że w latach 70. miał kontakty z tą kobietą, ale był przekonany, iż doszło do nich za obopólną zgodą. Kiedy w marcu 2019 r. pojawiła się kolejna kobieta z podobną historią (liderzy wciąż zbierali informacje, chcąc się upewnić, czy nie było więcej podobnych przypadków), postanowiono śledztwo powierzyć firmie przygotowanej profesjonalnie do tego typu badań. Umowę z firmą podpisano w kwietniu, ale właściwe śledztwo rozpoczęło się krótko po śmierci Jeana Vaniera, który zmarł 7 maja.

Śledztwo objęło wszystkie etapy: zarówno to, co działo się we wspólnocie Eau Vive, jak początki Arki, a także okres późniejszy, kiedy Arka się rozwijała, a jej założyciel i jego duchowy ojciec pozostawali w bliskim kontakcie. Dla oceny przebiegu śledztwa i jego wyników powołano dodatkowo dwóch zewnętrznych audytorów, posiadających doświadczenie w tego typu sprawach. W ciągu następnych miesięcy przesłuchano kilkudziesięciu świadków i przeglądnięto archiwa, m.in. przechowaną przez zakon dominikanów korespondencję Jeana Vaniera z lat 50., w tym 184 listy od o. Philippe'a. W bardzo trudnym momencie, kiedy z wielu stron rozlegały się głosy, że trzeba rozpocząć proces beatyfikacyjny Vaniera, liderzy Arki poznawali kolejne fakty, które przedstawiały bliskiego im człowieka w innym świetle.

Trzeba podkreślić niezwykłą odwagę tych ludzi. Śledztwo burzyło przecież nie tylko obraz założyciela, za którego przykładem poszli. Burzyło też wyobrażenia o początkach Arki. W późniejszych komentarzach pojawiać się będzie często słowo „sekta": rzeczywiście, wyniki śledztwa wskazują, że o. Philippe i Vanier, wykorzystując swój autorytet, stworzyli wokół siebie coś w rodzaju struktury, która pozwalała im na zaspokajanie swoich pragnień kosztem kontrolowanych przez nich kobiet. Struktura ta działała trochę wewnątrz, a trochę na obrzeżach Arki; nie objęła mieszkających w niej niepełnosprawnych, nie zdominowała też ruchu, który ostatecznie rozwinął się w międzynarodową sieć wspólnot.

Niemniej samo odkrycie, że istniała, musiało być dla odpowiedzialnych za Arkę wielkim szokiem. „Jesteśmy świadomi, jak wielki zamęt i ból zostanie spowodowany tą informacją" – piszą w liście komentującym wyniki śledztwa. „Pomimo tego, że w ciągu swojego życia Jean uczynił wiele dobrego, co nie podlega wątpliwości, będziemy musieli przeżyć żałobę po utracie ukształtowanego sobie wcześniej pewnego wizerunku Jeana i początków L'Arche". W tym samym liście liderzy zapewniają o wprowadzeniu dodatkowych procedur, które pozwolą wyłapywać podobne przypadki, i tłumaczą, dlaczego zdecydowali się na ujawnienie przykrej prawdy. „L'Arche nie ma przyszłości, jeżeli nie jesteśmy w stanie spojrzeć na naszą przeszłość otwartymi oczyma. To, czego się dzisiaj dowiadujemy, jest ogromnym ciosem i powodem wielkiego zamętu, ale to, co tracimy w postaci poczucia pewności, mamy nadzieję pozyskać w obszarze większej dojrzałości".

> Każda z sześciu kobiet zeznała, że Jean Vanier inicjował z nimi zachowania seksualne, zazwyczaj w kontekście towarzyszenia duchowego. **Prosił każdą z nich o zachowanie tego w sekrecie** – piszą w liście liderzy Arki.

„Jak on mógł to robić?"

Co odkryto? Odkryto najpierw, że zarzuty wobec wspólnoty Eau Vive nie dotyczyły tylko głoszonej przez o. Philippe'a „fałszywej mistyki", ale też inspirowanych nią praktyk o charakterze seksualnym (Vanier również brał w nich udział). Według ustaleń śledztwa, opierającego się w znacznym stopniu na źródłach zebranych w latach 50., kobiety uczestniczące w tych praktykach wyrażały na to zgodę. Niemniej nieprawdą jest, że w kontrowersjach wokół Wody Żywej „chodziło tylko o teologię". Słysząc o nowych zarzutach wobec o. Philippe'a, Vanier konsekwentnie zaprzeczał, jakoby wiedział coś na ten temat. Dziś wiemy, że kłamał.

Po rozwiązaniu Eau Vive w 1956 r. jej założyciel otrzymał zakaz kontaktowania się z młodymi ludźmi, którzy ją tworzyli. „Pomimo tego", czytamy w liście liderów Arki, „o. Thomas Philippe, Jean oraz kilka kobiet pozostało w kontakcie aż do założenia L'Arche w 1964 r. Niektóre osoby z tej grupy były w naszej wspólnocie w Trosly na samym początku L'Arche oraz uczestniczyły w życiu L'Arche przez wiele lat, nigdy nie ujawniając charakteru swoich pierwotnych relacji". To tłumaczy konsekwencję, z jaką Jean Vanier wystawiał o. Philippe'owi jak najlepsze świadectwo, rozwiewając równocześnie wątpliwości co do jego wcześniejszych działań. „Zdradzić go, zostawić to byłoby tak, jakbym popełnił samobójstwo" – mówił jeszcze w ostatnich latach życia. Trzeba podkreślić, że dzięki związaniu się z Arką autorytet o. Philippe'a bardzo wzrósł, a liczba osób szukających jego rady i sięgających po jego książki stale się zwiększała. Stwarzało to też okazję do kolejnych nadużyć.

Jednak najmocniejszym echem odbił się inny fragment listu. „Dodatkowo w trakcie śledztwa – piszą obecni liderzy Arki – dotarły do nas wiarygodne oraz spójne zeznania obejmujące okres od 1970 do 2005 roku od 6 dorosłych kobiet, bez niepełnosprawności i niepowiązanych z wcześniej wspomnianą grupą osób. Każda z tych kobiet zeznała, że Jean Vanier inicjował z nimi zachowania seksualne, zazwyczaj w kontekście towarzyszenia duchowego. Niektóre z tych kobiet zostały głęboko zranione przez te doświadczenia. Jean Vanier prosił każdą z tych kobiet o zachowanie tych wydarzeń w sekrecie. Kobiety te nie miały wcześniejszej wiedzy na temat swoich wzajemnych doświadczeń, a mimo to każda z nich zeznała podobne fakty związane z bardzo niezwykłymi duchowymi czy też mistycznymi tłumaczeniami wykorzystywanymi po to, aby usprawiedliwić te czynności seksualne. Czyny te wskazują na głęboko kontrolujący wpływ psychologiczny i duchowy nad tymi kobietami przez Jeana Vaniera oraz ujawniają przyswojenie sobie przez niego niektórych dewiacyjnych teorii i praktyk o. Thomasa Philippe'a, które kontynuował przez bardzo długi okres".

Przyznam, że łatwiej czytać ten zniuansowany opis od cytatów z zeznań,

które bez trudu można znaleźć w internetowych relacjach i komentarzach. Dostatecznie wstrząsający jest już sam fakt, że kobiety, które przychodziły po pomoc, dostawały w zamian coś, co było dodatkowym zranieniem. Nie sposób też nie poczuć się źle, czytając, że aby przełamać opór kobiet, Vanier sięgał po język religijny, którym na co dzień posługiwał się, żeby inspirować ludzi do szlachetnych działań. Oczywiście, nie był to dokładnie ten sam język. Kiedy jednak patrzę na przywołane daty, myślę o tym, że właśnie w tym czasie – dokładnie: od końca lat 80. do roku 2005 – wychodziłem poruszony z jego konferencji, jeździłem doń, żeby robić wywiady, a nawet doprowadziłem do wydania po polsku jednej z jego książek.

„Dlaczego milczał?"

W komentarzach, które pojawiły się w pierwszych dniach po ogłoszeniu tych informacji, dominowało rozczarowanie, ból i złość. Dlaczego nic nie powiedział? Dlaczego nie wysłał nam choćby subtelnego sygnału, że żałuje? Dlaczego – to chyba najbardziej bolesne – nie zwrócił się do osób, które wykorzystał? Wydawał się tak spójny i równocześnie tak prosty. Dziś myślimy, że coś musiało umknąć naszej uwadze.

Piotr Wierzchosławski, który znał go bardzo blisko, bo pełnił szereg funkcji w strukturach „Wiary i Światła", przypomniał na profilu polskiej Arki, że z okazji 90. urodzin Vanier został poproszony o wypełnienie słynnego kwestionariusza Prousta. Zapytany o cechę, jaką najwyżej ceni u mężczyzny, wymienił integralność oraz bycie prawdziwym i sprawiedliwym. A na pytanie o błędy, wobec których byłby najbardziej wyrozumiały, odpowiedział: „Błędy wynikające z uzależnienia od alkoholu, narkotyków, seksu... Osoby, które są nimi dotknięte, głęboko mnie poruszają, gdyż nie potrafią się od nich powstrzymać". „Czy miał na myśli także siebie?" – zastanawia się Piotr.

Niektórzy komentujący podkreślają, żeby „nie pokładać nadziei w człowieku" i że dojrzałość polega na tym, aby obchodzić się bez autorytetów. Inni dodają: nie trzeba było wynosić go tak wysoko, to upadek tak by nie bolał. Problem w tym, że autorytet Vaniera – przynajmniej dla wielu z nas, nie wiem, czy dla wszystkich – nie był autorytetem „pionowym", lecz raczej „poziomym". Trafnie napisał o tym Zbigniew Nosowski (w „Więzi"): szczęście, jakie płynęło ze spotkań z nim, brało się z poczucia, że oto jest ktoś, kto „nie tylko mówi o ubogich, ale z nimi żyje na co dzień", kto „jest prorokiem współczesnego chrześcijaństwa, ale prorokiem cichym, pokazującym nie na siebie, lecz na Jezusa i ubogich", kto wreszcie jest „po prostu zwyczajny, pokorny, szczery i autentyczny". Tego chyba najbardziej będzie teraz brakowało: przykładu, który pociągał, a w trudnych chwilach pomagał się mobilizować.

Ale dzieła zostają. „Arka nie może cierpieć za jego winy", pisze słusznie Joanna Petry Mroczkowska (Deon.pl). Budująca jest nie tylko postawa liderów Arki, ale też to powszechne oczekiwanie, że zainicjowane przez Vaniera ruchy przetrwają.

© WOJCIECH BONOWICZ

weź, czytaj w prenumeracie!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE" NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	**69 zł**	

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny do odwołania
** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

Swary cmentarne

MARCIN CHODUŃ

Mieszkańcy Brzezin domagają się obniżki opłat za pochówek na kościelnym cmentarzu. Ceny okazują się jednak podobne jak gdzie indziej. O co chodzi w tym sporze?

Sławomir Pawlik: – Nie łamię przykazania, nie mówię fałszywego świadectwa. Ja nie walczę z Kościołem.

Ks. Tomasz Bartczak: – Dość już nadstawiania policzka, ma się tylko dwa.

Listy

Brzeziny, 13-tysięczne miasto na wschód od Łodzi. Rynek, trzy kościoły, cmentarz. To właśnie miejscowa nekropolia stała się w ostatnich miesiącach obiektem sporu pomiędzy dużą grupą mieszkańców miasta a Łódzką Kurią Metropolitarną, jej administratorem. Sporu, dodajmy, powszechnie przedstawianego w mediach jako przykład walki z wyzyskiem na polskich cmentarzach. „Kosmiczne ceny pogrzebów. Mieszkańcy piszą list do papieża"; „Ceny zwalają z nóg"; „Mieszkańcy walczą z »cmentarnym wyzyskiem«" – wołały tytuły z informacyjnych portali.

Wszystko zaczęło się w czerwcu ubiegłego roku, gdy mieszkaniec Brzezin, Sławomir Pawlik, ratownik medyczny, oburzony wysokością opłaty za pochówek swojego ojca, wysłał do kurii list, w którym poprosił o obniżkę cen za pogrzeby na brzezińskim cmentarzu. Pod listem – wedle jego autora – podpisało się 1300 osób (urzędnicy kurialni twierdzą, że podpisów było 800, z czego około 200 nieczytelnych). Kuria w odpowiedzi przesłała pismo, w którym precyzyjnie wyszczególniła opłaty pobierane na brzezińskiej nekropolii i zarzuciła Pawlikowi rozpowszechnianie nieprawdy oraz naruszenie dobrego imienia Archidiecezji Łódzkiej.

Kilka tygodni później Sławomir Pawlik napisał kolejny list, pod którym tym razem podpisało się według niego ponad 1700 osób. I który kuria pozostawiła bez odpowiedzi. W reakcji na to brzezinianie zorganizowali w październiku zeszłego roku protest uliczny – przechodzili przez pasy dla pieszych nieopodal miejscowego kościoła farnego, nosząc transparenty: „Chcemy, żeby było nas stać", „Kasę od nas wyciągają, na listy nie odpowiadają" i „Tańsza kawalerka niż cmentarna kwaterka".

Wobec dalszego braku reakcji ze strony łódzkiej kurii Sławomir Pawlik postanowił znów działać – w sprawie opłat za pochówek na brzezińskiej nekropolii wysłał w lutym tego roku list do papieża.

Koparką na cmentarz

Środa; szare, lutowe popołudnie. Na ulicach Brzezin coraz większy ruch – ludzie powoli wracają z pracy do domu. Opłaty na cmentarzu? Trudno kogokolwiek nakłonić do podzielenia się opinią. W nielicznych wypowiedziach sporo emocji i ślady zasłyszanych opowieści.

Sebastian, sprzedawca na stacji benzynowej, owszem, słyszał o protestach organizowanych przez Pawlika i się z nim zgadza: – Lepiej już zrobić pogrzeb gdzie indziej.

Kobieta w kwiaciarni nieopodal cmentarza nie jest w sprawie zorientowana – nie pochodzi stąd. Ale może pobliski kamieniarz coś będzie wiedział?

Na podwórku błoto, nagrobki i kury. Gospodarza nie ma w domu, ale jest jego kuzyn: Stefan Reczyński.

Pan Stefan o pochówkach chętnie wyrazi swoje zdanie. W administracji cmentarza jest teraz – wedle Stefana – zatrudniona jedna kobieta i dwóch grabarzy. Kiedyś grabarze kopali dół łopatą, stawiali piwnicę, bielili ją, potem szli do pogrzebu, otwierali grób, zamykali, szpachlowali – wszystko w cenie tej piwnicy. A teraz kamieniarze muszą załatwić koparkę do kopania, która doły pod piwnice kopie całym rzędem. – Operator koparki dostaje 100 zł od dziury pod jedną piwnicę, a administracja bierze 2000 zł od jednej piwnicy – przekonuje pan Stefan. – Czyli 1900 zł na czysto do kieszeni.

Wszędzie tak samo

Kancelaria przy brzezińskim cmentarzu. Opłaty na cmentarzu? Nie, na ten temat kierowniczka kancelarii nie ma nic do powiedzenia – wszystkiego można się dowiedzieć w kurii. – Proszę, tu jest cennik – wskazuje palcem na kartkę wywieszoną w korytarzu.

Z cennika: dzierżawa na 99 lat placu pod piwnicę grobu murowanego do pomieszczenia zwłok więcej niż jednej osoby – z możliwością opłat ratalnych (5 x 2 tys. zł): 10 tys. zł. Plac na grób ziemny na 20 lat: 700 zł. Wykop grobu pojedynczego: 750 zł. Kaplica: 380 zł. Wykop pod piwnicę (od osoby): 1000 zł. Dochowanie do piwnicy: 400 zł.

Dodajmy, że gdy osoba zmarła była ubezpieczona, ZUS wypłaca zasiłek pogrzebowy pokrywający koszty pogrzebu do 4 tys. zł.

– Diecezja łódzka ma w swojej administracji 18 cmentarzy – tłumaczy ks. Tomasz Bartczak, przewodniczący Wydziału Administracyjno-Gospodarczego Archidiecezji Łódzkiej. – Opłaty są wszędzie takie same.

Wedle ks. Tomasza Bartczaka ceny za pochówki na cmentarzach pozostających w administracji kurii są na poziomie, który pozwala zgromadzić chociaż minimalny fundusz, dzięki któremu można te nekropolie utrzymywać. Odkąd brzeziński cmentarz jest w administracji Archidiecezji Łódzkiej, zainwestowano w niego ponad 2 mln zł – począwszy od wybudowania na wyraźną prośbę władz miejskich kaplicy z zapleczem (wcześniej kondukty pogrzebowe musiały iść przez całe miasto po ruchliwej drodze krajowej), poprzez remonty ogrodzeń, sieć wodociągową, alejki. A fundusz remontowy, który jest zależny od liczby pogrzebów, nie przekracza 10 tys. zł miesięcznie.

Ks. Bartczak wylicza: kuria ma na brzezińskim cmentarzu trzech pracowników, musi pokrywać koszty ubezpieczenia, wywozu śmieci, które wynoszą ponad 10 tysięcy zł miesięcznie.

Ks. Bartczak nie wie, o co ta wojna generalnie się toczy. – Pan Pawlik, który wszczął całą tę burzę, wybrał sobie najdroższą opcję pochówku, jaka istnieje. Z całym szacunkiem dla tego pana, ale przecież on świadomie podpisał umowę z cmentarzem na grób murowany, który

TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA GAZETA

Protest mieszkańców Brzezin przeciwko wysokości opłat pogrzebowych na cmentarzu parafialnym, październik 2019 r.

jest najdroższy, a teraz rozgłasza wszędzie, że tyle kosztuje zwykły grób.

– Czy istnieje możliwość obniżenia opłat za pochówek?

– W obecnych realiach jest to możliwe tylko w jednej sytuacji. Gdyby władze miasta pokrywały koszty wywozu śmieci z cmentarza, który przecież teraz funkcjonuje jako cmentarz ogólnodostępny.

– Podobno groby są kopane koparką?

– Jeśli można sobie ułatwić pracę, to dlaczego nie? Zresztą koparkę zamawiają kamieniarze. Poza tym koparka nie kopie między grobami, od tego są grabarze. Tam wykop trwa czasami trzy dni, z szalowaniem i innymi dodatkowymi pracami.

Tylko nie w piachu

Sławomir Pawlik podjeżdża na parking przed cmentarzem, na szybie samochodu znaczek ratownictwa medycznego. – Czy ja byłem świadomy tych wysokich opłat? W momencie kiedy umiera osoba, która chciała leżeć na tym cmentarzu, to rodzina nie ma wyjścia. Dlatego podpisałem umowę cywilno-prawną, spełniając wolę ojca, bo innego wyjścia nie było. Ojciec całe życie pracował w kopalni piasku i gdy był już świadomy zbliżającej się śmierci, mówił, że nie chciałby w tym piasku po śmierci leżeć. Dlatego zrobiłem grób dwuosobowy z betonu. Mama też chciałaby po śmierci spocząć obok ojca. Miejsce wykupiłem na 99 lat.

– Kuria zarzuca panu mówienie nieprawdy.

– Ale w którym miejscu ja powiedziałem nieprawdę? Wszędzie w mediach podawałem kwotę pochówku, którą musiałem uiścić w kancelarii za pogrzeb mojego ojca. Oczywiście, cała kwota nie poszła na konto kurii. Całkowity koszt pogrzebu wyniósł mnie grubo ponad 11 tys. zł, z czego w administracji cmentarza zapłaciłem 4780 zł (2000 zł, czyli pierwsza rata za wykupienie miejsca na cmentarzu, 2000 zł za wykopanie grobu dwuosobowego, 380 zł za przygotowanie kaplicy i 400 zł za złożenie trumny do grobu).

Pawlik dowiaduje się, że w listach do Kurii Archidiecezjalnej podawał stawki, które są niezgodne z cennikiem obowiązującym na cmentarzu. Kuria w swojej odpowiedzi dokonała ich sprostowania. Również w liście do papieża napisał, że koszt pogrzebu to wydatek rzędu blisko 10 tys. zł, a jako przykład zawyżania opłat na miejscowym cmentarzu podał usługę wykopania grobu wycenioną na 2000 zł. Nie wspomniał o tym, że nie chodzi o zwykły grób, tylko o grób murowany dla dwóch osób, i że cena za wykopanie grobu ziemnego wynosi 700 zł.

– Ja zawsze w mediach podawałem wysokość opłaty, jaką uiściłem za pochówek mojego ojca. Poza tym nawet kwota 700 zł jest dla wielu mieszkańców Brzezin zaporowa. Dochodziły mnie słuchy, że jedna osoba zadłużyła się u szefa. Że druga wzięła chwilówkę. Że u trzeciej na pogrzeb zrzuciła się cała rodzina.

I dodaje: ceny na brzezińskim cmentarzu są najwyższe w całej okolicy. Na przykład na cmentarzu parafialnym w sąsiednich Koluszkach opłaty są zdecydowanie niższe. – Byłem tam i sprawdziłem.

Rozdęta sprawa

Parafia Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny w Koluszkach. Proboszcz ks. Sławomir Jałmużny zaprasza do środka.

– Że opłaty za pochówek są w mojej parafii dużo niższe niż w Brzezinach? – zastanawia się chwilę. – Nie wiem, skąd ta opinia.

Porównujemy więc ceny: za wykopanie grobu ziemnego w Parafii Niepokalanego Poczęcia NMP w Koluszkach też trzeba zapłacić 700 zł, za miejsce – tyle samo. Pozostałe opłaty również są bardzo zbliżone.

Zdaniem proboszcza sprawa Brzezin jest po prostu rozdęta. Koszty prowadzenia cmentarza są ogromne i obniżek nie ma co oczekiwać. Administrowany przez niego cmentarz jest dużo mniejszy niż ten w Brzezinach – jest na nim tylko jedna alejka – a opłaty za wywóz śmieci wynoszą 80 tys. zł rocznie.

Ks. Jałmużny: – Z jednego pogrzebu za wywóz odpadów, to znaczy wieńców i kwiatów, płacimy zwykle 3 tys. zł. A co dopiero koszty na takim cmentarzu jak ten w Brzezinach. Przecież gołym okiem widać, jakie tam olbrzymie inwestycje poczyniono: kaplica, nowe ogrodzenie, wszystkie alejki wyłożone kostką.

By przełamać monopol Kościoła, Urząd Miasta Brzeziny zapowiedział budowę cmentarza komunalnego.

Jakie stawki obowiązują na cmentarzu komunalnym w pobliskich Skierniewicach?

Opłata za miejsce na 20 lat za grób murowany dwumiejscowy – 1300 zł; wykonanie grobu murowanego – 3000 zł; pochówek – 500 zł; kaplica 200 zł. W Skierniewicach pan Pawlik zapłaciłby zatem administracji cmentarza komunalnego ↦

↦ 5000 zł (cena obejmuje betonową piwnicę).

Pytam jeszcze o koszt wywozu śmieci zarządcę cmentarza, prezesa Przedsiębiorstwa Usług Renowacyjno-Konserwatorskich i Pogrzebowych w Skierniewicach, Jacka Starygę: – Miesięczny koszt takiej usługi jest bardzo wysoki, wynosi niewiele poniżej 10 tys. zł.

Chłopcy do bicia

Ks. Tomasz Bartczak: – Jeśli pan Pawlik i ludzie, którzy go popierają, chcieliby dialogu, to ja mogę z nimi rozmawiać. Przecież to są ci sami ludzie, dla których my tam pracujemy. W konflikcie zawsze obie strony są przegrane. Ale my jesteśmy czasami traktowani jak chłopcy do bicia: można na nas napluć, powiedzieć, co się chce. Wszyscy się ekscytują sytuacją wokół cmentarza w Brzezinach, tylko że ci biedni ludzie zostają z dezinformacją i emocjami, które rodzą niechęć nie do pana Pawlika, który to wszystko rozpętał, tylko w stosunku do Kurii Archidiecezjalnej.

Sławomir Pawlik: – Gdybym zobaczył faktury, wtedy byłoby inaczej. Ale do tego trzeba odrobinę dobrej woli.

Ks. Bartczak: – A czy pan Pawlik kiedykolwiek pojawił się w kurii? Jeśli przyjedzie, to będzie mieć pełny wgląd w koszty z raportu kasowego cmentarza w Brzezinach.

Finał

12 lutego Łódzka Kuria Metropolitarna umieściła na swojej stronie internetowej oświadczenie, w którym wyraziła ubolewanie, że „w sprawie tzw. »cen pochówku« na cmentarzu wyznaniowym w Brzezinach – mimo nieustannych wyjaśnień ze strony Archidiecezji Łódzkiej przesyłanych do mediów i publikowanych na stronie internetowej archidiecezji łódzkiej – ma miejsce ciągłe powielanie nieprawdy. Podawane w mediach tzw. »ceny pochówku« są nieprawdziwe. Kuria jednocześnie oświadcza, że w obronie dobrego imienia administratora cmentarza zamierza wystąpić na drogę prawną”.

– Boi się pan procesu?

– Nie lubię sądów, ale procesu się nie boję – mówi Pawlik. – Powtarzam ciągle, że ja nie atakuję Kościoła, tylko jego praktyki finansowe. I jak – wierzy mi pan?

© MARCIN CHODUŃ

Ksiądz Zieja – i my

JERZY SOSNOWSKI

Gdyby twórcy filmu „Zieja” pokazali do końca, jak bardzo ich bohater nie pasuje do dzisiejszego kształtu Kościoła i Polski, wywołaliby u widzów odruch sprzeciwu. Tego się przestraszyli.

Czy współcześnie da się nakręcić film hagiograficzny? Tego ostatniego terminu używam nie w znaczeniu potocznym, przenikniętym ironią. Chodzi mi o filmową opowieść o świętym.

To znamienne, że używając terminu „hagiografia”, trzeba od razu zastrzec, że nie chodzi o nieumiarkowane chwalenie kogoś, kto na chwałę niekoniecznie zasłużył. Jesteśmy dzisiaj podejrzliwi wobec przedstawiania nam autorytetu i wzoru do naśladowania. Lata praktyki nauczyły nas, by dopytywać zaraz, jaki interes skrywa wznoszenie kolejnego pomnika. Który to pomnik – jak przeczuwamy, nieraz trafnie – prędzej czy później zostanie obalony.

Ale to zaledwie połowa problemu. Druga połowa wygląda tak, że dobro wydaje się artystycznie niepociągające. Nie tylko smutnym żartem jest znana uwaga, że Dantemu w „Boskiej komedii” najlepiej wyszła część pierwsza, poświęcona piekłu. Chcąc podzielić się niekłamaną fascynacją kimś szlachetnym, świadomie lub bezwiednie wygładzamy kanty i zlewamy portret słodyczą. Chcemy, żeby wszyscy naszego bohatera podziwiali, więc pozbawiamy go cech, które mogłyby kogoś zrazić. Taktownie pomijamy momenty wyboru, bo – cóż za pomysł, przedstawić wahanie ideału! W rezultacie bohater staje się postacią niekontrowersyjną i – bolesna

MARCIN MAKOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Andrzej Seweryn jako ks. Jan Zieja. Kadr z filmu „Zieja"

porażka! – nieobchodzącą nas dłużej, niż trwa czytanie książki o nim lub oglądanie filmu.

Lecz jeśli na bohatera wybierzemy kogoś, kto był świętym tak radykalnym, że aż szokującym? Kogoś, kogo naprawdę podziwiać znaczyłoby: zaprzeczyć podstawowym oczywistościom naszego życia? Czyja zatem świętość nie budzi miłej satysfakcji, że taki wśród nas (!) pojawił się miły bliźni, tylko stawia nam przed oczy skandal? Bo, jedno z dwojga: albo to nie żaden święty, tylko wariat, nieprzestrzegający reguł – albo to naprawdę święty, ale w takim razie reguły naszego świata, które zdążyliśmy zaakceptować, kompromitują nas we własnych oczach.

Takiego właśnie świętego wybrali sobie Wojciech Lepianka (scenariusz) i Robert Gliński (reżyseria) na bohatera filmu pt. „Zieja".

Życiorys niemożliwy

Sądząc po komentarzach, które sprowokowałem na Facebooku, zapisując w noc po premierze swoje pierwsze wrażenia z filmu, ks. Jan Zieja jest obecnie dla wielu osób w Polsce postacią anonimową. Cóż: od jego śmierci upłynęło już 29 lat; jego pisarstwo nosiło wyraźny ślad dziewiętnastowieczności, działał w stosunkowo niewielkich środowiskach. Także w samym Kościele był raczej marginalizowany. Warszawiacy z mojego pokolenia i starsi mogą jeszcze pamiętać, jak szedł, zawsze w pośpiechu, ulicami Powiśla czy Krakowskim Przedmieściem: niezmiernie chudy, z rozwianą białą brodą, jakby zstąpił między nas z obrazów El Greca albo z jakiejś prawosławnej ikony.

Kiedy kilka lat temu zacząłem o nim czytać, doszedłem do przekonania, że jego biografia stanowi życiorys niemożliwy – gdybym natknął się na bohatera powieści o podobnym losie, uznałbym, że autor postanowił w swojej książce zlekceważyć rudymentarne zasady prawdopodobieństwa, a wręcz wymogi zdrowego rozsądku.

Oto chłopski syn, który dzięki pomocy proboszcza i właściciela pobliskiego majątku zostaje wysłany na naukę do gimnazjum. Po jego ukończeniu wstępuje do seminarium duchownego. Zgłasza się jako kapelan do wojska w obliczu wojny polsko-bolszewickiej (wcześniej, jako ośmiolatek, ma okazję obserwować wypadki rewolucji 1905 roku). Współpracuje z legendarnymi postaciami naszego Kościoła: biskupem Zygmuntem Łozińskim i św. matką Urszulą Ledóchowską, a także z matką Elżbietą Czacką i ks. Władysławem Korniłowiczem. Sympatyzuje ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej „Wici", gdzie zyskuje autorytet – mimo jednoznacznego antyklerykalizmu tego środowiska. W latach 30. podejmuje studia judaistyczne. Bierze udział, znów jako kapelan, w kampanii wrześniowej, choć naraża go to na rozterkę sumienia, jest już bowiem zdeklarowanym pacyfistą; po klęsce zostaje kapelanem Szarych Szeregów i Armii Krajowej, współpracuje z Żegotą, bierze udział w powstaniu warszawskim. Po wojnie działa na tzw. Ziemiach Odzyskanych, w Słupsku. Wraca do Warszawy, obejmuje stanowisko rektora kościoła ss. Wizytek, mówi z ambony o internowaniu prymasa Wyszyńskiego. Przed aresztowaniem chroni go interwencja kolejnego znajomego z czasów okupacji... premiera Józefa Cyrankiewicza. Powikłane i zmienne, ale bliskie stosunki łączą go z prymasem Wyszyńskim. Zaufaniem i przyjaźnią darzą go również sceptycy i ateiści, nieraz o lewicowych korzeniach. W połowie lat 70. zostaje współzałożycielem Komitetu Obrony Robotników, potem sympatyzuje z Solidarnością. Umiera w suwerennej Polsce w roku 1991.

Czy gdybyśmy nie wiedzieli, że wszystko to przydarzyło się jednemu człowiekowi naprawdę, można byłoby w tę biografię uwierzyć? Od rewolucji 1905 roku do obalenia komunizmu, przez wojnę polsko-bolszewicką, kampanię wrześniową, konspirację i powstanie warszawskie, po KOR i Solidarność. W młodości na Kresach, potem na Ziemiach Odzyskanych, wreszcie w Warszawie. Między matką Ledóchowską, prymasem Wyszyńskim i Jackiem Kuroniem... Doprawdy, życiorys ks. Jan Ziei to ukonkretnienie historii Polski XX wieku.

Magiczna siła aktorstwa

Byłoby prawdopodobnie niemożliwe zrealizować film relacjonujący szczegółowo tę biografię. Do opisanych wyżej kłopotów z hagiograficznym charakterem opowieści doszłaby niewiara widza, że ktoś mógł w rzeczywistości przeżyć to wszystko. Twórcy zdecydowali się więc skupić na okresie dwóch lat: od 30 lipca 1976 r. (w ekspozycji widzimy zwycięski mecz reprezentacji Huberta Wagnera nad siatkarzami ZSRR) do 16 października 1978 r. (wybór Karola Wojtyły na papieża). Oglądamy zmagania pewnego esbeka (w tej roli niezawodny Zbigniew Zamachowski) z typowanym na „osobowe źródło informacji" sędziwym księdzem. Głównego bohatera gra Andrzej Seweryn, a ja muszę przyznać, że okazałem się małej wiary: pamiętając chudość ks. Ziei, narzekałem przed seansem, że – sądząc po obejrzanych zwiastunach – aktor jest nie dość szczupły. Tymczasem zobaczyłem magiczną siłę genialnego artysty, który chudym nie będąc, po prostu zagrał chudego – w sposób całkowicie przekonujący i ośmieszający mój niewczesny sceptycyzm.

Już wątek rozmów z oficerem SB zdaje się polemizować z rozpowszechnioną dzisiaj „polityką historyczną". Niepamiętający PRL-u są bowiem pouczani przez współczesnych propagandystów, że jedyną właściwą formą zachowania wobec przedstawicieli władzy było wzgardliwe milczenie, skoro już nie miało się okazji, żeby dołączyć do żołnierzy wyklętych ↦

↦ i zabijać komunistów. Tymczasem w latach 70. opozycjoniści, wzywani na przesłuchania, decydowali się z reguły na taką właśnie strategię: rozmawiali, póki to było możliwie, uprzejmie, niekiedy ironicznie, odpowiadając tak, żeby nikomu nie zaszkodzić i tajemnic nie zdradzać, ale zarazem uniknąć otwartej konfrontacji. Była to, rzecz jasna, gra pozorów: obie strony wiedziały, że uczestniczą w pewnego rodzaju teatrze. Jak w scenie otwarcia rozgrywki, gdy esbek mówi do księdza: „Zaprosiłem pana, by pana ostrzec" (więc jestem pełen dobrej woli i w gruncie rzeczy chodzi nam o to samo: o pokój i dobro socjalistycznej ojczyzny). Na co ksiądz: „W moim wieku? A cóż mi może grozić?".

Na tej kanwie pojawiają się w „Ziei" retrospekcje, w których młodego duchownego gra, również znakomity, Mateusz Więcławek (a starszego – znów Andrzej Seweryn; nie muszę dodawać, że przedzierzgnięcie się z osiemdziesięciolatka w czterdziestolatka nie stanowi dla tego aktora problemu). Z biografii bohatera wyjęte są pojedyncze epizody, w tym zrealizowane z rozmachem sceny batalistyczne (reżyserowane przez Marka Brodzkiego). Wspominam o nich, dowodzą bowiem pamięci twórców o przełomowym dla kina pierwszym kwadransie „Szeregowca Ryana" Spielberga: zarówno bitwa z wojny polsko-bolszewickiej, jak sekwencja walk w warszawskim kościele św. Krzyża w sierpniu 1944 r. budzą autentyczną grozę.

Robert Gliński opowiada przy tym o księdzu Ziei z dzisiejszej perspektywy – i mam na myśli nie tyle nawet uogólniony początek XXI wieku, ile Polskę ostatnich lat. Dlatego, jak sądzę, zaakcentowane są te momenty z życia bohatera, które stanowią, *nolens volens*, gorzkie oskarżenie instytucjonalnego Kościoła i kształtu popularnych dzisiaj wyobrażeń o Polsce. Zieja jest bowiem – zgodnie z prawdą historyczną – radykalnie ewangeliczny i z wymogami instytucji oraz narodowych obowiązków bez przerwy się w związku z tym zderza. W 1928 r. odprawia katolicki pogrzeb samobójczyni, co uznaje za przejaw miłosierdzia, a za co zostaje ukarany. Podczas wojny z bolszewikami spowiada umierającego czerwonoarmiejca, a na słowa penitenta, że ten jest przecież prawosławny, duchowny odpowiada, że Bóg jest ponad podziałami. Ale to mało, bo w 1939 r. będzie spowiadał... żołnierzy Wehrmachtu, prowokując polskich jeńców do pełnych oburzenia gwizdów. Niech kropka nad „i", która nie pada w filmie, zostanie tu postawiona: ksiądz Zieja nie nadaje się na patrona dla nacjonalkatolików.

Jedną z najświetniejszych scen filmu jest moment, w którym ksiądz wygłasza rekolekcje dla episkopatu (jest rok 1956). Kazanie Andrzej Seweryn wygłasza wprost do kamery, co wydaje się jednoznacznym sygnałem, że nie tylko obecni w tej scenie biskupi są adresatami jego słów. „Prawda jest ważniejsza nawet niż Kościół – słyszymy. – Od prawdy Kościół się nie zawali, ale od kłamstwa na pewno". Po czym Zieja prosi, a raczej żąda jak prawdziwy prorok, by purpuraci padli na kolana. Dla tego jednego momentu warto udać się do kina.

Odruch sprzeciwu

Już Norwid zadawał pytanie, czy człowieka można obudzić grzecznie. Nasza wspólnota, zarówno religijna, jak narodowa, zdaje się od pewnego czasu tkwić w coraz bardziej nieprawdziwym śnie o sobie samej. Ksiądz Jan jest z tego punktu widzenia głosem rzeczywistości: radykałem, który nie godzi się na okrawanie Ewangelii z radykalizmu ani na robienie z narodowości idola.

Mimo wymienionych wyżej scen, a także kilku innych, im bliżej końca seansu, tym bardziej miałem wrażenie, że twórcy starają się jednak hamować. Jakby uważali, że siła płynąca z postaci, o której mówią, jest wystarczająca. Że gdyby pokazali do końca, jak bardzo ich bohater nie pasuje do dzisiejszego kształtu Kościoła i do dzisiejszej Polski, wywołaliby u wielu widzów odruch sprzeciwu. Dlatego, tak sobie tłumaczę, ominęli kilka epizodów – to prawda, że pozornie mało filmowych – jak krytyczna reakcja Ziei na treść napisanych przez prymasa Wyszyńskiego Ślubów Jasnogórskich czy wspominane już studia judaistyczne duchownego, podjęte na przekór klimatowi epoki. I tak nie bez zdziwienia i satysfakcji ogląda się film, którego koproducentem jest (dzisiejsza) TVP, a w którym pokazuje się z taką czułością Jacka Kuronia (znakomita rola Jakuba Wieczorka).

Również jako łagodzenie wymowy filmu traktuję puentę, czyli zdjęcia dokumentalne z wyboru Karola Wojtyły na papieża. Chciałbym wierzyć, że ksiądz Jan był kimś pokrewnym Janowi Pawłowi II. Niestety dziś, widząc coraz wyraźniej złożoność wpływu Jana Pawła II na sytuację Kościoła w Polsce i na świecie, nie jestem już tego taki pewny.

Mój znajomy po powrocie z „Ziei" zwierzył mi się, że nie dostrzegł w tym filmie żadnego napięcia. Tymczasem moim zdaniem ono jest – ale umiejscowione gdzie indziej niż w zwykłych opowieściach biograficznych. Nie należy go szukać w życiorysie bohatera, istotnie spójnym, pozbawionym wahań – lecz w generalnej osobności tego bohatera, w jego dramatycznym zderzeniu z pozaekranowym światem. Z naszym światem.

© JERZY SOSNOWSKI

ZIEJA – *reż. Robert Gliński. Prod. Polska 2020. Dystryb. TVP. Premiera 13 marca 2020 r.*

TP

Kluby „TP" zapraszają na spotkania

KATOWICE, wtorek, 10 marca, godz. 17.30
„Wyzwania ekologiczne XXI wieku". Gośćmi będą: Zuzanna Borowska, o. Stanisław Jaromi, prof. Piotr Skubała, Jarosław Makowski. Miejsce: sala audytoryjna Parnassos Biblioteki Śląskiej (plac Rady Europy 1).

SŁUPSK, czwartek, 12 marca, godz. 18
„Konstytucyjna demokracja". Gościem będzie prof. Andrzej Rzepliński.
Miejsce: Słupski Inkubator Technologiczny (ul. Portowa 13).

WARSZAWA, czwartek, 12 marca, godz. 18
„Kobieca strona uchodźctwa". Gośćmi będą Marina Hulia i matki dzieci z dworca Brześć. Miejsce: Sala KIK, II piętro (ul. Freta 20/24A).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MAREK LASYK / REPORTER

ZBIGNIEW NOSOWSKI

Tajemnica ludzi opuszczających Kościół

Ujawniony zostaje kolejny przypadek wykorzystania seksualnego osoby małoletniej przez duchownego. Miejscowa kuria podejmuje działania zgodne z wytycznymi episkopatu. Diecezjalny rzecznik wydaje specjalne oświadczenie. Niby wszystko w porządku, tylko że... w oświadczeniu nie ma ani słowa o skrzywdzonym młodym człowieku. Rzecznik ma przecież bronić interesów Kościoła jako instytucji! I oto kolejny człowiek, który bynajmniej nie jest drogą Kościoła. Kolejna stracona okazja na świadectwo życia w prawdzie.

To jeden z wielu przykładów ulegania pokusie wsobności. Tak proponuję tłumaczyć „autoreferencjalizm", o którym tak wiele mówi papież. Franciszek przestrzega przed Kościołem, który żyje w sobie, z siebie i dla siebie. Taki Kościół nie służy – a Kościół, który nie służy, służy do niczego. Przestaje być księżycem odbijającym światło, bo „nawet nie zdając sobie sprawy, wierzy, że to on sam jest światłem".

Jest taki opis, jak Jezus naucza w Kafarnaum. Zbiegają się do Niego tłumy. Ewangelista Marek notuje: „Całe miasto było zebrane u drzwi". Pełen sukces!? A jednak Jezus nocą ucieka z miasta, aby się modlić. Apostołowie odnajdują Go i przekonują, by wracał do Kafarnaum: „Wszyscy Cię szukają". Lecz On odpowiada: „Pójdźmy gdzie indziej, do sąsiednich miejscowości, abym i tam mógł nauczać, bo na to wyszedłem" (Mk 1, 35-39).

WSOBNOŚĆ

Kościół, który nie służy, służy do niczego. Żyje w sobie, z siebie i dla siebie.

POWYŻEJ:
Msza na rozpoczęcie Triduum Paschalnego w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach, Kraków, kwiecień 2019 r.

„Pójdźmy gdzie indziej" – to odpowiedź Jezusa na polską pokusę kościelnej wsobności. Jego nie zadowala głoszenie Dobrej Nowiny tylko tym, którzy są blisko. On zachęca, żeby zaryzykować, nie osiadać na laurach i nie zadowalać się tym, co jest; żeby szukać oddalonych, pójść w takie miejsca, gdzie ludzie też Go potrzebują, nawet jeśli (jeszcze?) Go nie poszukują.

O przezwyciężaniu pokusy wsobności mówił papież Franciszek do biskupów z Ameryki Łacińskiej. Podkreślał, że w misji Kościoła pierwszorzędnego znaczenia nabiera aktywne szukanie osób, które oddalają się od wspólnoty; wnikanie w „tajemnicę ludzi opuszczających Kościół". Apelował, by Kościół „potrafił włączyć się w ich rozmowę".

W Polsce też przybywa ludzi opuszczających Kościół. Czy ktoś usiłuje wniknąć w ich tajemnicę? Włączyć się w ich rozmowę? Uczciwa odpowiedź na te pytania może stanowić test wsobności. Im bardziej Kościół nad tymi kwestiami się zastanawia, tym bardziej jest misyjny, a mniej wsobny.

Nawiązując do historii o ucieczce do Emaus, papież mówił biskupom brazylijskim: „Potrzebujemy Kościoła, który potrafi prowadzić dialog z uczniami uciekającymi z Jerozolimy, włóczącymi się bez celu, samotnie, ze swoim zawodem, rozczarowaniem chrześcijaństwem uważanym już za ziemię jałową, bezowocną, niezdolną do generowania sensu". Podkreślał, że uczciwe zrozumienie powodów, dla których ci ludzie odchodzą, zawiera w sobie „także i motywy możliwego powrotu. Ale trzeba umieć całość odważnie odczytać".

W Kościele powinno być miejsce i dla zadomowionych (*dwellers*), i dla poszukiwaczy (*seekers*). Tyle że oni mają różne potrzeby. Zadomowieni chcą żyć w świecie znanym, bezpiecznym, sprawdzonym. Poszukiwacze wciąż tęsknią za czymś więcej. Zadomowieni akcentują stabilność, spójność zasad, wyraźne granice. Poszukiwacze cenią doświadczenie i emocje, możliwość eksploracji nieznanego. Co ma być priorytetem Kościoła tu i teraz?

W polskich kościelnych realiach chęć szukania ludzi oddalonych przekłada się najczęściej na działania z nurtu nowej ewangelizacji. Ale dla wielu współczesnych duchowych poszukiwaczy odpowiedzi podsuwane przez ten nurt mogą być zbyt proste. Aby do tych ludzi trafić, trzeba głębiej wejść w ich świat. Należy wspólnie z nimi poszukiwać, a nie walczyć z nimi. Odrzucić postawę posiadacza prawdy znającego z góry odpowiedzi na wszelkie możliwe pytania.

Przezwyciężając wsobność, głosiciele Ewangelii sami powinni stawać się poszukiwaczami. Poszukiwaczami szczęśliwymi, bo już znaleźli skarb, którzy jednak – dzieląc się nim z innymi – wciąż go szukają. Wszak „uczyniwszy na wieki wybór, w każdej chwili wybierać muszę", jak pisał Jerzy Liebert. ©

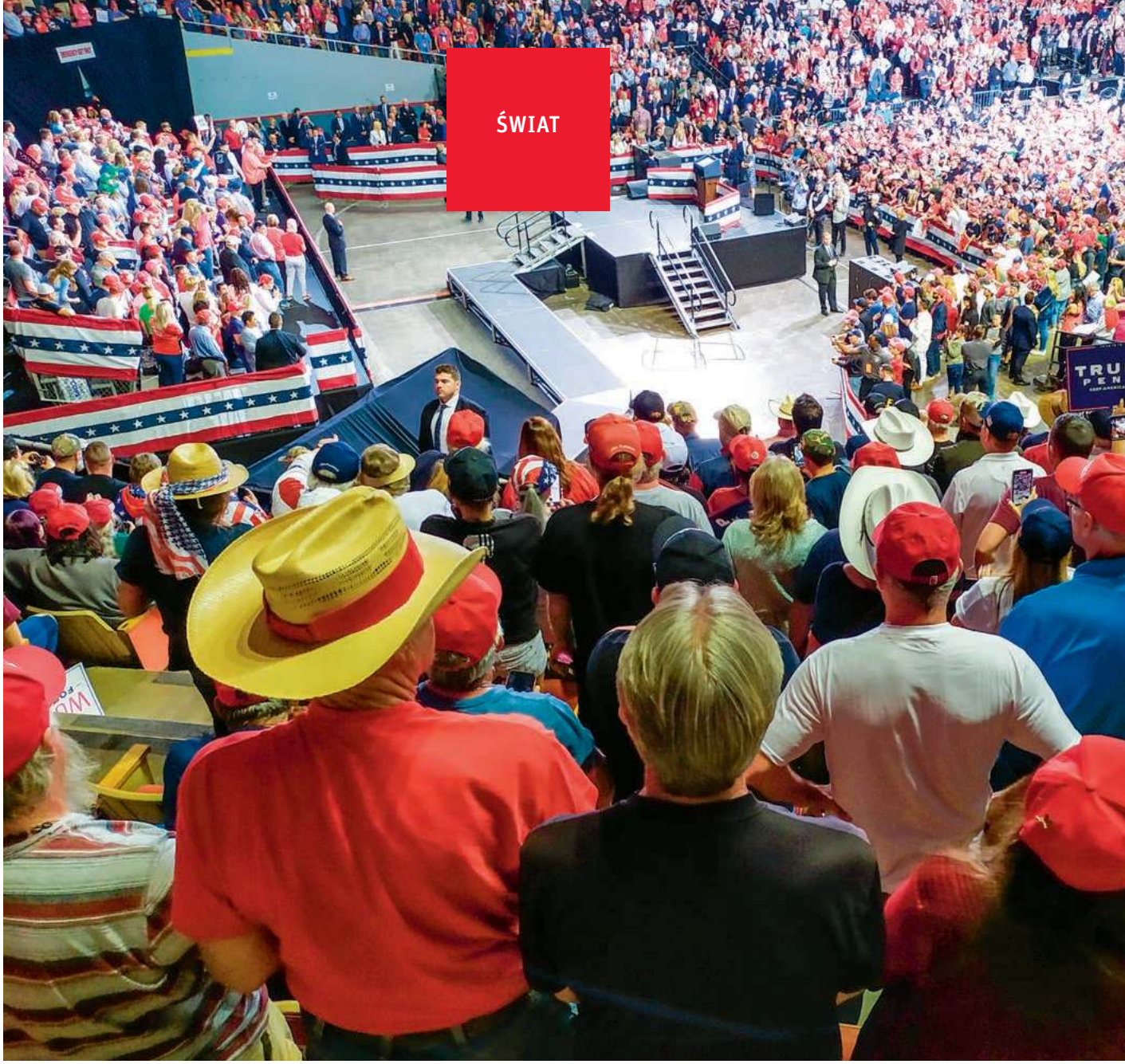

W oczekiwaniu na prezydenta, Paris Theather, Las Vegas, 19 lutego 2020 r.

DZIEŃ Z FANAMI TRUMPA

Gdy Demokraci walczą w pocie czoła o prezydencką nominację, Donald Trump jeździ na kolejne wiece wyborcze. Niektórzy kochają go bez względu na wszystko.

TEKST I ZDJĘCIA MARTA ZDZIEBORSKA
Z PHOENIX (ARIZONA, USA)

Środa, 19 lutego, Las Vegas. W Paris Theater trwa debata demokratycznych kandydatów do nominacji prezydenckiej. To wyjątkowy wieczór, bo politycy – znani dotąd z mało emocjonujących starć – skaczą sobie do gardeł. Celem większości ataków staje się Michael Bloomberg, ósmy najbogatszy człowiek w USA, który niedawno dołączył do prawyborów Partii Demokratycznej i zwyżkuje w sondażach. Konkurenci zarzucają Bloombergowi, że jest obrzydliwie bogaty, nie szanuje kobiet i jest rasistą.

Zarzuty te brzmią znajomo dla Donalda Trumpa, który tego samego wieczoru przemawia na wiecu wyborczym w Phoenix – półtoramilionowej stolicy stanu Arizona. W gmachu Arizona Veterans Memorial Coliseum, gdzie gościli niegdyś Jan Paweł II i Barack Obama, prezydent szydzi z potencjalnych rywali. Podobnie jak kandydaci Partii Demokratycznej, najwięcej czasu poświęca Bloombergowi. Ze względu na wzrost (172 cm) nazywa go „Mini Mikiem" i kpi, że podczas debat powinien stać na skrzynce. Prezydent śmieje się, że na kampanię w mediach miliarder wydał już ponad 400 mln dolarów. Sam, jak twierdzi, na kampanię w 2016 r. przeznaczył z własnej kieszeni „zaledwie" 70 mln dolarów.

– Bo jak zawsze mówił mi ojciec: po co przepłacać, skoro można mieć coś za niższą cenę? – przekonuje Trump. – Zresztą nie obchodzi mnie, kto tym razem będzie moim rywalem. Przecież i tak wygramy. Musimy! – krzyczy.

Zebrany na sali tłum skanduje: „*Four more years! Four more years!*" (kolejne cztery lata). Zwolenników Trumpa nie interesują postawione mu zarzuty w procedurze impeachmentu. Nie przeszkadzają im jego ataki na Twitterze, rasistowskie wypowiedzi na temat imigrantów przybywających nielegalnie do USA czy obraźliwe hasła wobec kobiet. To Ameryka, której z Trumpem jest po prostu dobrze.

Republikanka z Wirginii

– Nie mogę uwierzyć, że zobaczę dziś prezydenta – mówi podekscytowana Shelby. 65-latkę z Floyd w stanie Wirginia spotykam na przystanku autobusowym przy West McDowell Road. Nie wygląda na stereotypową zwolenniczkę Trumpa: nie ma czerwonej czapki z hasłem „*Make America Great Again*" ani koszulki z napisem „Trump". Ubrana w szary T-shirt i beżowe luźne spodnie pyta zestresowana, czy wiem, jak dojechać na wiec. Tłumaczy, że w Phoenix jest po raz pierwszy. Przyjechała tu w celach służbowych, ale gdy usłyszała o wiecu Trumpa, bez wahania przedłużyła pobyt w Arizonie.

– Nie mogłam przegapić takiej okazji – tłumaczy. – Kocham Trumpa za to, że jest bezpośredni i nie trzeba się domyślać, o co mu chodzi. Ameryka potrzebuje biznesmena, a nie polityków dbających tylko o polityczną poprawność – dodaje.

Gorąca zwolenniczka Republikanów denerwuje się, że jej rodzimy stan Wirginia staje się bastionem Demokratów. Jesienią 2019 r., po ponad 20 latach, Partia Demokratyczna zdobyła tam całkowitą kontrolę: oprócz swojego gubernatora ma teraz większość w obu izbach parlamentu stanowego. W Wirginii zawrzało też kilka miesięcy wcześniej, gdy Demokraci rozważali kontrowersyjny projekt ustawy znoszący restrykcje dotyczące aborcji w trzecim trymestrze ciąży. – Nie wierzę, że coś takiego dzieje się w naszym kraju! – Shelby podnosi głos. – Demokraci nie znają granic! Gdzie się podziały tradycyjne amerykańskie wartości?

Zbliżamy się do gmachu, w którym odbędzie się wiec. Wzdłuż ogrodzenia mijamy stoiska z czerwonymi przypinkami, czapkami i koszulkami. Wszędzie hasła: „*Keep America Great*", „*Liberal Free Zone*" czy „*Trump 2020 the Sequel. Make Democrats Cry Again*" (Niech Demokraci znów zapłaczą).

Gdy jesteśmy na miejscu, pytam Shelby, czy mogłaby mi zająć miejsce w kolejce. Choć wiec zacznie się dopiero za pięć godzin, ludzie już wypełniają cały plac i jest ryzyko, że nie każdy wejdzie do środka.

Pogranicznik kocha Chinkę

Wśród tłumu moją uwagę przykuwa drobna Azjatka w różowej czapce z napisem „Trump". Gdy podchodzę, uśmiecha się nerwowo i łamanym angielskim odsyła mnie do swojego męża Jeffa. Niski brunet z dużym brzuchem tłumaczy, że Helen pochodzi z chińskiej prowincji Szantung i do Stanów przyjechała dopiero cztery miesiące temu. Para poznała się przez internet i jest świeżo po ślubie.

– Prezydent nie ma nic przeciw imigrantom, którzy tak jak Helen przyjechali do USA legalnie – podkreśla nieco usprawiedliwiającym tonem. Mężczyzna mówi, że jest funkcjonariuszem straży granicznej z Yumy i rzecz jasna popiera budowę muru na granicy z Meksykiem.

– Wiesz, że to pierwszy polityk, dla którego idę na wiec? – oznajmia. – Nie mam z tego żadnych korzyści, musiałem specjalnie wziąć dzień wolny w pracy. Czekamy z Helen już od czterech godzin. Ostatni raz stałem w takiej kolejce w 1987 r., gdy chciałem dostać bilety na koncert Rolling Stonesów.

Jeff zdolny jest do takich poświęceń, bo, jak mówi, Trump to „prawdziwy Amerykanin". – On nie boi się być patriotą! – podkreśla. – W przeciwieństwie do Obamy na pierwszym miejscu stawia interesy Stanów i nikogo za nic nie przeprasza.

Nie każdy imigrant to „zwierzę"

Dwóch chłopców trzyma tabliczki: „*Mexicanos for Trump*". W kolejce na ↦

wiec prezydenta, który forsuje budowę muru na granicy z Meksykiem, taki widok może dziwić. Podobnie zresztą jak poglądy Michelle, 48-letniej Meksykanki i młodej babci obu chłopców. Kobieta przekonuje, że budowa muru jest słuszna, a prezydent „robi wiele dobrego dla Meksykanów".

Dopytuję, co sądzi o słowach Trumpa, który w maju 2018 r. wyzwał nielegalnych meksykańskich imigrantów od „zwierząt".

– Czy Trump mówił tak o wszystkich Meksykanach? Nie – twierdzi Michelle. – Prezydent miał na myśli przestępców odpowiedzialnych za przemyt narkotyków i handel ludźmi przez meksykańską granicę. Dlaczego lewicowe media tak mało mówią o Amerykanach umierających z przedawkowania fentanylu? Tylko Donald Trump chce nas uchronić przed zalewem narkotyków z Meksyku! – kobieta już krzyczy.

Michelle jest jednak mniej kategoryczna w sprawie imigrantów forsujących nielegalnie południową granicę USA. – Jeśli ktoś zarabia w Meksyku równowartość pięciu dolarów dziennie, trudno oczekiwać, że będzie starał się o amerykańską wizę – mówi. – We wniosku trzeba przecież wykazać, że dysponuje się wystarczającymi środkami do przeżycia w Stanach. Dziękuję Bogu, że mam amerykańskie obywatelstwo i nie muszę dokonywać takich wyborów.

Taki żart

Jeszcze trudniejsza do zaszufladkowania od Michelle jest Bridget. 46-letnia lekarka i matka dziewięciorga dzieci tłumaczy, że nie od zawsze była zagorzałą zwolenniczką Trumpa. Przyznaje, że gdy nowojorski miliarder ogłosił udział w wyborach prezydenckich w 2016 r., myślała, że to żart. Jednak gdy otrzymał nominację Partii Republikańskiej, to na niego oddała swój głos.

Bridget mówi, że nie miała innego wyboru, bo Hillary Clinton – rywalka Trumpa w 2016 r. – to dla niej symbol politycznego establishmentu. – Oczywiście oburza mnie fakt, że Trump zdradzał obie żony i skandalicznie wypowiada się o kobietach – mówi lekarka. – Ale to biznesmen, a nie kolejny rasowy polityk, który bez względu na przynależność partyjną chce utrzymać się przy władzy. Podoba mi się też to, że Trump stawia na pierwszym miejscu Amerykanów. To my potrzebujemy wsparcia, a nie nielegalni imigranci, którym Demokraci chcą zagwarantować nawet bezpłatną opiekę zdrowotną!

Bridget nie podoba się projekt bezpłatnej opieki zdrowotnej Medicare for All, której autorem jest Bernie Sanders, obecnie faworyt w walce o nominację Partii Demokratycznej. – Opieka zdrowotna za darmo to mrzonka, za którą zapłaci amerykański podatnik – twierdzi. – Mój mąż służył w amerykańskiej armii i korzysta teraz z bezpłatnej opieki zdrowotnej dla weteranów. I jaki jest tego efekt? Na każdą wizytę czeka co najmniej miesiąc i wciąż musi prosić się o skierowania do specjalistów. To jest Ameryka, jakiej chce Bernie Sanders.

To tylko haki

Przeciwna bezpłatnej opiece zdrowotnej jest też Kenya, 43-letnia agentka nieruchomości, której podoba się twardy kapitalizm i dobra sytuacja ekonomiczna za rządów Trumpa.

– Coraz więcej osób stać na kupno domu i nie narzekam na brak zleceń – tłumaczy Kenya. – Demokraci tak bardzo nienawidzą Trumpa, że nie dostrzegają, jak wiele dobrego robi dla kraju. To oburzające, że Partia Demokratyczna szuka na niego haków od początku jego prezydentury! – krzyczy.

Kenya odnosi się do Russiagate, śledztwa w sprawie ingerencji Rosji w wybory prezydenckie w 2016 r. Komentuje też procedurę impeachmentu, która na początku lutego zakończyła się oddaleniem przez Senat postawionych Trumpowi zarzutów nadużycia władzy i utrudniania śledztwa Kongresu. – Zarzuty postawione prezydentowi są niedorzeczne! – przekonuje. – Czytałam zapis jego rozmowy z prezydentem Ukrainy i nie ma tam nic, co podlegałoby procedurze usunięcia z urzędu.

Chodzi o rozmowę telefoniczną z 25 lipca z 2019 r.: wynika z niej, że Trump prosił Wołodymyra Zełenskiego o wszczęcie śledztwa w sprawie syna byłego wiceprezydenta Joe Bidena, dziś potencjalnego rywala Trumpa w wyścigu o Biały Dom.

Wymiar duchowy

Zbliża się siedemnasta i gmach Arizona Veterans Memorial Coliseum wypełnia się po brzegi. Ci, którzy przeszli pomyślnie kontrolę bezpieczeństwa (ochroniarze przeszukują każdemu torbę, trzeba też przekroczyć bramkę do wykrywania metali), walczą o miejsca z najlepszym widokiem na scenę. Niektórzy ustawiają się w kolejce do budek z jedzeniem. Zaopatrzeni we frytki, kubełki kurczaków lub ogromne paczki z popcornem, są gotowi na przemówienie prezydenta.

Rebecce i Davidowi, małżeństwu z Tempe w Arizonie, nie w głowie tłoczenie się w kolejce. Choć nie jedli nic od rana, uważnie śledzą każdy punkt programu.

Trzy minuty po siedemnastej wiec zaczyna się od modlitwy. Rebecca zamyka oczy i wraz z innymi powtarza: – Przyznajemy przed Bogiem i ziemią, że nasza walka ma wymiar duchowy. Modlimy się o dalszą mądrość i łaskę dla prezydenta, wiceprezydenta i ich współpracowników. Dziękujemy za ich odwagę, siłę i wiarę. Prosimy Cię, Boże, o zdrowie dla prezydenta i opiekę aniołów, które czuwają nad jego walką z ludźmi podążającymi za szatanem. Prosimy Cię o siłę i jedność, abyśmy nie padli ofiarą podziałów. Amen.

Godzina 17.07: Kelli Ward, przewodnicząca Partii Republikańskiej w stanie Arizona, przekonuje, że Stany to najbardziej wyjątkowy kraj na świecie. Zbiera owacje.

Godzina 17.09: zebrani śpiewają hymn USA.

Godzina 17.15: kongresmenka Partii Republikańskiej Debbie Lesko miesza z błotem Adama Schiffa, szefa komisji ds. wywiadu Izby Reprezentantów i lidera procedury impeachmentu. Rebecca i David krzyczą wraz z tłumem: – Kłamca! Kłamca! Aresztować go!

Godzina 17.23: zaczyna się godzinna przerwa techniczna. Z głośników rozbrzmiewa „YMCA", dyskotekowy przebój zespołu Village People z 1978 r.

Robotnik docenia Trumpa

Emocje sięgają zenitu, gdy ok. 18.30 na scenie pojawia się syn prezydenta, Donald Trump Junior. W płomiennym wystąpieniu przekonuje, że ojciec interesuje się problemami zwykłych Amerykanów. Dowód? Jako deweloperski magnat zatrudniał robotników przy budowie hoteli.

– Donald Trump to nie Michael Bloomberg, który zatrudnia ludzi pracujących przy komputerze! – mówi Junior (nawiązując do tego, że miliarder założył agencję informacyjną Bloomberg News).

– Mój ojciec nigdy nie był jak te nadęte głupki z Waszyngtonu i nie boi się powiedzieć, że najważniejszy jest interes Ameryki. Prezydent chce sprawić, by spełnił się wasz *American Dream*!

Rebecca i David skaczą z radości. David, emerytowany operator maszyn w fabryce broni, mówi, że Trump jest prezydentem, który od czasów Ronalda Reagana najlepiej rozumie robotników. Małżeństwo mieszka w przyczepie kempingowej i żyje ze skromnej emerytury. Choć dotąd nie odczuli poprawy sytuacji ekonomicznej, o której mówi Trump, cenią go ze względu na wsparcie dla ruchu pro-life.

Pytam Rebeccę i Davida, czy nie razi ich, że Trump opowiadał się kiedyś za prawem do aborcji. – Grunt, że prezydent zmienił w tej sprawie zdanie – ucina David.

„Polowanie na czarownice"

Jest 19.15 i nieco zniecierpliwiony już tłum słucha utworów „Beat it" Michaela Jacksona oraz „Macho Man" (to także zespołu Village People).

Gdy z głośników płynie piosenka Lee Greenwooda „God Bless the USA" – symbol amerykańskiego konserwatyzmu – dla wszystkich staje się jasne, że zaraz zobaczą Trumpa. I faktycznie: w granatowym garniturze i z czerwonym krawatem, wychodzi na scenę i macha z uśmiechem do tłumu. Cała sala skanduje: „USA, USA, USA!".

– Dziękuję, Phoenix! – zaczyna prezydent. – Cieszę się, że mogę być dziś w Arizonie, gdzie ciężko pracujący patrioci wierzą w Boga, rodzinę i swój kraj. Z waszą pomocą w listopadzie pokonamy socjalistycznych Demokratów. To wspaniały czas dla Ameryki! – woła Donald Trump, który wielokrotnie tego wieczoru będzie odnosił się do procedury impeachmentu. – Podczas gdy Demokraci tracili czas na to polowanie na czarownice, my tworzyliśmy nowe miejsca pracy, podwyższaliśmy płace, chroniliśmy granice USA, podpisywaliśmy umowy handlowe i dbaliśmy o rozwój amerykańskich obywateli, bez względu na ich rasę czy wyznawaną religię – przekonuje. – Pomimo ciągłych ataków zrobiliśmy więcej w ciągu trzech lat niż każda inna administracja w historii USA!

Podczas prawie półtoragodzinnego wystąpienia prezydent mówi też często o rekordowo niskim bezrobociu (3,6 proc.), świetnie prosperującej gospodarce i polityce „*America First*", dla której liczy się przede wszystkim to, co amerykańskie.

REBECCA I DAVID *mieszkają w przyczepie kempingowej. Popierają Trumpa, bo ten chroni zwolenników dostępu do broni i wspiera ruch obrońców życia.*

ALEKSANDRA KRZANOWSKA *jest w Stanach od 2000 roku. Przyszła na wiec wyborczy Trumpa dzień po zdobyciu amerykańskiego obywatelstwa. Będzie na niego głosować.*

BRIDGET *mówi, że nigdy wcześniej nie interesowała się polityką. Zmienił to dopiero Donald Trump, który według niej jako jedyny interesuje się losem zwykłych Amerykanów.*

Gdy mowa zbliża się do końca, zmęczeni są nawet najbardziej zagorzali fani. Dla zabicia czasu Rebecca pokazuje mi ekran swojego telefonu. Na tapecie widnieje zdjęcie Trumpa, jak tańczy z żoną Melanią podczas inauguracji prezydentury w styczniu 2017 r.

Walka o Arizonę

Donald Trump odwiedził Phoenix w ramach kilkudniowej wizyty po zachodnich stanach USA. Właściwie mógłby tego nie robić, bo w Arizonie – podobnie jak m.in. w Nevadzie czy Kansas – Partia Republikańska nie organizuje prawyborów, służących tradycyjnie do wyłonienia kandydata do nominacji prezydenckiej. Nikogo nie trzeba przekonywać, że ubiegający się o reelekcję Trump jest w Partii Republikańskiej faworytem.

Jednak Trumpa może niepokoić fakt, że Arizona, dotąd bastion Republikanów, coraz bardziej dryfuje w kierunku Partii Demokratycznej. W wyborach do Kongresu w 2018 r. po raz pierwszy od 30 lat fotel senatora zdobyła tu polityczka Demokratów. Arizona, w której przybywa Latynosów (uznawanych za elektorat Partii Demokratycznej), została już okrzyknięta jednym z tzw. stanów wahających się – i może odegrać ważną rolę w listopadowych wyborach.

To, na ile zaciekła będzie walka o Biały Dom, zależy również od tego, kto będzie nominatem Partii Demokratycznej. Czy obecny faworyt, socjalista Bernie Sanders, ma szansę pokonać Trumpa? Tego zadania na pewno nie ułatwią wysokie notowania prezydenta: mimo procedury impeachmentu 49 proc. Amerykanów popiera dziś jego prezydenturę (to najwyższy wynik od objęcia przez niego urzędu). Z sondażu Gallupa wynika, że aż 63 proc. respondentów jest też zadowolonych z sytuacji ekonomicznej kraju.

Trump w lepszym wydaniu

Reelekcji Trumpa boi się Caroline, którą spotykam w punkcie informacyjnym na lotnisku w Phoenix. Niegdyś zagorzała Republikanka, po wygranej Trumpa w 2016 r. zarejestrowała się w geście protestu jako niezależny wyborca.

Gdy pytam Caroline, który z kandydatów Partii Demokratycznej przemawia do jej centrowych poglądów, trudno jej jednoznacznie odpowiedzieć. – Bernie Sanders odpada, bo jest socjalistą – wylicza. – Pete Buttigieg to gej, a Joe Biden i Elizabeth Warren mnie nie przekonują. Może więc Michael Bloomberg? To przecież miliarder i na pewno zna się na zarządzaniu. To trochę jak Trump, ale w lepszym wydaniu.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Żeń-szeń w walce z wirusem

ROMAN HUSARSKI Z JEONJU (KOREA POŁUDNIOWA)

Koronawirus SARS-CoV-2 dotarł na Półwysep Koreański. Na Południu jest prawie tysiąc chorych i pierwsze ofiary śmiertelne. Nie wiadomo, co dzieje się na Północy.

Piszę ten tekst w mojej ulubionej kawiarni w mieście Jeonju, która zwykle o tej porze jest pełna. Dziś nie ma nikogo. Kelner skarży się, że odkąd media zaczęły informować o wzrastającej liczbie zachorowań, narasta panika i kto może, omija lokale. Także na ulicach widzi się mniej ludzi. Chińskie dzielnice, znajdujące się w każdym dużym mieście, są właściwie puste. Branża oferująca jedzenie z dostawą do domu nigdy nie miała tak dużych obrotów. Także tradycyjne łaźnie opustoszały. Wiele rodzin nie opuszcza domów.

Powszechna mobilizacja

W historii Korei Południowej było kilka sytuacji, gdy zaangażowanie i solidarność obywateli budziły podziw. Np. gdy w czasie kryzysu walutowego w 1997 r. kraj popadł w dług sięgający 304 mld dolarów, w odpowiedzi na apel rządu o narodową zbiórkę pięć milionów Koreańczyków zdeponowało w bankach swoje oszczędności i kosztowności w złocie, trzymane wcześniej w domach. Zebrana suma kilkakrotnie przekroczyła wartość długu i kraj spłacił go w całości.

Również dziś obywatele masowo się angażują i stosują do apeli władz. Choć ich skuteczność jest dyskusyjna, wszyscy na ulicy noszą maseczki. Grupa studentów opracowała aplikację pokazującą na bieżąco miejsca, gdzie odnotowano przypadki zarażenia. Mieszkańcy drogą pantoflową przekazują sobie nawet informacje, w których sklepach zarażeni robili zakupy.

Rząd prezydenta Moon Jae-ina robi wiele, by ograniczyć epidemię. Kraj nie wpuszcza Chińczyków z prowincji Hubei, a wszystkie biura podróży odwołały wycieczki do Chin. W ciągu kilku dni od chwili, gdy odnotowano pierwszy przypadek infekcji, na ulicach, dworcach, w urzędach i prywatnych restauracjach pojawiły się plakaty (po koreańsku, angielsku i chińsku) informujące o działaniach prewencyjnych, wraz z telefonem pierwszego kontaktu, gdyby ktoś odnotował u siebie niepokojące objawy. Miejsca publiczne są regularnie odkażane. Rząd prowadzi akcję rozdawania żeli dezynfekujących; trafiły też do ulicznych sprzedawców. W dzielnicach, gdzie wykryto wirusa, zapobiegawczo zamyka się przedszkola, siłownie czy baseny. Prezydenckim samolotem ewakuowano koreańskich uczestników feralnego rejsu wycieczkowca „Diamond Princess", na którym wybuchła epidemia. W Seulu zabroniono publicznych zgromadzeń.

Jednak nie zapobiegło to rozprzestrzenieniu się choroby. Do piątku 28 lutego odnotowano już ponad 2300 zidentyfikowanych chorych (najwięcej poza Chinami) i 13 ofiar śmiertelnych. Szerokim echem odbiły się doniesienia ze stolicy południowokoreańskiego konserwatyzmu, miasta Daegu, gdzie większość chorych okazała się związana z sektą Shincheonji: kontrowersyjną grupą religijną, której lider Lee Man-hee uważany jest przez wyznawców za nowego Chrystusa.

Za kulisami dyktatury

O ile w demokratycznej Korei Południowej informacji o wirusie jest aż nadmiar, o tyle nie wiadomo, jak pod względem zachorowań i zgonów wygląda sytuacja w komunistycznej Korei Północnej. Po wprowadzeniu ostatnich sankcji kraj mierzy się dziś z najgorszą sytuacją ekonomiczną od lat. Epidemia mogłaby być dla niego katastrofalna.

Ponieważ dyktatura Kim Dzong-una konsekwentnie nie publikuje statystyk i także teraz milczy o sytuacji zdrowotnej, rodzi to, jak zwykle, liczne medialne sensacje o wątpliwej wartości. Najbardziej nośną ostatnio była ta o rozstrzelaniu pewnego urzędnika, który lekceważąc procedurę kwarantanny miał odwiedzić łaźnię publiczną (powieliły ją również niektóre polskie portale). Jej źródłem była południowokoreańska gazeta „Dong-a Ilbo", nie słynąca z rzetelności, która powołała się na swojego informatora na Północy. Ale żaden z głównych portali poświęconych informacjom z KRLD jej nie potwierdził.

Śledząc działania władz Północy widać jednak, że albo sytuacja jest poważna, albo reżim bardzo boi się skutków wirusa – ogłoszono już bowiem stan wyjątkowy. Turyści, dyplomaci i biznesmeni (w tym Chińczycy z obywatelstwem KRLD) poddawani są aż 30-dniowej kwarantannie, a granica z Chinami została szczelnie zamknięta. Liczba połączeń lotniczych z zagranicą została radykalnie zmniejszona, pociągi całkiem przestały jeździć poza granice KRLD. Ruch wewnątrz kraju, i tak niewielki, został jeszcze bardziej ograniczony. Szkoły za-

HEO RAN / REUTERS / FORUM

Próba ceremonii zmiany warty przed Pałacem Deoksu, Seoul, 31 stycznia 2020 r.

mknięto na miesiąc. Partyjna gazeta „Rodong Sinmun" poucza, by członkowie rodziny jedli posiłki oddzielnie (tradycyjnie w Korei wszyscy dzielą się jedzeniem, nakładając z tych samych miseczek), oraz żeby na ulicy zachować odstęp co najmniej półtora metra od innych przechodniów. W wielu miejscach pracy, wzorem Południa, rozdano maseczki. Prowadzone są też treningi, jak wykorzystywać koreańską medycynę naturalną, by się chronić.

Nic nie wiadomo natomiast o współpracy chińsko-północnokoreańskiej w sprawie wirusa, choć 1 lutego Kim Dzong-un wysłał prezydentowi Xi Jinpingowi list z kondolencjami i deklaracją, że jest gotów udzielić mu pomocy. Wiadomo za to, że w chińskich prowincjach sąsiadujących z KRLD odnotowano już kilkaset zachorowań. Najwięcej w Heilongjiang, gdzie potwierdzono 470 chorych i 12 zgonów (dane z 19 lutego).

Z powodu zagrożenia wirusem odwołano też defiladę z okazji Dnia Armii 8 lutego. Wprawdzie nie jest to najważniejsze święto wojskowe, jednak reżim rzadko rezygnuje z militarnego spektaklu. Nie mógł natomiast odwołać obchodów Dnia Świecącej Gwiazdy: urodzin Kim Dzong-ila (16 lutego), nieżyjącego ojca obecnie panującego. To drugie co do wielkości święto w KRLD, po urodzinach Kim Ir Sena. W tym roku obchodzono je z najmniejszą jak dotąd pompą, w obecności ledwie garstki zagranicznych dyplomatów.

Działania władz Północy mogą jeszcze bardziej obciążyć i tak słabą gospodarkę. To jednak zapewne mniejsze zło wobec perspektywy epidemii. Jean H. Lee, była korespondentka Associated Press w Korei Północnej, w ostatnich 10 latach odwiedziła liczne szpitale w kraju. Relacjonowała, że brakowało w nich bieżącej wody, ogrzewania, a nawet środków do dezynfekowania rąk. Leczenie polegało na podawaniu pacjentom tradycyjnych leków ziołowych na bazie żeń-szenia. Dodając do tego ciągłe braki prądu, można zakładać, że system nie sprostałby epidemii, która w lepiej zorganizowanych i bogatych krajach spędza sen z powiek rządzącym.

Zagrożenie także polityczne

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) uspokaja, że mimo gwałtownego wzrostu liczby infekcji w Korei Południowej, sytuacja jest tu pod kontrolą. Ostatecznie kraj ma środki i wykwalifikowany personel. Świat tak bardzo skupiony jest na koronawirusie, że niemal nie zauważono informacji o skazaniu byłego prezydenta Lee Myung-baka (rządził w latach 2008-13) na 17 lat więzienia za korupcję. Część tutejszych komentatorów odczytuje to jako polityczną zemstę obecnie rządzących.

Natomiast ekonomiczne straty z powodu działań antywirusowych mogą być znaczące. Według Hyundai Economic Research Institute wzrost PKB będzie niższy nawet o 0,2 punktu procentowego. Ciężko oszacować, jak duże będą straty spowodowane oczekiwanym spadkiem liczby turystów – (gdy w 2019 r. Południe odwiedziło w tym celu prawie 6 mln Chińczyków). Cała branża jest zaniepokojona. Boom przeżywają jedynie firmy produkujące środki sanitarne, których produkty kupowane są najchętniej online.

Można się spodziewać, że Południe zaproponuje Północy pomoc humanitarną – w duchu polityki, jaką chciałaby prowadzić obecna administracja Moon Jae-ina. Jednak międzynarodowe ograniczenia nałożone na dyktaturę blokują możliwości współpracy. KRLD pozostaje wszystkim jednym z najbiedniejszych krajów Azji. Izolacjonizm razem z sankcjami może przynieść tragiczne rezultaty. Obecnie oficjalny dialog między obiema stronami nie jest prowadzony, a działalność biura łączniksowego w Kaesong zawieszono na czas nieokreślony.

Istnieją obawy, że władze Północy mogą wykorzystać nasiloną teraz izolację kraju, by ponownie zintensyfikować lęki obywateli przed zewnętrznym światem i po cichu w pełni powrócić do projektów zbrojeniowych, na czele z nuklearnym. Koronawirus jest nie tylko zagrożeniem zdrowotnym, ale też politycznym. ©

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

ROMAN HUSARSKI będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopoglądzie" Radia Tok FM, w środę 4 marca, o godz. 16.00

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

NIALL CARSON / EAST NEWS

Przewodnicząca Sinn Féin Mary Lou McDonald (z prawej) i Michelle O'Neill, wiceprzewodnicząca partii oraz wicepremier Irlandii Północnej. Dublin, luty 2018 r.

Irlandzka wiosna

PATRYCJA BUKALSKA

Do zjednoczenia Zielonej Wyspy jeszcze jest daleko, ale mówić się o tym będzie coraz częściej. Tym bardziej że do gry wróciła partia Sinn Féin.

W tle jest zielona flaga Sinn Féin z hasłem „Powstań i walcz". Mężczyzna w czarnym swetrze mówi podniesionym głosem: „Nigdy nie złamali prowadzących strajk głodowy, nigdy nie złamią nas, nigdy nie złamią Sinn Féin". Kończy wśród aplauzu, słowami: „*Up the Republic, up the Ra and tiocfaidh ár lá*" – (nasz dzień nadejdzie).

Mężczyzną jest David Cullinane z partii Sinn Féin, który w wyborczy wieczór 8 lutego tak właśnie świętował swój parlamentarny mandat. I impreza, i filmik były prywatne. Upublicznione w mediach, musiały jednak popsuć tryumfalny nastrój przewodniczacej Sinn Féin, Mary Lou McDonald. Bo i „*Up the Ra*", i „*tiocfaidh ár lá*" to zawołania kojarzone z Irlandzką Armią Republikańską, która kilkadziesiąt lat temu prowadziła walkę zbrojną o zjednoczenie Republiki Irlandii z Irlandią Północną, wchodzącą w skład Zjednoczonego Królestwa.

Tymczasem Sinn Féin, kiedyś polityczne skrzydło IRA, szła w lutym do wyborów jako partia przyszłości i zmiany. Sukces przyniosły jej nie hasła sprzed lat i postulaty zjednoczeniowe, lecz obietnice rozwiązania problemów socjalnych Irlandczyków, np. kryzysu mieszkaniowego. Można powiedzieć, że wysoki wynik Sinn Féin osiągnęła pomimo – a nie dzięki – swojej burzliwej i nadal nierozliczonej przeszłości, i nawiązania do niewygodnych powiązań są jej teraz bardzo nie na rękę. David Cullinane za „*Up the Ra*" już przeprosił, ale jego wpadka jest symbolem kłopotów Sinn Féin z własnym dziedzictwem.

Wielka dwójka i ta trzecia

Cullinane, jak zauważył z przekąsem jeden z jego partyjnych kolegów, nie powinien dać ponosić się euforii i wygłaszać płomiennych przemówień o drugiej nad ranem. Ale też można te emocje zrozumieć – w okręgu Waterford zdobył więcej tzw. głosów pierwszego wyboru (irlandzki system wyborczy opiera się na okręgach wielomandatowych i zasadzie pojedynczego przechodniego głosu) niż kandydaci dwóch największych partii (Fine Gael i Fianna Fáil) razem wzięci. Nikt wcześniej nie miał tu podobnego poparcia.

Ostatnie wybory okazały się w Irlandii trzęsieniem ziemi. Sinn Féin zwiększyła swoje poparcie z niespełna 14 proc. (w 2016 r.) do 25 proc. i zdobyła 37 mandatów. Z partii marginalnej przeniosła się do mainstreamu, przełamując duopol Fine Gael i Fianna Fáil, dwóch partii centroprawicowych, które od prawie stu lat jedynie zmieniały się u steru rządów. Sinn Féin mogłaby zdobyć jeszcze więcej mandatów, gdyby wystawiła więcej kandydatów – tyle że takiego sukcesu nie spodziewało się nawet jej szefostwo.

Rządząca partia Fine Gael poniosła bolesną porażkę – 35 mandatów i niecałe 21 proc. głosów to jeden z jej najgorszych wyników w historii. Tymczasem premier Leo Varadkar liczył na premię od wyborców za dbanie o irlandzkie interesy w czasie negocjacji brexitowych. Brexit jednak odszedł teraz na plan dalszy, a dla wyborców ważne okazały się dostępne mieszkania, obniżenie wieku emerytalnego, usprawnienie ochrony zdrowia.

Fianna Fáil ma 38 mandatów (przy ponad 22-procentowym poparciu). Żadna z trzech głównych partii nie ma zatem dość mandatów, by utworzyć rząd. Każda ma za to swoje własne nieprzekraczalne „czerwone linie" w rozmowach o ewentualnej koalicji. Rozmowy o rozmowach – czyli badanie koalicyjnej elastyczności – trwają, lecz stworzenie rządu będzie trudne. Najważniejsza zmiana na irlandzkiej scenie politycznej już jednak nastąpiła: Sinn Féin weszła do gry i nie pozwoli się z niej wypchnąć.

Z jednego korzenia

Żeby zrozumieć koalicyjne dylematy w Irlandii, trzeba cofnąć się o sto lat. W 1921 r. podpisano traktat angielsko-irlandzki, na mocy którego powstało Wolne Państwo Irlandzkie, składające

się z 26 hrabstw – był to kompromis, bo „wolne" państwo było brytyjskim dominium. Natomiast sześć północnych hrabstw (czyli obecna Irlandia Północna) pozostało i nadal jest częścią Zjednoczonego Królestwa. Traktat zakończył irlandzką wojnę o niepodległość, lecz zapoczątkował krwawą wojnę domową.

Stosunek do traktatu zdeterminował też irlandzką scenę polityczną. Fianna Fáil, Fine Gael i Sinn Féin wywodzą się z tego samego ruchu niepodległościowego, ale na ich obecną pozycję i stosunki wpłynęły właśnie dawne zmagania. Nawet Fianna Fáil i Fine Gael – o niemal identycznym profilu – są rywalami, nie sojusznikami i to dlatego ich oficjalna koalicja byłaby dzisiaj dość trudna. „Wojna domowa w latach 1922-23 pozostawiła głębokie blizny i realne podziały – wyjaśnia „Tygodnikowi" Brian Hanley, historyk i autor książki o „Troubles" [tak właśnie, mianem „Kłopotów", określa się konflikt w Irlandii Północnej – red.]. – Współczesny konflikt zrobił to samo, więc choć wszystkie partie mają podobne korzenie, to przekonania ich wyborców są w rzeczywistości inne".

Mają jednak coś, co ich może połączyć – wspólnego przeciwnika, czyli Sinn Féin. Koalicję z tą partią wykluczyły obydwa ugrupowania, przywołując jej związki z IRA.

„To prawda, że niektórzy zwolennicy Fianna Fáil mają głęboką awersję do Sinn Féin – przyznaje Hanley, ale jednocześnie podkreśla: – To jednak wymówka, by nie dopuścić jej do rządu. Sinn Féin jest częścią rządu w Irlandii Północnej, który jest akceptowany przez wszystkie władze na południu. Co więcej, przecież domagano się jego wznowienia".

Dla wyjaśnienia: na mocy tzw. porozumienia wielkopiątkowego, które w 1998 r. zakończyło przelew krwi w Irlandii Północnej, władzą w tym regionie zawsze muszą się dzielić dwie największe partie: republikańska (czyli od lat Sinn Féin) oraz unionistyczna.

Polityczny makeover

Wymówka czy nie, przeszłość ciągnie się za Sinn Féin – również dlatego, że wiele zbrodni z czasów „Troubles" pozostało nierozliczonych. Partia jednak pracuje nad nowoczesnym i demokratycznym wizerunkiem. Nastąpiła w niej też zmiana pokoleniowa. W 2018 r. Gerry-'ego Adamsa, który przewodniczył partii od lat 80., zastąpiła Mary Lou McDonald, młoda, wykształcona i ambitna. W Irlandii Północnej zaś miejsce byłego członka IRA Martina McGuinnessa zajęła w 2017 r. Michelle O'Neill, pochodząca co prawda z republikańskiej rodziny (jej ojciec był członkiem IRA, dwaj kuzyni mieli brać udział w akcjach zbrojnych), ale sama niemająca takiego bagażu. Obecnie jest wiceprzewodniczącą partii oraz wicepremier Irlandii Północnej. Można więc powiedzieć, że Sinn Féin po raz pierwszy kierują osoby, które nie były zaangażowane w zbrojne podziemie ani nie siedziały w więzieniu.

Mimo to pytania o związki Sinn Féin z IRA nadal padają. I wcale nie chodzi tu o przeszłość.

Wkrótce po wyborach przypomniano brytyjski raport z 2015 r., oparty na danych wywiadowczych z Irlandii Północnej oraz informacji policji, według którego tzw. Rada Wojskowa IRA nadal istnieje i kontroluje Sinn Féin. Szef policji w Irlandii potwierdził, że dotyczy to nie tylko Irlandii Północnej, ale również Republiki. Fianna Fáil i Fine Gael użyły teraz tej sprawy, by wyjaśnić, dlaczego rozmowy i wspólny rząd z Sinn Féin są niemożliwe. „Nie odpowiadam za IRA, nie jestem rzeczniczką IRA – odgryzła się Mary Lou McDonald. – Jestem przywódczynią Sinn Féin i mówię wam, że wojna się skończyła".

Brexit i inne demony

Co na to wyborcy? „Najważniejsze sprawy to problemy mieszkaniowe, ceny najmu, opieka zdrowotna i wysokie koszty życia dla młodych ludzi. Dla nich recesja jest bliższym wspomnieniem niż konflikt w Irlandii Północnej – twierdzi Brian Hanley. – Mamy kwitnącą gospodarkę, ale też 10 tys. bezdomnych, a ludzi nie stać na opłaty za czynsz i dojazdy do pracy".

Irlandzki kryzys mieszkaniowy jest największym wyzwaniem dla przyszłego rządu (jakikolwiek by ten rząd był). Irlandia poradziła sobie z globalnym załamaniem finansowym z 2008 r., ale miało to swoją cenę. Jednym z przejawów tych problemów była zmniejszająca się liczba mieszkań na wynajem i rosnące z tego powodu czynsze. Zarobki tymczasem niemal stoją w miejscu. Do tego doszły skutki budżetowe cięć sprzed lat. Focus Ireland, organizacja pozarządowa walcząca z bezdomnością, podaje szokujące dane: od 2015 r. liczba bezdomnych rodzin wzrosła o 300 proc., liczba bezdomnych dzieci o 400 proc. W Dublinie tylko w czerwcu 2019 r. dach nad głową straciło ponad 170 rodzin. Odpowiedzialnością wyborcy obarczają rządzącą od dziewięciu lat Fine Gael. Na ich gniewie zyskuje Sinn Féin m.in. z obietnicą obniżenia i zamrożenia czynszów oraz budowy w ciągu pięciu lat 100 tysięcy tanich mieszkań.

Referendum coraz bliżej

Na jej liście priorytetów od zawsze jest też inny cel – zjednoczenie Irlandii. Zgodnie z zapisami porozumienia wielkopiątkowego jest to możliwe po przeprowadzeniu w tej sprawie referendum na północy i południu wyspy. Kiedy? Gdy zjednoczenie będzie popierała większość mieszkańców. Na razie takiego klarownego poparcia w Irlandii Północnej nie ma, ale powoli się to zmienia. Już widać natomiast, że w obu częściach Irlandii brexit i jego konsekwencje zmieniły dynamikę dyskusji. Choćby dlatego, że Irlandia Północna głosowała za pozostaniem Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej. Gdyby zjednoczyła się z Republiką, to do Unii by powróciła. Wiele jest też obaw co do negatywnych skutków brexitu.

W sprawie zjednoczenia Irlandczycy są bardzo podzieleni, ale rośnie przekonanie, że takie referendum się odbędzie – jeśli nie teraz, to za jakiś czas. 57 proc. ankietowanych uważa, że powinno się ono odbyć w ciągu najbliższych pięciu lat. To samo postuluje Sinn Féin, jednak decyzja nie należy do niej – nawet gdyby doszła do władzy, ponieważ referendum na Północy musi rozpisać rząd brytyjski. Jak jednak napisał po wyborach tygodnik „The Economist": „irlandzkie zjednoczenie staje się bardziej prawdopodobne. Czas zacząć myśleć, co by to mogło oznaczać" .

Konsultacje w sprawie utworzenia nowego irlandzkiego rządu jeszcze potrwają. Mogą się też załamać i wtedy dojdzie do rozpisania kolejnych wyborów. Wówczas – kto wie – Sinn Féin może uzyskać jeszcze lepszy wynik. „Stary system partyjny został przełamany – twierdzi Brian Hanley. – Sinn Féin w którymś momencie w przyszłości dojdzie do władzy. Poszerzanie bazy wyborczej i rosnąca liczba członków zmuszą też partię do ostatecznego porzucenia pozostałości jej podziemnej, militarnej tradycji". ©℗

Tajemnica wołyńskiego jeziora

PAWEŁ PIENIĄŻEK ZE ŚWITAZI (OBWÓD WOŁYŃSKI) I KIJOWA

Ukraina coraz mocniej odczuwa zmiany klimatu. Przeciwdziałanie im jest trudne, bo brakuje podstawowych danych na temat środowiska naturalnego.

To miejsce cieszy się wśród Ukraińców rosnącą popularnością. Od kiedy w 2014 r. Rosja anektowała czarnomorski Krym, jezioro Świtaź zaczęło przyciągać coraz więcej turystów. Według niepewnych szacunków ostatnio każdego roku przyjeżdża ich tutaj sto tysięcy – w większości podczas wakacyjnego sezonu letniego. To głównie Ukraińcy, ale pojawiają się też goście z zagranicy.

Świtaź, najgłębsze jezioro na Ukrainie, leży w pobliżu granicy z Polską i Białorusią, na terenie Szackiego Parku Narodowego. Ma powierzchnię ok. 27 km kwadratowych (to trochę więcej niż polskie Wigry), jest wyjątkowo czyste i otoczone atrakcyjną przyrodą. Licząca trochę ponad półtora tysiąca mieszkańców wieś Świtaź korzysta z tego zainteresowania turystów – podobnie jak inne okoliczne miejscowości. Lokalne władze widzą ten potencjał, Świtaź staje się kurortem. Są tu zadbane plaże, do których prowadzą drewniane pomosty, ładnie przycięte trawniki, panuje porządek, a drogi są remontowane.

Jednak gdy kończy się lato, wieś zamiera. Ulice stają się puste, wiele sklepów pozostaje zamkniętych, na wietrze łopoczą banery „Pokoje do wynajęcia". Jedynie wesela organizowane w okolicznych restauracjach i pojedynczy przechodnie przypominają, że poza sezonem ktoś jeszcze mieszka w Świtazi.

Tutejsi mówią, że ostatnia jesień była szczególnie przygnębiająca – nie tylko ze względu na pochmurną pogodę. W 2019 r. w jeziorze zaczął się gwałtownie obniżać poziom wody i jesienią, mimo deszczy, wciąż był bardzo niski. Plaża znacznie się wydłużyła, przy brzegu pojawiły się wysepki. I choć wokół przyczyn tak gwałtownego ubytku wody trwa dyskusja – niektórzy sądzą, że winna może być kopalnia odkrywkowa na sąsiedniej Białorusi lub prowadzone w okolicy prace melioracyjne – to nie ma wątpliwości, że podobny problem dotyka wielu jezior na całej Ukrainie.

Nawet gdyby w tym przypadku w grę wchodził splot kilku czynników, Świtaź jest przykładem tego, że Ukrainy nie ominęły zmiany klimatu – i że już teraz stają się zagrożeniem dla jej gospodarki i mieszkańców.

Łowienie na cienkim lodzie

Z plaży ledwie widać krańce Świtazi.

Jezioro jest głównym źródłem dochodów dla okolicznych mieszkańców. Jedni wynajmują pokoje, inni zajmują się wędkarstwem i rybołówstwem, właściciele sklepów mogą cieszyć się lepszymi utargami. – Wszyscy żyją z jeziora – mówi 40-letni Jurij, który wynajmuje pokoje w swoim domu.

Gdy go spotkałem, niebo było pochmurne i szare, lekko wiało. Jurij szedł po pustej plaży. Miał na sobie zimową czapkę, kurtkę puchową, dres i gumiaki. Mówi, że urodził się tutaj, w Świtazi. I że

PAWEŁ PIENIĄŻEK

nie przypomina sobie, by kiedykolwiek było tak mało wody w jeziorze. Twierdzi, że w ciągu kilku miesięcy plaża wydłużyła się od 30 do 50 metrów, a w pobliskiej wiosce Hriada nawet o 90 metrów.

Obawy Jurija podziela Wasyl Matejczyk. Naukowiec, od 34 lat pracuje w Szackim Parku Narodowym. On także twierdzi, że ze Świtazią nigdy nie było tak źle jak w 2019 r.; w październiku poziom wody obniżył się o niemal 53 centymetry.

Nie był to pierwszy raz, gdy w Świtazi obniżył się poziom wody. Kiedy pięć lat temu wiele państw Europy dotknęła susza, na Ukrainie wystąpiły jednocześnie trzy jej rodzaje: susza atmosferyczna, rolnicza i hydrologiczna. Wówczas w rzekach poziom wód spadł do historycznie niskich stanów, małe rzeki powysychały, znacząco obniżyły się wody gruntowe, a studnie były puste. – Od 2015 r. nie ma porządnych opadów ani zim – mówi Matejczyk. – Teraz zima trwa u nas od połowy stycznia do połowy lutego.

Wasyl Matejczyk jest amatorem wędkarstwa. Szczególnie zimą, gdy trzeba kuć przerębel i cierpliwie czekać na mrozie, aż coś złapie się na haczyk. Patrzy na mnie, pyta o wiek i stwierdza, że na pewno nie pamiętam prawdziwych zim. – Chyba w 1986 r. było aż 80 centymetrów lodu, a teraz nie można nawet porządnie zmarznąć. Co to za łowienie ryb? – pyta retorycznie. – Obecnie jak lód ma 25 centymetrów, to już jest bardzo dobrze. Ale zwykle ma kilkanaście centymetrów i jest nietrwały.

Mimo to, gdy jezioro choć trochę zamarznie, Matejczyk wchodzi na nie i zarzuca wędkę.

Pogodowe anomalie

Zmiany w Szackim Parku Narodowym Wasyl Matejczyk wiąże ze zmianami klimatu. Z powodu średniego wzrostu temperatury więcej wody wyparowuje, niż spada podczas opadów deszczu i śniegu. Matejczyk podkreśla, że w całym obwodzie wołyńskim obniża się poziom wód w zbiornikach i wysychają rzeki.

Podobnie uważa Tetiana Adamenko, kierowniczka departamentu agrometeorologii w Ukraińskim Centrum Hydrometeorologii w Kijowie. Przyznaje, że z danych, które zbiera jej instytucja, jasno wynika, iż klimat na Ukrainie się ociepla. O ile średnia roczna temperatura w kraju z lat 1961-90 wynosiła 7,8 stopni Celsjusza, o tyle w 2018 r. było to 9,5 stopnia, a w 2019 r. już 10,5 stopnia Celsjusza – najwięcej, odkąd prowadzi się pomiary.

Co chwila notowane są kolejne rekordy pogodowe. Zgodnie z danymi Centralnego Obserwatorium Geofizycznego, w Kijowie w 2019 r. dzień 18 grudnia był najcieplejszy od początku prowadzenia pomiarów (czyli od 139 lat). Maksymalna temperatura sięgnęła wówczas 15,8 stopni, czyli o 3,7 stopni więcej od ostatniego rekordu sprzed 30 lat.

– Od 1989 r. na Ukrainie trwa niemal nieustanny okres ocieplenia – twierdzi Tetiana Adamenko. Choć więc wielkość opadów na szczęście nie zmniejszyła się, to wobec ocieplenia jest ona teraz niewystarczająca.

Zmienia się też charakter opadów. Coraz częściej deszcze mają postać gwałtownych ulew. Adamenko podaje przykład obwodu zaporoskiego w 2018 r.: w pobliżu stacji meteorologicznej Hulajpole deszcz nie padał przez trzy miesiące, zniszczone zostały niemal wszystkie uprawy. Wreszcie jednego dnia spadło tyle deszczu, ile zwykle spada w ciągu czterech miesięcy. Takie opady są szkodliwe, bo woda nie wchłania się w glebę, lecz spływa szybko po powierzchni, niszczy uprawy, prowadzi do erozji gleby i strat materialnych.

Wizja ukraińskiej pustyni

Jeśli przy tak dużym podwyższeniu temperatury – jak zakładały niektóre prognozy – zmniejszyłaby się liczba opadów, Ukraina zmagałaby się z chronicznymi suszami. Zresztą już teraz są one poważnym problemem. Od 1991 r. susze regularnie dotykają kraj. O ile do 2000 r. temperatura rosła zimą, to od tego momentu podwyższa się przede wszystkim latem. ↦

– To najbardziej niesprzyjający przejaw zmiany klimatu, bo zagraża krajom takim jak nasz częstszym występowaniem susz – mówi Tetiana Adamenko.

Problemy będą się pogłębiać wraz z dalszym wzrostem temperatury. Najbardziej narażona na wyschnięcie czy nawet pustynnienie jest południowa część kraju. Obecnie w obwodzie chersońskim – sąsiaduje on z Półwyspem Krymskim i jest owocowo-warzywnym „zagłębiem" kraju – susze występują przez siedem lat w ciągu dekady. Jeśli nic się nie zmieni (tj. temperatura będzie dalej rosła, a zarządzanie zasobami wodnymi będzie pozostawiało wiele do życzenia), susze staną się tam zjawiskiem corocznym.

Są problemem także w centrum kraju. Np. w żaszkiwskim rejonie (powiecie) obwodu czerkaskiego od kwietnia do października 2019 r. odnotowano tylko jedną piątą opadów w porównaniu z minionymi latami. – Doszło tam do największej suszy od 30 lat – mówi Adamenko.

Problemy pojawiają się nawet w zachodniej części kraju, co wcześniej było niespotykane.

Ile traci się na suszy?

W rolników najbardziej uderzyły susze w latach 2003 i 2007. Jak duże były wtedy straty? Nie ma oficjalnych danych. Zresztą brak wiążących danych to w ogóle poważny problem na Ukrainie. Statystyki są przestarzałe, monitoringi niedokładne, a procesy nie są rejestrowane. Nie wiadomo, ile wody zużywają przemysł, rolnictwo i użytkownicy indywidulani, ani jak bardzo ją zanieczyszczają.

Mychajło Jaciuk z Narodowej Akademii Nauk Rolniczych Ukrainy dodaje, że nie jest znana nawet rzeczywista liczba rzek. – Naukowcy policzyli, że mamy 63 tys. rzek, ale gdy patrzymy na zdjęcia z kosmosu, to widzimy, że niektórych po prostu nie ma – przyznaje Jaciuk. – Powinniśmy ustalić, czy te rzeki wciąż istnieją. A jeśli w ciekach zanikł przepływ powierzchniowy, został zaś tylko podpowierzchniowy, to co się wydarzyło, czy wody podziemne zasilające rzekę lub jej źródło już się wyczerpały.

Tetiana Adamenko na własną rękę próbowała kiedyś policzyć, jakie straty finansowe mogła przynieść rolnictwu susza z 2007 r. Zaznacza, że były to prymitywne szacunki, ale rządowe instytucje nie interesowały się, by przeprowadzić je dokładniej. – Wyszły mi ogromne pieniądze. Aż sama się przestraszyłam... – śmieje się meteorolożka.

Choć w gruncie rzeczy nie jest jej do śmiechu: z jej szacunku wynikło, że susza z 2007 r. mogła spowodować w sektorze rolniczym straty sięgające trzech miliardów euro.

Woda blisko

W 2018 r. organizacja Centrum Inicjatyw Ekologicznych Ekodija opublikowała raport pt. „Woda blisko". Przedstawia on możliwe skutki podniesienia się poziomu mórz na skutek ocieplenia klimatu do 2100 r.: zgodnie z prognozami może wzrosnąć nawet o 82 centymetry.

Podobnie jak Tetiana Adamenko, także Jewhenija Zasiadko – koordynatorka projektu do spraw zmian klimatu w Ekodiji – podkreśla, że raport może nie być dokładny, bo dostępne dane są szczątkowe. Jednak jego celem było zwrócenie uwagi na zagrożenie, a także na brak monitoringu i prognozowania. – Władze nie podejmują żadnych działań profilaktycznych ani nie próbują zminimalizować ryzyka podtopienia, a tym trzeba zajmować się już teraz, bo sytuacja będzie się tylko pogarszać – mówi Zasiadko.

Jeśli szacunki z tego raportu miałyby się sprawdzić, jest się czego obawiać. Zatopione może zostać 650 tys. hektarów ukraińskiej ziemi. To znaczy, że całkowicie zatopionych zostanie sześć miast i osiedli typu miejskiego, a także 62 wsie. Z kolei 34 miasta (jak Odessa, Chersoń, Mikołajów, Mariupol, Berdiańsk, Melitopol i Kercz) mogą zostać podtopione. Łącznie 590 miejscowości jest zagrożonych przez częściowe lub całkowite znalezienie się pod wodą. To by oznaczało, że 75 tys. osób będzie musiało zostać przesiedlonych.

Południowa Ukraina jest więc zagrożona zatopieniem części terenów przybrzeżnych, a jednocześnie procesem pustynnienia. Może to prowadzić do kolejnych migracji wewnątrz kraju i wywołać braki w dostawach żywności.

Modliszki na Wołyniu

Ostatnio w jeziorze Świtaź przybyło wody, choć pod koniec stycznia jej poziom był wciąż nieznacznie poniżej normy.

Co spowodowało wcześniejsze – i tak gwałtowne – obniżenie się poziomu jeziora? Pracownicy Szackiego Parku Narodowego wraz z badaczami i przedstawicielami instytucji państwowych próbują wiążąco ustalić przyczyny. Na razie nie doszli do konkluzji. Bez wątpienia wpływ ma zmiana klimatu, ale nie jest jasne, jaką rolę odegrała także kopalnia odkrywkowa tuż za białoruską granicą i prace melioracyjne w okolicy jeziora.

Wasyl Matejczyk podkreśla, że – porównując sytuację z tą sprzed kilku dekad – zmiany klimatu widać gołym okiem. W latach 60. XX w. nikt nie wpadłby na to, że w Szackim Parku Narodowym pojawią się modliszki, które są gatunkiem południowym, nietypowym dla Wołynia. Dawniej w okolicy uprawiano ziemniaki, len czy żyto. Obecnie dojrzewają tu nawet brzoskwinie i arbuzy, czyli uprawy ciepłolubne, typowe raczej dla Chersonia.

W każdym razie mieszkańcy Świtazi uważnie przyglądają się poziomowi wody w jeziorze. Od tego zależy los ich miejscowości.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Tekst powstał przy wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 339/19 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego, o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanych nieruchomości położonych:
– w Wilkowyi, o pow. 1,40,59 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 409/1, arkusz mapy 1;
– w Łuszczanowie, o pow. 0,58,73 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 646/2, arkusz mapy 2;
dla których nie była prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

TYGODNIK POWSZECHNY

1%

W marcu 2020 roku świętujemy 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

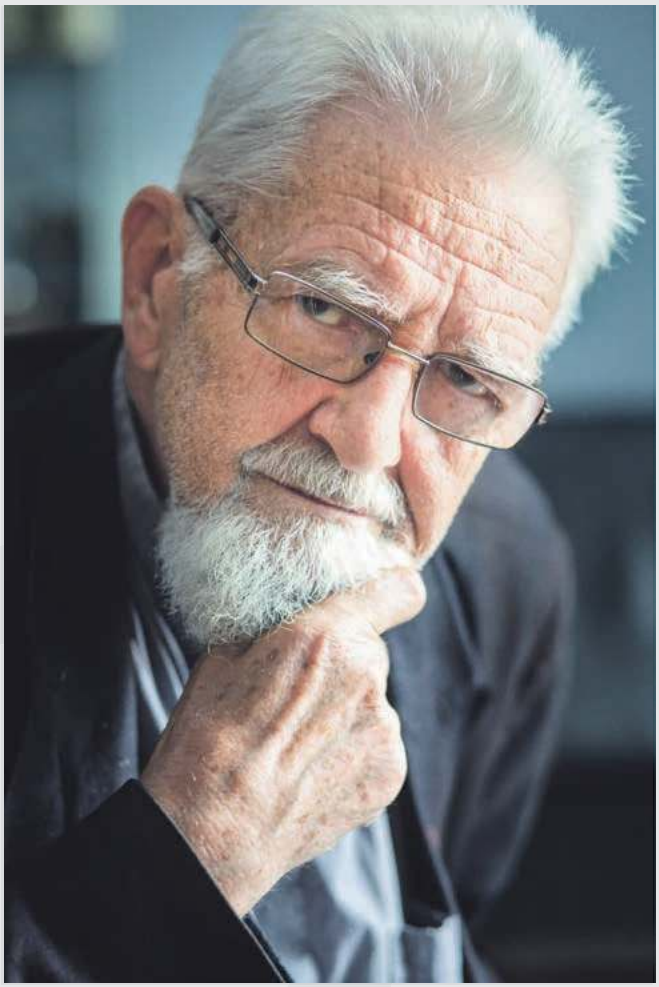

FOT. GRAŻYNA MAKARA

Przyjaciele!

Bez Was i Waszego wsparcia nie moglibyśmy robić takiego pisma, jakie byśmy chcieli Wam dać i jakiego oczekujecie.

Szczególnie w tym roku, naszego 75-lecia, prosimy o przekazanie nam 1% w rozliczeniu rocznym, a także o darowizny – aby „Tygodnik” mógł trwać kolejne 75 lat, tak jak do tej pory, niezależnie od okoliczności.

ks. Adam Boniecki

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

a w rubryce Cel szczegółowy 1%: TP75

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO 1%

OGŁOSZENIE OPP

HISTORIA

TRZY LATA NADZIEI

80 lat temu, wiosną 1940 r., polscy oficerowie więzieni w Związku Sowieckim przestają odpisywać na listy. Choć bliscy wierzą, że wrócą, narasta niepokój. Polski rząd próbuje ustalić ich losy.

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

We wrześniu 1939 r. Armia Czerwona bierze do niewoli ćwierć miliona żołnierzy Wojska Polskiego. Większość podoficerów i szeregowców przekazuje później III Rzeszy lub zwalnia – to ostatnie dotyczy tych, którzy pochodzą z ziem wschodnich II Rzeczypospolitej i teraz, po ich aneksji, mają być przymusowo obywatelami Związku Sowieckiego. Natomiast los kilkunastu tysięcy oficerów jest nieznany.

Zaginięcie tak dużej grupy – są w niej żołnierze zawodowi, ale większość to oficerowie rezerwy, w cywilu inżynierowie, prawnicy, intelektualiści itd., słowem: elita kraju – od początku niepokoi władze RP (w Paryżu, a od 1940 r. w Londynie). Rząd gen. Sikorskiego odbywa na ten temat wiele narad. Bezskutecznie interweniuje u Brytyjczyków, np. 19 czerwca 1940 r. w memorandum do szefa MSZ Edwarda Wooda (lorda Halifaksa). Wreszcie, dzięki informacjom od podziemia w okupowanej Polsce, rząd dowiaduje się, że oficerowie trafili do trzech tzw. obozów specjalnych NKWD: w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku.

Urwana korespondencja

Formalnie oficerowie nie są jeńcami – gdyż w 1939 r. Moskwa nie wypowiedziała Polsce wojny – lecz władze sowieckie tak klasyfikują ich status. Wbrew międzynarodowemu prawu zostają przekazani policji politycznej (NKWD) i są izolowani w złych warunkach. Wolno im utrzymywać kontakt listowny z rodzinami. Choć korespondencja jest kontrolowana przez niemiecką i sowiecką cenzurę, to jest dowodem, że ludzie ci żyją.

Jednak gdy w marcu i kwietniu 1940 r. oficerowie przestają odpisywać na listy bliskich, niepokój o ich los zaczyna narastać. Tymczasem w połowie 1941 r. – Berlin i Moskwa są jeszcze wtedy sojusznikami – z okupowanej Polski trafia do Londynu raport na temat obozów, przygotowany w oparciu o informacje uzyskane od osób, które w tym celu wysłano potajemnie do Związku Sowieckiego. Potwierdza on, że obozy w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku zamknięto. Jego autorom nie udaje się ustalić, co stało się z jeńcami. Stwierdzili tylko, że niewielką ich grupę umieszczono w nowym obozie – w Griazowcu.

Istotnie, wiosną 1940 r. do Griazowca trafiło 395 oficerów. Przyczyny, dla których wybrano właśnie ich, do dziś nie są w pełni wyjaśnione. Z niektórymi Sowieci wiążą nadzieje na współpracę. Próbują ich pozyskać dla NKWD lub „polskiej" jednostki w strukturze Armii Czerwonej. W nielicznych przypadkach te próby są skuteczne, dotyczy to zwłaszcza sympatyków komunizmu. Później okaże się, że przeniesienie do Griazowca ocaliło życie tym, którzy zostali tam internowani (z czasem Sowieci przyjmą bowiem wobec oficerów taką klasyfikację prawną).

Sojusznik naszych sojuszników

Możliwość wywarcia większej presji na Stalina w sprawie losu oficerów wzrasta po ataku Niemiec na Związek Sowiecki 22 czerwca 1941 r.

Już 5 lipca w rozmowie z sowieckim ambasadorem w Londynie, Iwanem Majskim, premier Sikorski domaga się uwolnienia z obozów wszystkich polskich żołnierzy. Zawarty wkrótce potem, 30 lipca, układ polsko-sowiecki przywraca stosunki dyplomatyczne między oboma państwami. Sowieci zostają aliantem Polski – jak się wtedy mówi, „sojusznikiem naszych sojuszników".

Władze RP tworzą Armię Polską na Wschodzie, więc także z tego powodu chcą poznać los zaginionej kadry oficerskiej. Po uwolnieniu z Łubianki dowódca tej formacji, gen. Władysław Anders, w towarzystwie płk. Leopolda Okulickiego i gen. Zygmunta Szyszki-Bohusza, podejmuje wiele rozmów na temat jeńców z sowieckimi władzami wojskowymi (Anders i Okulicki przeżyli, bo siedzieli w moskiewskim więzieniu, a nie w obozach; z kolei Szyszko-Bohusz, wcześniej dowódca brygady podhalańskiej w bitwie o Narwik, został mianowany przez Sikorskiego szefem Polskiej Misji Wojskowej w Moskwie).

Anders jest zaskoczony małą liczbą oficerów, którzy zgłaszają się do tworzonej przez niego armii. Ale Sowieci uspokajają go, że poszukiwani zostaną wkrótce odnalezieni. Później mówią mu, że wszyscy oficerowie trafili do Griazowca. Anders jedzie tam w sierpniu 1941 r. Niektórzy spośród kilkuset wojskowych, których zastaje, mają przeczucie, że ich kolegów mógł spotkać tragiczny los. Oficerowie z Griazowca w większości wstępują do ↦

Fragment ekspozycji w Muzeum Katyńskim, Cytadela, Warszawa

LASKI COLLECTION / EAST NEWS

↦ armii Andersa. Generał rozkazuje im, aby sporządzili listy z nazwiskami zaginionych kolegów, których pamiętają.

Misja Czapskiego

Anders tworzy specjalne biuro, które od listopada 1941 r. zajmuje się poszukiwaniem zaginionych. Jego kierownikiem zostaje rotmistrz Józef Czapski, który ma już na tym polu doświadczenie: po objęciu władzy przez bolszewików w 1917 r. na polecenie władz polskich szukał w Rosji zaginionych polskich żołnierzy. Czapski był wcześniej więźniem Starobielska, ale Sowieci zwolnili go z tego obozu po interwencji ambasady Niemiec w Moskwie (doszło do niej zapewne pod presją rodzin arystokratycznych, z którymi powiązani byli Czapscy) i wysłali do Griazowca.

W ramach swej misji poszukiwawczej Czapski, jako pełnomocnik do spraw byłych jeńców wojennych w Związku Sowieckim, gromadzi informacje o zaginionych. Prowadzi rozmowy w Czkałowie – znajduje się tam szefostwo GUŁagu, zarządu obozów niewolniczej pracy – i w Moskwie. Po latach przyzna, że poszukiwania kolegów stały się jego obsesją.

Na polecenie Andersa, 3 lutego 1942 r. Czapski przekazuje władzom sowieckim opracowane przez siebie memorandum dotyczące polskich jeńców, którzy nie wrócili z Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska. Otrzymuje wymijającą odpowiedź od generała NKWD Leonida Rajchmana (od 1943 r. będzie on kierować akcją fałszowania dowodów w sprawie Katynia, tak aby zrzucić winę na Niemców). Rajchman sugeruje, by Czapski skontaktował się z zastępcą ludowego komisarza (tj. ministra) spraw zagranicznych Andriejem Wyszynskim. Ten jednak, jak zauważa Czapski, rozmawiał już o sprawie z ambasadorem RP Stanisławem Kotem i zawsze twierdził, że nic nie wie. Na tym starania Czapskiego praktycznie się kończą.

„Uciekli do Mandżurii"

Zabiegi dyplomatyczne prowadzi też ambasador Kot; jego zadaniem jest zdobycie informacji o wszystkich więzionych w Związku Sowieckim Polakach (także cywilach) i ich uwolnienie. Jesienią 1941 r. Kot odbywa rozmowy z ludowym komisarzem spraw zagranicznych Wiaczesławem Mołotowem i Wyszynskim, lecz nie dowiaduje się niczego konkretnego. Kierowane do władz sowieckich noty dyplomatyczne (wysłano ich kilkadziesiąt) również nie pomagają. Ambasador słyszy, że oficerów już uwolniono.

Podczas spotkania z Władysławem Andersem brytyjski premier Winston Churchill sugeruje polskiemu generałowi, **że w sprawie zaginionych oficerów lepiej jest milczeć** i nie drażnić Sowietów.

ULLSTEIN BILD / BEW

Ks. Stanisław Jasiński (pierwszy z lewej), przedstawiciel arcybiskupa krakowskiego kard. Adama Sapiehy podczas ekshumacji w Katyniu, kwiecień 1943 r.

Taką samą argumentacją posługuje się Józef Stalin w rozmowie z Kotem 14 listopada 1941 r. Dyktator odgrywa wtedy teatralną scenę: w obecności ambasadora sięga po słuchawkę i – jak twierdzi – dzwoni do NKWD z pytaniem, czy wszyscy Polacy zostali zwolnieni. Kot ma wątpliwości, czy Stalin z kimkolwiek rozmawiał przez telefon.

Ambasada RP, która w październiku 1941 r. przenosi się do Kujbyszewa – z powodu ofensywy Wehrmachtu ulokowano tam władze sowieckie i korpus dyplomatyczny – sporządza listę zaginionych na podstawie relacji jeńców z Griazowca i korespondencji od rodzin zaginionych (jest to możliwe, gdyż wiele rodzin wegetuje na Syberii czy w sowieckiej Azji Centralnej – zostali tam deportowani podczas kilku fal wywózek obywateli polskich).

3 grudnia 1941 r. Sikorski wręcza Stalinowi listę blisko 4 tys. nazwisk. Spotkanie ma miejsce w Moskwie – dwa dni później kontrofensywa Armii Czerwonej odeprze Wehrmacht od sowieckiej stolicy. W rozmowie, w której uczestniczą Anders i Kot, premier podkreśla sprawę uwolnienia oficerów. Dyktator zapewnia, że wszyscy Polacy zostali już na pewno zwolnieni, a zaginieni oficerowie uciekli, np. do Mandżurii (ten region na północnym wschodzie Chin jest wówczas marionetkowym państwem, zależnym w pełni od Japonii).

To zupełnie niewiarygodne stwierdzenie Stalina sprawia, że niepokój jest coraz większy.

Dobra rada Churchilla

18 marca 1942 r. Anders i Okulicki spotykają się na Kremlu ze Stalinem i Mołotowem. Przekazują listy zaginionych, uzupełnione o ok. 800 nazwisk. Gdy Anders dopytuje o wywiezionych z Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska, Stalin odpowiada, że wydał rozkazy, by ich zwolnić, i nie wie, gdzie są teraz. Sugeruje, że oficerowie mogli uciec z obozów w czasie chaosu, który towarzyszył zajmowaniu tych terenów przez Niemców.

Staje się jasne, że to gra na zwłokę. Także kolejne wysiłki strony polskiej rozbijają się o mur milczenia sowieckiego aparatu władzy. Wiosną 1942 r. w Kujbyszewie Kot stara się jeszcze nakłonić ambasadorów Wielkiej Brytanii i USA, Archibalda C. Kerra i admirała Williama H. Standleya, by pomogli w sprawie zaginionych; według Kota pewne wysiłki podejmuje tylko ten drugi.

W maju 1942 r. ambasada RP składa w sowieckim komisariacie spraw zagranicznych memorandum dotyczące obywateli polskich przebywających w Związku Sowieckim. Wspomina w nim o zaginionych wojskowych. Sowieci odpowiadają 10 lipca, powtarzając swoje *ceterum censeo*, że wszyscy oficerowie zostali zwolnieni na mocy dekretu z 19 sierpnia 1941 r. o amnestii dla obywateli polskich (użyte tu słowo „amnestia" jest znamiennym semantycznym kłamstwem: sugeruje, że ludzie ci byli izolowani ze względu na jakieś winy).

W sierpniu 1942 r. Anders spotyka się w Moskwie z Winstonem Churchillem. Brytyjski premier mówi mu, że polskich oficerów nie odesłano prawdopodobnie dlatego, że Rosjanie nie chcą ich wypuścić, obawiając się, iż będą rozpowszechniali „kłamstwa" o sposobie ich traktowania w obozach (trudno sądzić, że tak

wytrawny polityk sam wierzył w to, co wtedy mówił). Churchill radzi też Andersowi, by nie sprzeciwiał się Moskwie, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. Jest to zawoalowana sugestia, by milczeć w sprawie zaginionych.

W tej sytuacji polska ambasada i dowództwo armii Andersa prowadzą własne dochodzenia. Wobec braku informacji krążą domysły: że oficerowie zostali zagłodzeni, wysłani na Kołymę czy na sowieckie wyspy na Oceanie Arktycznym, albo że na Morzu Barentsa zatonęły barki, którymi płynęli... Z zapisków ówczesnego ambasadora w Londynie Edwarda Raczyńskiego wynika, że władze polskie przestają już wierzyć w możliwość odnalezienia zaginionych.

Długi ciąg zbrodni

Trwającą trzy lata niepewność kończy wiadomość, ogłoszona przez Niemców 12 kwietnia 1943 r., że w lesie w miejscowości Katyń, koło okupowanego przez nich Smoleńska, odkryli masowe groby kilku tysięcy polskich oficerów (tych więzionych wcześniej w Kozielsku). W kolejnych komunikatach podawane są listy nazwisk – wiele ciał zidentyfikowano na podstawie listów i notatek, z datami nie późniejszymi niż marzec i kwiecień 1940 r.

Rząd polski i opinia publiczna w okupowanej Polsce są wstrząśnięte. Rozwiewają się ostatnie nadzieje. Bo choć losy jeńców z Ostaszkowa i Starobielska nie są wówczas znane, już wtedy powszechne jest przypuszczenie, że może być więcej „podobnych Katyniów" [o reakcjach w okupowanej Polsce na zbrodnię katyńską patrz „TP" nr 17-18 z 2013 r. – red.].

Reagując na to, Moskwa stwierdza, że jeńców zabili Niemcy – po tym, jak w 1941 r. zajęli Kozielsk. Ponieważ strona polska żąda niezależnego śledztwa, Stalin korzysta z okazji i już 25 kwietnia 1943 r. zrywa stosunki dyplomatyczne z rządem RP. Wkrótce zacznie otwarcie już kompletować ekipę, która wysunie później uzurpatorskie roszczenie do bycia polskim rządem.

Dopiero w 1990 r. Michaił Gorbaczow przyzna, że sprawcą tego ludobójstwa były władze sowieckie. Decyzję podjęło 5 marca 1940 r. Biuro Polityczne (*de facto* Stalin i Beria, szef NKWD), a dotyczyła ona wymordowania nie tylko prawie 15 tys. Polaków znajdujących się w obozach dla jeńców (prócz wojskowych, byli to także policjanci), ale także 11 tys. więźniów przetrzymywanych w więzieniach w tzw. zachodnich obwodach Białorusi i Ukrainy. Oficerów zamordowano w Charkowie, Katyniu i Twerze (wtedy Kalininie).

Po latach ustalono, że ofiarami tej zbrodni (nazwanej zbiorowo katyńską) padło w sumie prawie 22 tys. obywateli polskich, w tym oficerowie, policjanci oraz ponad 7 tys. więźniów wymienionych w rozkazie z 5 marca 1940 r. Do dziś nie wiadomo dokładnie, gdzie zamordowano i pochowano tych ostatnich – w grę mogą wchodzić m.in. takie miejsca jak Bykownia pod Kijowem czy Kuropaty koło Mińska.

Zbrodnia katyńska to tragiczny wyraz polonofobii Stalina – i dalszy ciąg represji wobec Polaków. Wcześniej, w ramach zarządzonej w 1937 r. „operacji polskiej", NKWD zamordowało 110 tys. osób. Z kolei w latach 1939-41 kilkaset tysięcy obywateli polskich – z okupowanych ziem wschodnich II RP – padło ofiarą deportacji, aresztowań i także masowych mordów.

W pułapce

W kwestii zaginionych oficerów polskie władze były w matni. Najpierw sojusz Hitlera ze Stalinem szachował Zachód, co paraliżowało także interwencje w sprawie jeńców na Wschodzie. Potem, po czerwcu 1941 r., odkrycie prawdy mogło zachwiać antyniemiecką koalicją.

Polacy nie mieli dość sił, by wydobyć się z tej politycznej pułapki, aby – przez silniejsze zabiegi dyplomatyczne – żądać wyjaśnień od Moskwy (wpisowe do elitarnego kręgu mocarstw wynosiło wszak milion żołnierzy, jak ujął to Churchill). Pole manewru było ograniczone i wymagało kompromisów. Sowieci o tym wiedzieli i stale zwodzili Polaków w kwestii zaginionych. Rząd RP nie mógł liczyć na zachodnich sojuszników, którzy na ołtarzu walki z Niemcami gotowi byli poświęcić – jak się później okazało – nie tylko prawdę o losie zaginionych oficerów, lecz w ogóle przyszłość Polski. Sojusz ze Stalinem był dla nich priorytetem, zwłaszcza po jego triumfie pod Stalingradem w lutym 1943 r.

W tej fatalnej konfiguracji władze RP były zdane na własne siły. Z dzisiejszej perspektywy możemy tylko powiedzieć, że zrobiły wszystko, co mogły.

© BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny
Autorski podkast „Tygodnika Powszechnego"
weź, słuchaj!
powszech.net/podkast
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BURZLIWE ŻYCIE GWIAZDY

Betelgeza – jedna z najjaśniejszych gwiazd na nocnym niebie – żyła szybko i umrze młodo, przechodząc w spektakularną fazę supernowej. Ale jej ostatnie chwile być może jeszcze wcale nie nadeszły.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Dla części astronomów ostatnie tygodnie były jak czuwanie na intensywnej terapii przy pacjencie, który zapadł na tajemniczą chorobę. Chory gasł w oczach. Dosłownie, bo zamiast tętna, ciśnienia czy EKG kluczowym wskaźnikiem była jego jasność. Pacjentowi nie można było mimo najlepszych chęci pomóc, choćby dlatego, że znajdował się 700 lat świetlnych od nas. Brutalna prawda jest taka, że wielu czuwających wcale nie życzyło mu wyzdrowienia. Liczyli na wyjątkowo spektakularny koniec.

Pacjent to Betelgeza. Czerwony nadolbrzym z gwiazdozbioru Oriona. Od października 2019 do lutego 2020 r. gwiazda osłabła dramatycznie, tracąc aż jedną czwartą jasności i spadając z 9. na 21. miejsce w rankingu najjaśniejszych gwiazd na nocnym niebie. Betelgeza jest humorzasta, astronomowie są przyzwyczajeni do tego, że jej jasność waha się, ale nigdy dotąd, w ciągu stulecia precyzyjnych pomiarów, nie zmieniła się tak bardzo. A to niepokojący objaw.

Wiadomo, że Betelgeza zbliża się do końca życia. Bardzo burzliwego zresztą. Za młodu była gorącą, błękitnobiałą gwiazdą. Żyła szybko i jest jej pisane umrzeć młodo. Gwiazdy jej typu umierają w wieku 7–8 milionów lat, podczas gdy kilkunastokrotnie mniej masywne gwiazdy podobne naszemu Słońcu w równym tempie produkują energię przez kilka miliardów lat. Betelgeza ma już 8–8,5 miliona lat i około 40 tysiącleci temu przeszła ogromną przemianę. Rozdęła się do potężnych rozmiarów (dziś, gdyby znalazła się w centrum Układu Słonecznego, jej atmosfera sięgałaby poza orbitę Jowisza), a jej powierzchnia ochłodziła się i zmieniła barwę na czerwoną. To świadczy, że koniec jest bliski. Może jutro, może za sto tysięcy lat, zmieni się w supernową. Jej gwałtowne blaknięcie odebrano jako znak, że proces mógł się właśnie zacząć.

W fuzyjnym piecu

Żeby wyjaśnić, czym właściwie jest supernowa, musimy się cofnąć do samego początku. Do narodzin gwiazd.

Każda z nich to wielka kula gazu – głównie wodoru. Tak masywna, że zapada się w sobie pod wpływem własnej grawitacji. Gaz jest ściskany z niewyobrażalną siłą. W sercu gwiazdy jądra wodoru zaczynają zderzać się ze sobą i spajać, tworząc jądra helu. Fuzja uwalnia ogromną energię, bo jądro powstające w jej wyniku nie ma masy równej masom elementów składowych. Reszta zmienia się w energię zgodnie z równaniem $E = mc^2$. W jądrze naszego Słońca co sekundę 700 mln ton wodoru zmienia się w 695 mln ton helu. Brakujące 5 milionów ton zmienia się w energię. Nawet ta jej znikoma część, która dociera do Ziemi, wystarczy do podtrzymania istnienia całej biosfery.

Energia fuzji podtrzymuje przy życiu także samą gwiazdę. Odpycha od jądra jej zewnętrzne warstwy, ściągane w dół przez ciążenie. Grawitacja chce zgnieść gwiazdę. Energia fuzyjnej reakcji – rozdmuchać ją w kosmiczną przestrzeń. Obie siły, równoważąc się, utrzymują gwiazdę w stabilnej konfiguracji. Przynajmniej dopóki ta stabilnie produkuje energię.

A tempo, z jakim pracuje fuzyjny piec, jest zależne od masy gwiazdy. Gwiazda dwa razy masywniejsza od Słońca przetwarza wodór dziesięciokrotnie szybciej i jest dziesięciokrotnie jaśniejsza. Gwiazda o 20 masach Słońca spala swoje paliwo 36 tys. razy szybciej. Dlatego Słońce pożyje miliardy lat. Betelgeza – kilka milionów.

Ostatecznie w jądrze gwiazdy zaczyna brakować wodoru, stopniowo wypieranego przez hel. Poddanie cięższych jąder helu procesowi fuzji wymaga wyższych temperatur i ciśnienia. W gwiazdach o połowę mniejszych od Słońca takie warunki nigdy nie zachodzą. Ale w masywniejszych z wiekiem rośnie masa jądra, co zwiększa ciśnienie. W końcu hel zaczyna reagować. Fuzja jego jąder produkuje jeszcze więcej energii niż fuzja wodoru, więc gwiazda staje się jaśniejsza. Wypada jednocześnie z grawitacyjnej równowagi: jej masa nie wystarcza już do utrzymania zewnętrznych powłok blisko jądra, te rozdymają się więc do gigantycznych

NASA, ESA, J. HESTER, A. LOLL (ASU)

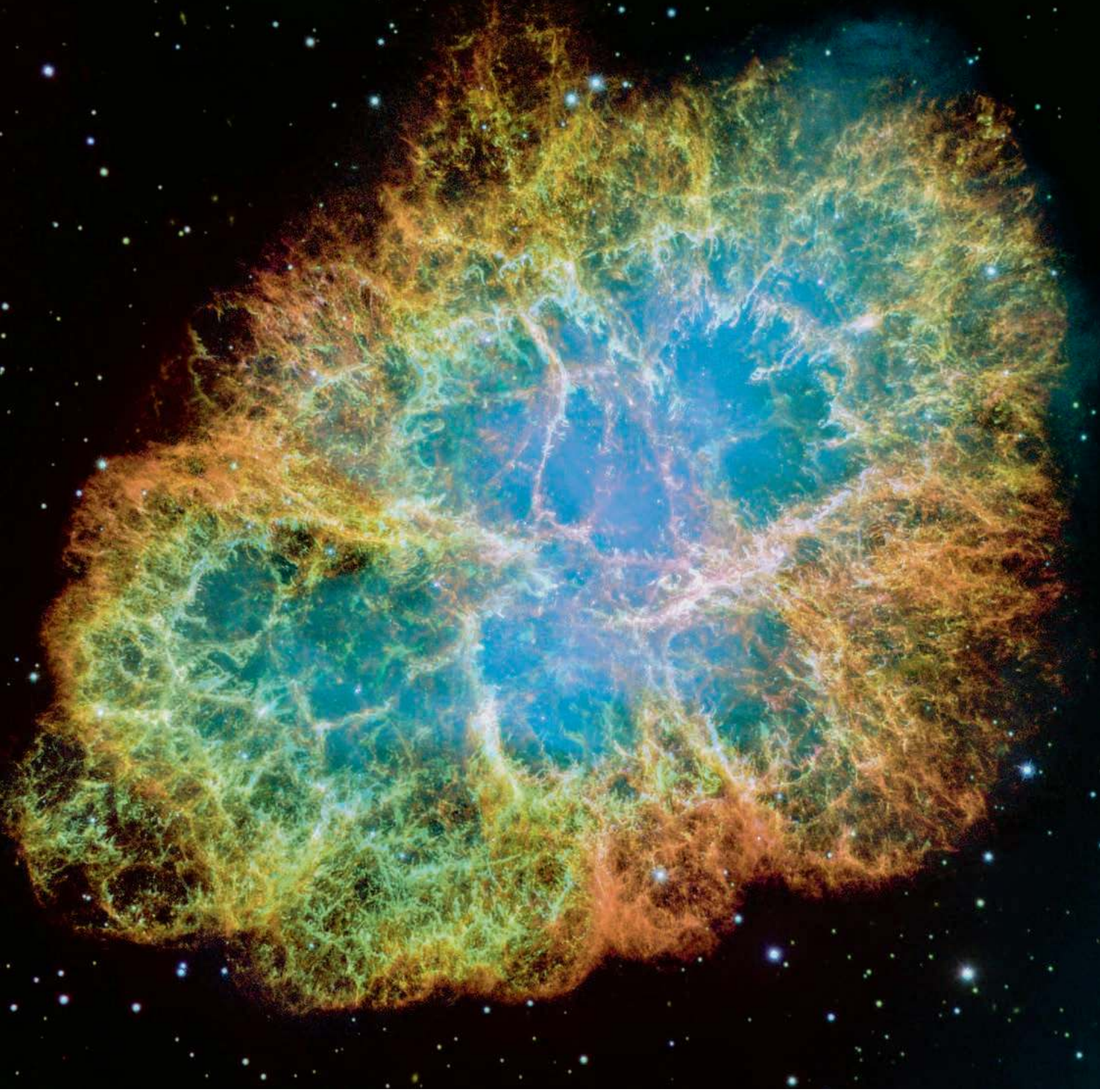

Po supernowych pozostają mgławice: olbrzymie chmury kosmicznego pyłu i gazu. Widoczna na zdjęciu Mgławica Kraba rozciąga się na przestrzeni 10 lat świetlnych. Supernowa, która ją wywołała, pojawiła się na niebie w 1054 r.

rozmiarów. Jednocześnie, mimo że jądro produkuje więcej energii, powierzchnia gwiazdy, teraz odleglejsza, ochładza się. Gwiazda czerwienieje. To właśnie jest czerwony olbrzym.

Po upływie kolejnych eonów znów, tak jak było w przypadku fuzji wodoru, generator w jądrze gwiazdy zapycha się produktami fuzji. Tym razem węglem i tlenem. I znów tylko rzeczywiście duże gwiazdy mają dość masy, by „wrzucić wyższy bieg" i przejść na fuzję tych pierwiastków, tworząc neon. Jeszcze masywniejsze są w stanie zmusić neon do przeistoczenia się w magnez, a tlen w krzem, te zaś o masach 20-krotnie większych niż Słońce, jak Betelgeza, dokonują transmutacji krzemu w żelazo.

Każdy kolejny krok trwa krócej, bo wraz z nim w procesie rośnie temperatura, a co za tym idzie – tempo przetwarzania paliwa. Gwiazda 20-krotnie masywniejsza od Słońca najpierw spędzi miliony lat przetwarzając wodór, potem jeden milion prowadząc fuzję helu, tysiąc lat węgla, ale paliwa na fuzję neonu wystarczy jej zaledwie na rok. A kiedy jądro gwiazdy zostanie zagracone żelazem, to koniec.

Fuzja żelaza, w przeciwieństwie do lżejszych jąder, nie prowadzi już do uwalniania energii, lecz ją pochłania. Gdy więc „zapali się" żelazo, nuklearne jądro gwiazdy przestaje odpychać jej zewnętrzne gwiazdy, lecz tylko coraz szybciej je zasysa.

I zaczyna się katastrofa. ↦

Rozpędzone neutrina

↦ Kiedy żelazo w jądrze osiąga masę około 1,4 masy Słońca, zapada się ono pod siłą własnej grawitacji. W mgnieniu oka jądro kurczy się z obiektu o średnicy tysięcy kilometrów do kilkukilometrowej kuli. Rozgrzewa się jednocześnie do miliardów stopni i zaczyna emitować wysokoenergetyczne promienie gamma. Zewnętrzne warstwy gazu, dotąd odpychane przez generowane przez jądro ciśnienie, zaczynają spadać jak piekielna lawina. Rozpędzony przez grawitację gaz uderza w resztki jądra z prędkością stanowiącą solidny odsetek prędkości światła.

Uderzenie ma taką siłę, że składniki jąder atomowych rozpadają się, produkując przy tym neutrina. Te wystrzeliwują z rdzenia umierającej gwiazdy, w dziesięć sekund niosąc ze sobą energię równą energii, jaką Słońce wyprodukuje przez całe swoje życie. Neutrina niemal nie reagują z normalną materią, ale jest ich tak wiele, że nawet ta drobna ich część, która uderza w atomy otaczającego je gazu, rozrywa to, co pozostało z gwiazdy, tworząc na chwilę ciśnienia i temperatury tak wysokie, że w ostatnich chwilach supernowa produkuje wszystkie najcięższe pierwiastki w świecie przyrody, takie jak złoto, ołów czy uran.

Jakiekolwiek planety w pobliżu gwiazdy zostają błyskawicznie spalone, wysterylizowane i obdarte z atmosfery. Gwałtowna utrata masy przez gwiazdę uwalnia je z orbitalnego poddaństwa i wystrzeliwuje w przestrzeń kosmiczną.

W odległości dziesiątków czy setek lat świetlnych, supernowe tworzą na niebie niezapomniany widok. To właśnie one, „nowe" gwiazdy, jasne jak Księżyc, a czasem widoczne nawet w biały dzień, inspirowały astronomów: chińskie źródła odnotowały w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat 20 supernowych widocznych gołym okiem. Nowe obiekty na niebie burzyły przekonanie o wiecznej niezmienności nieboskłonu i skłaniały obserwatorów, w tym tak wielkich jak Johannes Kepler czy Tycho Brahe, do dalszych badań. Wreszcie inspirowały artystów: Szekspir miał niezwykłe szczęście, bo mógł za swojego życia zobaczyć dwie supernowe: w 1572 i 1604 r., tę drugą opisując prawdopodobnie w komedii „Wszystko dobre, co się dobrze kończy".

My żyjemy jednak w czasach kosmicznej posuchy, bo supernowa z 1604 r. była ostatnią zaobserwowaną w naszej galaktyce.

W 1987 r. mieszkańcy południowej półkuli mieli okazję zobaczyć niewielką supernową, ale jej światło docierało do nas z jednej z pomniejszych galaktyk orbitujących wokół Drogi Mlecznej. Na naszym podwórku w tym czasie nic nie wybuchło. Nic dziwnego, że szansa na nową Betelgezy wywołała sensację. Takiego show nie było od 416 lat!

Zagadka

Ale chyba nadal nie będzie, bo po zasłabnięciu Betelgeza jakby poczuła się lepiej. „Fotometria z ostatnich dwóch tygodni pokazuje, że Betelgeza powstrzymała duży spadek jasności" – pisze w „Astronomer's Telegram" zespół badaczy pod kierownictwem Edwarda Guinana z Villanova University w Pensylwanii. „Z tych i innych obserwacji wynika, że gwiazda zdecydowanie przestała tracić na jasności i zaczęła powoli ją odzyskiwać. Ten epizod »gaśnięcia« jest zakończony".

Wciąż jednak nie wiemy, co właściwie się stało, bo wszystko wskazuje na to, że wewnątrz gwiazdy, na jej powierzchni bądź w bezpośrednim otoczeniu doszło do czegoś niezwykłego.

Jedną z możliwości jest to, że gwiazda wyrzuciła z siebie w naszym kierunku wielki pióropusz materiału, który przesłonił ją częściowo, stwarzając wrażenie jej przygasania. Inną, że jej powierzchnię pokryła wyjątkowo duża grupa plam. Jeszcze inną, że nieznany nam mechanizm doprowadził do schłodzenia części jej powierzchni.

Zdjęcia tarczy gwiazdy, wykonane przez zespół z uniwersytetu w belgijskim Leuven przy pomocy położonego na pustyni Atakama w Chile teleskopu VLT, dołożyły do tego jeszcze jedną tajemnicę. Jeszcze rok temu Betelgeza była na nich zwyczajną, okrągłą gwiazdą. Teraz w świetle widzialnym nie widać już jasnego, okrągłego dysku. Zamiast tego gwiazda przypomina nadepnięty owal, jakby część jej powierzchni w międzyczasie gwałtownie się ochłodziła.

Fajerwerków (na razie) nie będzie. Ale astronomowie dostali od gwiazdy o wiele lepszy prezent: zagadkę.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

O Betelgezie słuchaj także w Podkaście Powszechnym na powszech.net/gwiazda oraz m.in. w Spotify i Appla Podcast.

Pole rażenia

ENERGIA UWALNIANA PODCZAS ŚMIERCI GWIAZDY jest ogromna. Astronomowie szacują, że bezpieczna strefa zaczyna się dopiero 50 lat świetlnych od wybuchu. Ale nawet kilkukrotnie dalej dają się odczuć efekty kataklizmu. Promieniowanie emitowane przez supernową może obedrzeć planety w promieniu 30 lat świetlnych z warstwy ozonowej, narażając ich powierzchnię na działanie promieni UV. Może też przetrzebić oceaniczny plankton, niszcząc cały łańcuch pokarmowy mórz. Ziemia ostatnio znalazła się w strefie odczuwalnego wpływu supernowej 1,7-3,2 mln lat temu. Eksplodowała gwiazda znajdująca się około 325 lat świetlnych od nas.

Nawet jeśli Betelgeza wybuchnie, materiał wyrzucony przez nią zdąży wystygnąć i rozrzedzić się, zanim dotrze do Ziemi. Naładowane cząsteczki podróżują o wiele wolniej niż światło. Od chwili, gdy zaobserwujemy wybuch, do momentu, kiedy będziemy musieli się martwić, minie 100 tys. lat.

W 2016 r. naukowcy z Australijskiego Uniwersytetu Narodowego opublikowali badanie chemicznych śladów dwóch supernowych sprzed 3,2-1,7 mln lat. Obie miały miejsce około 300 lat świetlnych od nas. Promieniowanie, które dotarło do naszej planety, było około czterokrotnie silniejsze niż to, które towarzyszyłoby eksplozji Betelgezy. Mimo to, niemal na pewno nie wywarło bezpośredniego wpływu na życie. Być może doszło do krótkotrwałego ochłodzenia klimatu Ziemi, ale trudno udowodnić tutaj związek przyczynowo-skutkowy.

Statystycznie, supernowa powinna wybuchać w promieniu 300 lat świetlnych od Ziemi co 2-4 mln lat.

W promieniu 33 lat świetlnych – co 240 mln lat.

W ciągu ostatnich 11 mln lat w promieniu tysiąca lat świetlnych od Ziemi doszło do 20 eksplozji.

Astronomowie wiedzą o sześciu gwiazdach w promieniu tysiąca lat świetlnych, które są bliskie wybuchu. Najbliższa, biały karzeł IK Pegasi B, leży 150 lat świetlnych od nas. Wciąż wystarczająco daleko. © WB

ANDRZEJ

Stasiuk: *Płuczki*

To są Antydziady dziejące się w jasnym świetle dnia. Lud idzie za wieś w miejsce ponure i odludne, by odprawiać rytuały. Jakieś antynabożeństwo starsze od pogaństwa. Nie idzie tam, by spotkać duchy przodków, ale zgniłe ciała istot ludzkich. Kiedyś wyobrażałem sobie, że to działo się nocą. Że przychodzili ukradkiem, świecąc sobie i ukrywając światła. Ale robili to za dnia, w blasku słońca i szli gromadą: „Gdzieś godzina dziesiąta w dzień była – pisze Paweł Piotr Reszka w książce reporterskiej „Płuczki". – (...) Widziałem wykopany dół, wyciągali trupa, jeszcze żywe ciało. Jeden ręką za włosy trzymał i rydlem, znaczy szpadlem, walił w szyję, żeby głowę odciąć, bo jeszcze się trzymała korpusu". Bo żydowskie złoto jaśniało z głębi ziemi, błyszczało z gnijącego mięsa i oślepiało nawet w jasny dzień. Jak w jakiejś bajce, gdzie błędny ognik wabi i wiedzie na zatracenie. I tylko złotem można się wykupić z tego zatracenia. „A potem jeszcze brał kawałek chleba, słoninę, co ją miał w kieszeni w szmatę zawiniętą, i jadł w tym wszystkim, tymi ręcami, co grzebał". Z tej nędzy, słoniny i chleba. Z odoru chałup, które zżera robak. Z cienia butwiejących strzech. Ponieważ lud zawsze żyje w nędzy i dlatego nigdy niczego nie marnuje. Lud zawsze jest biedny, ponieważ zawsze znajdzie się bogatszy od niego. Tak było, jest i będzie na wieki wieków.

Dlatego może w jasny dzień schodzić w głąb i kopać w ludzkim mięsie jak w ziemi. Bo jest na zawsze wyklęty i mu wolno. Musi tylko znaleźć złoże. „A ile razy my zgniłe kartofle zbierali? Rarytas to był. Zaraz jak się z ziemi wyciągnęło, to się zjadało". Więc jak w bajce: zgniły kartofel w złoto się przemienia. Jak w opowieści o znalezionym skarbie, który świecił przez ziemię i przez mięso. Bo żydowskie złoto nie gaśnie nigdy. Nawet przykryte zwałem gliny, popiołem i mięsem. Świeci w jasny dzień, czarną noc, w ciemnej chałupie i we śnie. Żarzy się w mózgu i trawi jak czerw.

No więc co? Tak wygląda piekło, że się schodzi w głąb i odrzuca szpadlem ludzkie mięso? W jasny dzień zaraz za wsią? „Było może z pięćdziesiąt ludzi na polu. I od nas, i z sąsiednich wsi. Ja żem tam był codziennie". Dzieci kucają na powierzchni i przesypują piasek. „Sprytna taka, do wszystkiego, jak to mówią. Z małą łopatką chodziła, aby po wierzchu tylko, coś tam zawsze odgrzebała". Zaraz za wsią i za koleją. Jak z jakiegoś bełżeckiego Hieronima Boscha. Tylko że z wnętrza ziemi nie bije płomień, ale smród. Zimne inferno z rojem much.

Schodzenie w głąb. Piasek sklejony tłuszczem. Kostny miał. Ludzki żużel. Włosy. „Wytrwały człowiek musiał być, aby tam kopać. Różowa masa, między tym kości głowy". Jak przez geologię, jak przez warstwice epok, aż po nicość, gdzie nie ma już człowieczego ani nieczłowieczego. Chłopskim szpadlem, w gumiakach. Mistrzowie nienazywalnego. Schodzą tak głęboko, jak nie zeszedł nikt. Guślarze bez lęku, bo przecież w zgniłym mięsie nie zamieszka żaden duch. Ani upiór nie powstanie ze spalenizny. Tak.

Najlepiej jest jechać od strony Narola. Przez wysoki sosnowy bór. Piękna okolica i spokojna. Potem powoli zaczyna się wieś. Przejeżdża się tory kolejowe. Za jakiś kilometr po prawej, trochę w głębi, stoi drewniana cerkiewka św. Bazylego. Kawałek dalej ładny, dość surowy kościół pw. Matki Boskiej Królowej Polski. Miła spokojna wieś. Ani za biedna, ani za bogata. Na skrzyżowaniu trzeba w prawo. Najpierw widać budynek z wysokim kominem. Teraz jest chyba w nim jakiś magazyn. Parę lat temu jego ścianę zdobił wielki napis: „Środki czystości. Import z Niemiec". Żelazny płot otaczający teren dawnego obozu stoi kilkanaście kroków dalej. Ostatnio nie widziałem już napisu. Został zamalowany.

Monument jest straszny i piękny. Łagodne, parohektarowe wzgórze, na którym były masowe groby i wysypisko popiołów, zostało pokryte hutniczą szlaką, żużlem martenowskim. Ciemne, prawie czarne gołoborze chropawych głazów i rumoszu. W głąb wzgórz prowadzi wąskie przejście, szczelina. Gdy się nią idzie, ma się wrażenie zstępowania do podziemi. Słyszy się własne kroki odbite od wznoszących się ścian. Tędy wiodła droga do komór.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że to deszcz kamieni z nieba zasypał piekielne sztolnie. Żeby nikt już nie miał siły ani odwagi poruszyć przesiąkniętą śmiercią ziemię. Deszcz kamieni z nieba, który miał zgasić na wieki blask żydowskiego złota. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 338/19 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego, o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Jarocinie o pow. 0,41,57 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 43/1 a.m. 1, dla której nie była prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 360/19 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego, o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Wilkowyi o pow. 1,64,00 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 404, dla której nie była prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

BOKS, WAGA CIĘŻKA

BEATA FUDALEJ, AKTORKA:

W aktorstwie nic nie przychodzi łatwo, swoje trzeba wypłakać.
Szybko to można frytki usmażyć.
Tu trzeba mieć duszę motylka i dupę nosorożca.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jak się czujesz po kilku godzinach prowadzenia warsztatów aktorskich ?

BEATA FUDALEJ: Jak po rekolekcjach. Na zajęciach zamiast o aktorstwie mówię o duchu, o posłannictwie, o tym, co pomiędzy ludźmi. Warsztat w tym zawodzie jest kluczowy, ale jak z niego korzystać, gdy nie ma treści i ducha?

Empatii...

Da się tego nauczyć?

W Danii w szkole są już lekcje z empatii – obowiązkowe od 10 lat. Podobno to jeden z najbardziej zadowolonych narodów w Europie. My nie jesteśmy szczególnie zadowoleni. Nie dbamy o to, pogubiliśmy się w znaczeniach, zasadach, hierarchiach, brakuje nam punktów odniesienia.

Jakich?

Byliśmy wychowywani w duchu maksym: „siedź w kącie, znajdą cię", „wypowiesz się, jak będziesz dorosły", „dzieci i ryby głosu nie mają".

Tak było dobrze?

Niekoniecznie, choć miało plusy. Teraz nie ma szacunku dla kogoś, kto coś osiągnął, każdy wypowiada się i wie najwięcej na temat tego, czego nie osiągnął. Dotyczy to wszystkich, nie tylko młodych. Starych nie da się już wychować, ale o młodych można jeszcze powalczyć.

Dziecko trzeba wychować przede wszystkim na porządnego człowieka i to jest mądra miłość – mówili o tym Leszek Kołakowski i Barbara Skarga.

Barbara Skarga, która w łagrze spędziła 10 lat, na pytanie, co powiedziałaby o tamtym czasie, rzuciła: „ciekawe przeżycie, no, może trochę za długie". Tak mówi człowiek, który doświadczył czegoś głębokiego.

A jak to się przekłada na zajęcia ze studentami?

Żaden z moich profesorów nie skakał koło mnie, rzadko ruszał się z krzesła – mówił i to był zaszczyt, że się u niego uczyłam, że mogłam podpatrywać Teresę Budzisz-Krzyżanowską, Jerzego Jarockiego, Krystiana Lupę. Dawali wskazówki, zarys sytuacji, a myśmy mieli coś wykreować. Dziś nauczyciel traktowany jest jak coach – wszystko ma podać na tacy. By młodzi coś zrozumieli, bywa, że muszę przekładać Słowackiego na język dilerów narkotyków.

Tęsknisz za dawnymi wartościami?

Czasem bardzo. W „Obietnicy poranka" Romain Gary pisze, że kiedy kogoś bili, to on pędził i też się bił. Stawał w obronie słabszego. Ale nie mówi wprost, że był dzielny. W gruncie rzeczy wynikało to z empatii. Gary opisuje jeszcze inną sytuację, w której koledzy obrażają jego matkę. Chce stanąć w jej obronie, ale wycofuje się. Po powrocie do domu płacząc mówi matce, że chciał ją bronić i stchórzył. Matka odwraca się, ledwo podaje mu kolację, idzie do siebie. On rano wstaje, a matka nadal chłodna. Nie wie, co robić. Kiedy wychodzi z domu, matka zaczyna nim szarpać: „Wolę, by cię tu przyniesiono na noszach, połamanego, niż żebyś mi tu płakał! Ty masz mnie bronić! Rozumiesz?". Czytając to na przemian śmiałam się i płakałam. Gary to musiał być wspaniały facet.

Ale co z tą empatią?

Marnieje. To plon edukacji punktowej, schematycznej, zdasz maturę, jak dobrze rozwiążesz test. Nic poza tym. Wiesz jakie daję swoim uczniom zadania? Kiedy jest mróz – mają iść na ślizgawkę, kiedy śnieg – ulepić bałwana. Zetknąć się z czymś prawdziwym. Doświadczyć, poczuć. Bo odbyła się rewolucja – internet zmienił człowieka, to przełom na miarę wynalazku Gutenberga, podobno w młodych mózgach są inne synapsy. Teraz elektronika załatwia większość rzeczy, ludzie siedzą od świtu do świtu przed komputerem, ortopedzi biją na alarm, że młodzi mają stare kręgosłupy, a lekarze, że spada fizyczna wytrzymałość. Biegamy na ciężko płatnej siłowni, zamiast na rowerze jechać do lasu. Przez to pole widzenia jest ograniczone – to przekłada się na zubożoną wyobraźnię i stępioną wrażliwość. A to z wrażliwości i wyobraźni rodzi się empatia. I z czytania. Przy moim łóżku mam stos książek.

A co to za książka w kieszeni kurtki?

Biografia Brechta – mam grać Ruth Berlau, wspaniała zawodowa przygoda. Nie mam pojęcia, czy kogoś to jeszcze obchodzi. Opowieść o odrzuceniu, samotności inteligenta, który wszystko poświęca jednej sprawie – sztuce.

Niemodne.

Ja lubię niemodne tematy. Gdy choć jeden widz zrozumie, to praca nad sztuką ma sens.

A co z czytaniem?

Ma jeszcze wymiar praktyczny. Dziś na zajęciach powiedziałam: „Czytając uczycie się ortografii. Za chwilę ktoś, kto będzie wiedział, że rzeka pisze się przez »rz«, zarobi 50 tysięcy złotych".

I jak Ci idzie?

Uczę aktorstwa od 27 lat i widzę, jak zmieniają się kolejne pokolenia. Wychodzi to w podstawowej wiedzy. Od moich uczniów dowiedziałam się, że ostatnim królem Polski był Jerzy Popiełuszko, Helena Modrzejewska to pisarka, menada jest drzewem, a jezuici to Żydzi.

No nie...

A wiesz, dlaczego tak się dzieje? Gdy musiałam przypomnieć sobie coś z mitologii i w wyszukiwarkę w internecie wpisałam słowo „Hades", najpierw wyskoczył mi zakład pogrzebowy, potem zakład kowalski, dalej biuro podróży, a na szóstym miejscu był grecki Hades. Ale jeszcze bardziej martwi mnie to, że swojej niewiedzy ludzie się nie wstydzą.

Może odreagowują? Poprzednie pokolenia żyły w chronicznym zawstydzeniu.

No dobrze, ale jak zagrasz to, że postać się wstydzi? Dziś na zajęciach dziewczyna mówiła piękny tekst Tatiany do Oniegina o tym, że wstydzi się napisać list, ale jednak przełamuje w sobie opór. Otwierały się im klapki, gdy opowiadałam, że nic „nie plami kobiety bardziej niż atrament", co to znaczy pisać listy miłosne... W ogóle nie znają czegoś takiego jak flirt. Pewnie też dlatego wstydzą się uczuć.

W trakcie prób do egzaminu przygotowywaliśmy chórek, którym dyrygował elegancki dyrygent. Chórek ↦

BEATA FUDALEJ jest aktorką. Absolwentka krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. W latach 1989–2003 aktorka Starego Teatru, obecnie w zespole Teatru Narodowego w Warszawie. Doktor habilitowany sztuk teatralnych, nauczyciel akademicki. Obecnie w tracie prób spektaklu do „Skóry węża" w reżyserii Artura Urbańskiego. Premiera ma się odbyć w czerwcu 2020 r. w Teatrze Narodowym.

JAKUB WYSOCKI

↦ miał ciamkać, mlaskać, puszczać bąki, wszystko to w sali Filharmonii. Chodziło o pokazanie statusu konsumpcjonizmu, tego, że niemal wszystko, włącznie z wysoką sztuką, do niego się sprowadza. Tak więc chórek ciamka i mlaszcze, w pewnym momencie dziewczyna zaczyna odtwarzać ścieżkę dźwiękową rodem z enerdowskiego pornosa – to jej pomysł na ćwiczenie. Robi to znakomicie, a ja purpurowa chowam się pod krzesło. Myślę: „odważna, mnie by musieli upić, żebym tak grała". Mówię: „to było świetne, ale jeżeli pani poczuje, że sie pani wstydzi, proszę powiedzieć, to wyrzucimy".

Wyrzucimy?

Aktor nie może się wstydzić, a student musi czuć się bezpiecznie. Nagrywam te zajęcia, by mogli siebie zobaczyć, ale wyłącznie do celów dydaktycznych, bo to są bardzo intymne zajęcia. Ludzie czasami się tam rozwalają. Choć aktor powinien niekiedy wyjść poza sferę komfortu. Jan Peszek powiedział: „Nie bądźmy w dobrym poczuciu, bo na nie trzeba zapracować".

No, a co z dziewczyną?

Powiedziała „zero problemu".

Zawodowstwo!

To nie koniec historii. Jest kolejny semestr, dziewczyna śpiewa liryczną piosenkę „Kochaj mnie, nie opuszczaj mnie...". I nie jest w stanie.

Wstydzi się?

Okropnie. Czyli nie wstydzi się pornografii, ale wstydzi się siebie. Studenci mają słaby kontakt z własnymi uczuciami, dlatego na zajęciach zdarza się, że popłaczą się, dotykając w sobie czegoś prawdziwego. Te dzieciaki same się nie znają, więc na co dzień sobie nie radzą, muszą korzystać z pomocy psychoterapeuty.

Nie tylko dzieciaki.

Jest mi ich żal – nie mają narzędzi do obrony, które zdobywa się w dzieciństwie, kiedy dostaje się w łeb raz, drugi, trzeci i trzeba się z tym uporać. Nie mazać się, tylko brać się w garść. A dziś rodzice chronią dzieci przed najmniejszym ciosem, stwarzają złudzenie, że życie to bajka. Jak już mówiłam, dziecko trzeba wychowywać na porządnego, dzielnego człowieka, a nie spełniać jego wszystkie zachcianki. Bo w gruncie rzeczy od rzemyczka do koziczka... a na końcu szubieniczka – jeśli na wszystko pozwalasz, to nie dziw się, że potem dziecko nie radzi sobie w życiu. Wolność jest wtedy, kiedy poznajesz swoje ograniczenia.

Wiesz, że niektórzy rodzice przychodzą zapisywać dzieci na wyższą uczelnię?

To też przekłada się na życie społeczne i polityczne. Młodym nie chce się pewnych rzeczy robić, bo wiedzą, że mama ogarnie. Często nie mają własnego zdania. Mówią „mamy na to wywalone". Jedyne, co w miarę ich interesuje, to protesty klimatyczne – bo one już należą do własnej sfery komfortu.

Jak z tego komfortu wytrącić?

Nie możesz od studenta dużo wymagać, bo się rozpadnie psychicznie albo będzie to traktowane jako przemocówka. A na zajęciach z aktorstwa trzeba fruwać, biegać, strzelać drzwiami, czasem zrobić z siebie głupka.

Z poczuciem humoru też słabo. Staram się ich uczyć humoru abstrakcyjnego – nabijamy się z siebie, to leczy z narcyzmu. Czasem siadam im na kolanach i mówię: „Cio tam u ciebie? A dlaciego mas takie kłapciuszki na brzuśku?". Oczywiście zaraz ktoś powie, że to molesting. To nie jest żaden molesting! Ja rozmawiam z tym człowiekiem jak z własnym dzieckiem.

A nie daj Boże dotknąć... Wszyscy się już trochę zaczęli bać.

Co z tym zrobić?

Trochę obniżam poziom, ale nie mogę przestać całkiem wymagać. Dziś na warsztatach powiedziałam: „Niech pani poskacze". Dziewczyna podskoczyła dwa razy i stoi. Student powiedział mi kiedyś w punkt: „Pani od nas chce zachowań brzegowych: albo bardzo kocham, albo bardzo nienawidzę – a nas od dzieciństwa uczą, że wszystko jest relatywne".

A właśnie artysta powinien iść w poprzek – wszyscy w lewo, to on w prawo. Jaki ma być młody artysta? Biedny i wkurwiony. I czego nie wolno robić? Nie wolno mu pomagać. Tylko dzisiaj trudno człowieka wkurwić. Mało co go interesuje poza końcem własnego nosa.

No dobra, ale co z tym zrobić?

Żebym to ja wiedziała... Trzeba być cierpliwym. Nie naciskać. Powtarzać w kółko proste rzeczy, aż zaskoczy. W tym zawodzie nic nie przychodzi łatwo, swoje trzeba wypłakać. Szybko to sobie można frytki usmażyć. Żeby być aktorem, trzeba mieć duszę motylka i dupę nosorożca.

A Ty jak sobie odporność budowałaś?

Gdy przy pani Teresie Budzisz-Krzyżanowskiej ze wstydu ciągle błaznowałam, zamiast mówić zadany fragment wiersza, w końcu na mnie huknęła: „Co mnie to obchodzi, że jesteś nerwowa, w teatrze cię zjedzą!". Do końca życia będę jej za to wdzięczna. Aktorstwo nie jest dla strachliwych.

Jest dla odważnych?

David Mamet napisał coś w rodzaju poradnika dla aktorów – „Prawda i fałsz". Pisze: „Nie mów mi o swoim stanie, nie mów mi o swoim kostiumie, nie mów mi o efekcie swojej roli, to są »dziwne głosy«, tracisz czas". Kiedy to przeczytałam, podskoczyłam z radości: „Matko Boska, ja to mówię od 27 lat i niektórzy uznają, że zwariowałam, a ten wielki facet mówi to samo...". On uratował mi w pewnym momencie zdrowie psychiczne (*śmiech*). Mówi również: „między szkołą a życiem zawodowym jest różnica jak między lekkim fitnessem a boksem wagi ciężkiej". W Warszawie jest kilka tysięcy bezrobotnych aktorów. W Paryżu dwadzieścia lat temu usłyszałam taki żarcik: ktoś pyta: „Kim jesteś?". „Aktorem". „A, to nie zdałeś matury". Każdemu wydaje się, że to takie proste. A to trudny i piękny fach. Dlatego aktorzy mówią: „nie gadaj, skoro wszystko wiesz, zdejmij marynareczkę i pokaż".

Czyli?

Czyli nie ty przeżywasz, tylko twoja postać, ale dajesz jej swoje emocje i musisz nią być. Kiedy musisz być zakochany, to musisz się wirtualnie zakochać, kiedy masz nienawidzić, to wymyśl sobie, co by ci musieli zrobić, żebyś nienawidził. Ciebie to musi kosztować, by potem widz płakał albo śmiał się. Poza tym płaci ciężko zarobione pieniądze, dlatego musi widzieć dobre aktorstwo.

Co dla nich znaczy „dobre aktorstwo"?

Kiedy powiedziałam studentom: „Proszę państwa, jeżeli ja wam mówię o jakichś filmach, które trzeba obejrzeć, to obejrzyjcie ich dziesięć razy więcej". Masę wysiłku człowiek wkłada dziś w uczenie,

czasem okazuje się, że nie obejrzeli tego minimum, o które prosiłam. Mówimy, że z tym pokoleniem tłuczemy kamienie, no ale sami ich tak wychowaliśmy. To też jest naturalne, że trudni ludzie robią łatwe czasy, a łatwi ludzie robią trudne czasy. Człowiek się dziś nudzi, dawno nie było wojny, kiedyś szła zaraza i dziesiątkowała pół Europy.

Ale narzekasz!

To powiem coś pocieszającego. Ostatnio 18-letnia studentka z warsztatów powiedziała: „Proszę pani, ja się boję ludzi bez pasji". Kocham ludzi z pasją.

Ja też.

Widzę, jak ta dziewczyna jest wychowana, prowadzona, jaki z niej piękny człowiek. Więc do końca to nie jest kwestia wieku. Wiarę odzyskuję przy niektórych moich świetnych studentach – Małgosia Gorol, Monika Frajczyk, Piotrek Domalewski, Bartek Bielenia. Da się być artystą i się nie sprzedawać. To ci ludzie dają nadzieję, że warto walczyć.

A reszta?

Jest sporo ludzi z potencjałem, ale nie jest im łatwo, zobaczymy, jacy aktorzy się z nich „uszyją". Pytanie na dzisiaj: kto to jest aktor? Czy jest jeszcze teatr z wielkimi rolami? Czy warto dzisiaj mówić o Norwidzie? Nie wiem.

No przecież wiem, że wiesz.

Ale powiesz, że narzekam.

Nie powiem.

Kiedyś rozmawialiśmy w czasie prób: czy ktoś chodzi do kościoła, czy nie. To są bardzo intymne rozmowy, ale to czas – siedem, osiem miesięcy – kiedy aktorzy są blisko. I chyba kolega powiedział: „Wiesz, moja wiara w Boga jest na takiej cienkiej nitce, że boję się pójść do kościoła, by mi tam tego nie upier...".

I?

I ja mam właśnie tak z teatrem, że boję się do niego pójść. Jak mówiła pani profesor Budzisz-Krzyżanowska: „Te wszystkie niemądre przedstawienia". Porozbierają się do goła, pokażą po siurku, mlaskają mi do tych mikroportów. Ja nie chcę Szekspira w rajtuzach, nie chcę sztuk z muzeum teatralnego. Ale jednocześnie nie chcę oglądać w Starym Teatrze sztuki, w której rozmawiają o problemach Polskiego Związku Piłki Nożnej. Szekspira nie obchodziła bieżączka, tylko człowiek. Każdy z nas ma szekspirowski problem w mniejszym czy większym wymiarze.

> Jaki ma być młody artysta? Biedny i wkurwiony. **Tylko dzisiaj trudno człowieka wkurwić.** Mało co go interesuje poza końcem własnego nosa.

Ale w sumie jestem szczęśliwa, że świat zwariował, bo gdy idę do taniej książki, to za sto złotych kupuję 12 sztuk „Moich nagród" Thomasa Bernharda. Wspaniała książka! Pisze on tam, że dostał tych nagród niewiele. I do połowy opowiada, jak źle wyglądało ich wręczanie, a w drugiej połowie są jego przemówienia. Minister kultury przyszedł spóźniony pół godziny, *nota bene* wcześniej był ministrem rolnictwa, a po przemówieniu Bernharda nagle trzaska drzwiami i wychodzi. Bernhard pisze, że nie wie dlaczego. I zaraz czytasz to przemówienie Bernharda, gdzie pada między innymi zdanie: „Jesteśmy nikim jako naród, jesteśmy nazistami, tylko zmieniliśmy mundury". Kocham Bernharda! Teraz „Moje nagrody" rozdaję fajnym ludziom.

Bestsellerem Empiku jest „Ćwicz z Chodakowską". Swoją drogą to moja była studentka, nie miałam pojęcia, że jest do tego stopnia wygimnastykowana. Kult ciała doszedł do tego, że któryś rok z rzędu płacimy 80 złotych za książkę, jak ćwiczyć pośladki, a nie jesteśmy zainteresowani ćwiczeniami duszy i intelektu. Gdy Olga Tokarczuk otrzymała Nobla, w piśmie „Fakt" pół okładki zajmował: „Nobel Tokarczuk", a drugie pół: „Krzysztof Krawczyk ma nowe biodro". Krzysztof Krawczyk zachował się z klasą i napisał: „Pani Olgo, nie rozumiem tego świata, jestem dumny, gratuluję Pani, przepraszam, że tak się stało".

Szkoda gadać?

No szkoda... Kiedy 10 lat temu powiedziałam, że idzie faszyzm i atmosfera lat 30., mówili mi, że mam problemy hormonalne i zwariowałam. Jak widać, nie do końca mieli rację. A teraz mówię: idzie bardzo zimny człowiek, przerażony człowiek, który nie ma narzędzi do drugiego człowieka. I taki człowiek sprowokowany może narobić wiele złego. To też konsekwencja braku empatii – wracamy do początku naszej rozmowy.

Pokolenie naszych rodziców i dziadków powtarzało: „Co wy wiecie, czym był głód, czym była wojna, dzieci, wy macie za dobrze". I mieli rację. Ale z drugiej strony, kiedy trzeba było w latach 80. iść na Rynek czy pod Arkę w Hucie oblężone przez zomowców z gazami łzawiącymi, to rodzice nie mogli wiedzieć, ale tam musiało się być. Dostałam pałą od zomowca i byłam gwiazdą liceum. Dobrze, gdy można walczyć o jakąś ideę.

Za szybko to poszło: zamykanie wydawnictw i domów kultury przez ostatnie lata, bo to nieopłacalne. Dobre państwo powinno zadbać o kulturę, ale też o swoich kalekich, chorych i emerytów, młodzież. Te czasy promują permanentną młodość, nie wolno być starym, ludzie tracą twarze od botoksów. Jasne, mnie też martwią zmarchy i siwizna. Mam mnóstwo kurzych łapek, ale to jest mapa mojego życia. Dziś masz być fit bez cellulitu – masz być wizerunkiem samego siebie. Powiedziałam do studentów, że aktor to nie jest wizerunek. I oni sobie to zapisali. To co, oni myśleli, że to jest wizerunek?

Dla kobiety to trudniejszy zawód.

Mężczyznom jest w nim łatwiej, choć tylko do pewnego stopnia. Bo jednocześnie w aktorstwie nie ma podziału na płeć i umowna jest sprawa wieku. Jan Peszek, mimo swoich lat, staje na głowie i rękach. Ja mam 54 lata i muszę z miejsca wskoczyć na stół. Kiedy rośnie mi tyłek, ograniczam żarcie i wsiadam na rower. Aktorstwo to fizyczny zawód – pracuje się ciałem. Do tego potrzebna jest dyscyplina. Aktor ma być sprawny, łaski nie robi. Poza tym w szkole mi mówili: „Kochaj teatr w sobie, a nie siebie w teatrze".

Czym się ostatnio zachwyciłaś?

Kiedy na dzisiejszych zajęciach trójka studentów pięknie „się otworzyła". Parę tygodni temu byli kimś innym, a teraz obserwuję początek nowego człowieka. Czuję się jak akuszerka, która pomaga przy porodzie. A poród zawsze jest bolesny. Widząc, że ktoś robi progres, po sześciu godzinach ciężkiej pracy, wychodzę spocona... i szczęśliwa.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

JACEK POREMBA / MAT. PRASOWE

Kosmiczna osobliwość

MONIKA OCHĘDOWSKA

Ogrom nostalgii zmagazynowanej w najnowszej muzyce popularnej musiał wywołać w końcu anomalię grawitacyjną. Stało się to właśnie za sprawą nowej płyty Julii Marcell.

Lubimy smutne piosenki. A przynajmniej słuchamy ich tak dużo, że Spotify traktuje „smutek" jako osobny gatunek muzyczny. Gdy pod koniec zeszłego roku badacze z uniwersytetu w Exeter w Wielkiej Brytanii nakarmili swoje algorytmy tekstami największych przebojów ostatnich dekad, okazało się, jak gwałtownie narastał w nich gniew i rozczarowanie. Całkiem radosne były jeszcze lata 70. – złota era disco i rocka. Ale już w połowie lat 90., gdy popularność zyskały przesterowane gitary smutasów z Seattle, wściekliśmy się nie na żarty. Nabrzmiewające na wykresie z Exeter frustracja, gniew i depresja, na których wypłynął grunge, to obraz pogrążonej w recesji Ameryki. W tekstach pojawia się coraz więcej nienawiści, a muzyka zwalnia tempo. Utrzymane w molowej tonacji przeboje brzmią naprawdę przygnębiająco. I choć wydawałoby się, że czas protest songów dawno już za nami, maksymalna erupcja najdokuczliwszych emocji następuje właśnie teraz.

Obserwatorów kryzysu opioidowego w Stanach nie powinno dziwić, że bezkonkurencyjną zwyciężczynią ostatnich nagród Grammy została śpiewająca o depresji nastolatka. Piosenki z debiutanckiej płyty Billie Eilish pojawiły się zresztą na ścieżce dźwiękowej popularnego serialu „Euforia", którego reżyser Sam Levinson większość nastoletniego życia spędził na odwykach. Ośmioodcinkowa produkcja HBO to obraz jego zmagań z uzależnieniem od leków, atakami paniki i depresją. Sama Eilish przyznaje, że na jej styl miały wpływ inne smutne dziewczyny, jak Lana Del Rey czy Amy Winehouse, choć warto pamiętać, że nad wizerunkiem scenicznym młodej piosenkarki skrupulatnie pracuje dziś między innymi firma Chanel.

Muzyka, owszem, jest coraz bardziej dołująca, ale nie tylko wytwórnie płytowe próbują zarabiać na naszych nie najlepszych nastrojach. Pop – parafrazując jedną z piosenek debiutującego w walentynki polskiego duetu Karaś / Rogucki – wymierza nam coraz boleśniejsze strzały w serce. Na tym tle najnowsza płyta Julii Marcell „Skull Echo" wystrzeliwuje słuchaczy wysoko nad powierzchnię zanurzonych w melancholijnej mgiełce mazowieckich nizin.

Kręci mnie kapitalizm, podnieca nadmiar

Swój pierwszy album pochodząca z Olsztyna Julia Górnicka (jako Julia Marcell) nagrała dekadę temu dzięki akcji crowdfundingowej – słuchacze z całego świata zainwestowali wtedy w młodą artystkę legendarne już 50 tys. dolarów. Wyprodukowana w Niemczech z udziałem polskiego kwartetu smyczkowego anglojęzyczna płyta „It Might Like You" wydaje się dziś – gdy znamy pozostałe dokona-

nia Marcell – oszczędna, wręcz surowa, choć melodyjny fortepian oraz słyszalne tu i ówdzie szepty, skrzypnięcia i szelesty dodawały aranżacjom wiele ciepła. „To płyta nagrywana na żywo, dzięki czemu pozostanie w tych piosenkach energia, która często umyka w procesie nagrywania ścieżka po ścieżce" – mówiła w wywiadach młoda kompozytorka. Marcell nie ma wykształcenia muzycznego, podczas pracy z zawodowymi muzykami wszystkiego, także nut, uczyła się od podstaw.

Następne dwa krążki – „June" (siedem nominacji do Fryderyków i nagroda za najciekawszy album alternatywny) oraz „Sentiments" – powstały po przeprowadzce do Berlina. Marcell jest na nich bardzo rockowa, bliska zadziornej PJ Harvey, choć krytycy lubią porównywać ją jednocześnie do młodej Beaty Kozidrak, Björk i Kate Bush. Sama określa swój ówczesny styl jako *classical punk*. Paszport „Polityki" w 2011 r. dostanie za „udowodnienie, że karierę w muzyce pop można robić samodzielnie i na własnych zasadach". Ale dopiero płyta „Proxy" (2016) będzie doskonałym potwierdzeniem tych słów.

Nagrany po raz pierwszy w całości po polsku i z myślą o Warszawie materiał pozwolił Julii Marcell wylądować na polskim podwórku z głośnym przytupem. Album znalazł się szybko w pierwszej dziesiątce najlepiej sprzedających się wydawnictw muzycznych według OLiS (oficjalnej listy sprzedaży detalicznej polskiego Związku Producentów Audio-Video). „Proxy" wiele zdradzało z samego warsztatu pracy artystki i świadomego budowania jej kariery: „Hej dziewczyno, / Nie idź do Talent Show. / Spróbuj się powstrzymać. / Już dzwonią, już dzwonią, już chcą. / Spróbuj to wytrzymać. / To podniecenie w tle / Niezdrowe jest dla ducha (...) Muszę odpocząć / Od możliwości, okazji, szans" („Zatrzymać czas"). To jednocześnie pamiętnik idącej w poprzek trendów i oczekiwań artystki, ale też mała rozprawka na temat kapitalizmu, bo album już na okładce, wypełnionej po brzegi najprzeróżniejszymi drobiazgami, od pluszowego tygrysa po trupią czaszkę, zdradza chorobliwy lęk przed pustką.

W nadmiarze nie ma miejsca na człowieka – są boty, randkowe aplikacje, pikselowe zupy zdarzeń. Chłodne jak lodówki przestrzenie hipermarketów sprzyjają fantazjom o zmysłowej miłości. W pozornej, „dziewczęcej" lekkości zawartych na „Proxy" funkowych kompozycji kryje się pułapka, bo Marcell śpiewa o świecie okrutnym wobec kobiet, w którym posypana brokatem przemoc wylewa się przede wszystkim z okładek kolorowych pism. Ale „Proxy" to nie tylko historyjka o postnowoczesnym *horror vacui*. Marcell, pokazując coraz słabiej wyczuwalny w muzyce popularnej puls teraźniejszości, stawia też pytanie o jej przyszłość. Im jesteśmy smutniejsi, pokazuje, tym częściej przywołujemy duchy minionych epok i stylów. Co się stanie, gdy wyczerpiemy te zapasy, gdy do cna wyeksploatujemy złoża popkultury? Czym będziemy zaspokajać rosnący wciąż głód?

Którędy do teraz?

Na wydanej właśnie płycie „Skull Echo" *horror vacui* zastąpiony zostaje przez *amor vacui*, ale nieodmiennym tematem Julii Marcell pozostaje pustka. Artystka, która od zawsze powtarza, że w jej twórczości liczą się przede wszystkim dobrze opowiedziane historie, tym razem ścisza głos. Albo inaczej: dotarcie do jej przekazu wymaga większego wysiłku, bo wokal, inaczej niż na poprzednich płytach, jest tutaj tylko jednym z instrumentów, równoprawną częścią alarmujących, nierzadko ambientowych, mroczniejszych niż kiedykolwiek kompozycji.

Najważniejszym tematem „Skull Echo" jest odmieniany przez wszystkie prędkości czas. Zarówno najbardziej aktualny moment naszej historii – gdy po upadku idei i skompromitowaniu opinii „świat w pięknym stylu tonie w pyle", a na ulicach powiewa „milion w ogniu flag" – jak i wieczność, jako szczególnie „niepokojące słowo" (czaszka w tytule płyty kokietuje modnymi w popie wątkami wanitatywnymi).

Jeśli „Proxy" była skupiona głównie na drobiazgach doczesności, „Skull Echo" jest zdecydowanym odbiciem od tego tematu, wystrzeleniem perspektywy „miliony lat świetlnych" poza orbitę Ziemi, próbą zakrzywienia czasoprzestrzeni. Kosmiczne porównania są tu uprawnione, ponieważ Marcell zaraz po wydaniu albumu zdradziła, że jest on częścią większego projektu – będzie ścieżką dźwiękową filmu *science fiction*, do którego napisała już scenariusz (premiera planowana jest na 2023 r.). A jako że artystce bliski był zawsze David Bowie, fascynacja podróżami międzyplanetarnymi nie powinna szczególnie dziwić. To także nie pierwsze zetknięcie Julii Marcell z kinem – kilka lat temu artystka skomponowała muzykę do filmu Przemysława Wojcieszka „Jak całkowicie zniknąć".

Ostatnie słowa Majora Toma z ballady „Space Oddity" Bowiego wysłane do kontrolera lotów opisywały jego zagubienie i niepewność: „Choć przebyłem sto tysięcy mil, czuję, jakbym stał w miejscu". Po odsłuchaniu wiadomości zakodowanych na „Skull Echo" wiemy, że Marcell przybywa z podobnym przesłaniem. Pisze się o tej płycie, że jest jej najpoważniejszym, patetycznym, pozbawionym humoru materiałem. Tymczasem artystka bywa ironiczna, bawiąc się modną nostalgią, syrenim śpiewem zwodząc, że „tęskni do lat, których nie zna". Jeśli Marcell wraca „do marzeń, by cofnąć czas, do historii, do słów, które są już w nas", to jedynie po to, by pokazać, jak utopijne i pozbawiające napędu są to wspomnienia. W teledysku do „Momentu i wieczności" oglądamy wdzierające się w las stare audi, którego pasażer i kierowca pogrążeni są we śnie, „ufnie nieprzytomni". Obudzi ich dopiero zderzenie z bliźniaczo podobnym, porzuconym na drodze samochodem – oto gonienie za duchami minionych epok kończy się drastyczną kraksą.

Nieprzypadkowo zaraz potem w ambientowej miniaturze Marcell stawia retoryczne pytanie: „Którędy do teraz?" i – wreszcie – poleca „otworzyć głowę", by rozświetlić mrok. Tak, wtedy na płycie robi się rzeczywiście patetycznie. A cała reszta historii rozgrywa się tuż po końcu świata. Towarzyszący piosence „Prawdopodobieństwo" teledysk składa się z ujęć przypominających zdjęcia wykonane po katastrofie w Czarnobylu – brakuje ludzi, tylko porzucone przez nich w ostatniej chwili przed ewakuacją przedmioty tkwią niewzruszenie na swoich miejscach.

Album „Sentiments" kończył się hipnotyzująco zapętlonym, mechanicznym motywem basu, gitary i bębnów. Zapowiedź tego transowego grania spełniona została właśnie na „Skull Echo" i, jakkolwiek różna wydaje nam się ta płyta od poprzednich – tak jak każde kolejne wcielenie Julii Marcell wydaje się niepodobne do minionych – jest to wciąż ta sama kosmiczna osobliwość, która na okładce „It Might Like You" narysowała na swoim zdjęciu skafander astronautki. ©℗

Zgroza nagłych cisz

DARIUSZ KOSIŃSKI

Krzysztof Garbaczewski, jeden z najoryginalniejszych i najbardziej kłopotliwych artystów polskiego teatru, wszedł w nową fazę twórczości. Znamionuje ją określenie „medytacja teatralna", którym opatrzył dwa najnowsze przedstawienia.

Garbaczewski od początku nie ułatwiał życia widzom i krytykom. Jego przedstawienia łamały najbardziej podstawowe reguły teatru (na przykład taką, że konieczne jest bezpośrednie oglądanie na żywo aktorów, znajdujących się w tej samej co widzowie przestrzeni). Pracując nad tekstami kanonicznymi („Balladyna", „Hamlet"), wręcz bezczelnie je rozbijał i negował ich wyższość. Z drugiej strony sięgał po materiał mało znany i „nieteatralny" („Tybetańska księga umarłych", „Robert Robur"), wielokrotnie wykorzystując nawiązania tak niszowe, że nieczytelne dla dużej grupy widzów. Przede wszystkim zaś sposób, w jaki pracował, i zasady, na jakich tworzył swoje przedstawienia, były tak odległe od wszystkiego, co zwykło się uważać za dobrą reżyserię, że spora część widzów i krytyków odrzuca je, uznając, że Garbaczewski jest po prostu złym reżyserem od słabego teatru.

Jak ze snu sen

Jednocześnie jest odbierany niemal odruchowo i bezpośrednio przez wcale niemałą grupę widzów. Nas (jeśli mogę używając tej formy osadzić się w roli samozwańczego rzecznika tej grupy) ten teatr – niełatwy do zrozumienia, a nawet do nawiązania z nim kontaktu na podstawowym poziomie – fascynuje, wciąga i hipnotyzuje od pierwszego obrazu. Najprościej (co nie znaczy – najtrafniej) mówić o nim w tym kontekście jako o „śnie", albo tworze poetyckiej fantazji, którego nie potrafimy do końca zracjonalizować, „odczytać", który chwilami wydaje się męczący i mętny, ale zarazem nie pozwala się przerwać, urzeka i w efekcie prowadzi na brzeg jakiegoś zrozumienia doznawanego wręcz fizjologicznie.

Ten „oniryczny" charakter został wzmocniony właśnie w ostatnich „medytacjach teatralnych". Teatr Garbaczewskiego – zwłaszcza w okresie wieloletniej współpracy z Marcinem Cecką – miał mocny aspekt polityczny i mógł być czytany jako głos nowego pokolenia, dobijającego się o prawo do opowiedzenia własnej (przeciw)historii. W ostatnich latach zmieniał się jednak stopniowo w teatralno-filozoficzne podróże budowane poprzez montaż, nakładanie na siebie i wzajemne przenikanie wielu trudnych do powiązania elementów, współtworzących sceniczne kompozycje plastyczno-słowno-ruchowe.

Ta całość, którą Garbaczewski powołuje w swoich ostatnich spektaklach, wymyka się kategoriom teatru dramatycznego czy – szerzej – opartego na literaturze. Choć w informacjach o obu przedstawieniach na pierwszym miejscu wymienia się teksty w nich wykorzystane, to nie ma sensu używać wobec nich etymologicznie zbyt wąskiego słowa „inscenizacja". Stwierdzenie, że inscenizuje się tu Leśmiana czy Dantego, jest zasadniczo fałszywe nie dlatego, że w scenariuszu ubiegłorocznego „Nic" (Narodowy Stary Teatr w Krakowie) i „Boskiej komedii" (Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 8 lutego 2020) pojawia się wiele słownego materiału, który nie pochodzi z dzieł obu autorów, ale po prostu dlatego, że słowo jest w teatrze Garbaczewskiego używane jako jeden z wielu budulców teatralnej kompozycji. I choć jest go dużo, to wyniesione z teatru literackiego przyzwyczajenie do dawania mu prymatu lub oddzielania od innych środków wyrazu jest tu wyjątkowo niefortunne. „Medytacje teatralne" znoszą bowiem hierarchię ważności „środków wyrazu" i roztapiają dawne podziały między nimi, by utworzyć jednolity artystyczny stop.

Widać to szczególnie wyraźnie w odniesieniu do sposobu funkcjonowania aktorów. Garbaczewski współpracuje z wybitnymi zespołami, a w jego spektaklach pojawiają się wyjątkowe indywidualności. W ostatnich przedstawieniach są wykorzystywane w sposób wręcz demonstracyjnie odmienny od oczekiwań, co rodzi nawet oskarżenia o marnowanie ich potencjału twórczego (w odniesieniu do „Nic" formułował je na przykład Krzysztof Juruś na portalu „Krytyki Politycznej"). Rzeczywiście można czuć się dziwnie, gdy się widzi, jak Krzysztof Zawadzki trudzi się w „Nic" jako Orfeusz ciągnący ramę obrazu, Mateusz Łasowski ciężko haruje w piekle „Boskiej komedii", a Andrzej Kłak (bo to chyba on?!), z zasłoniętą twarzą i dziwną aureolą z mikrowyświetlaczy nad głową, kręci się wraz z całą dantejską sceną, zaznaczając każdą nową rundę uderzeniem w gong.

Tak użyci aktorki i aktorzy tracą swoją wyróżnioną pozycję, stając się operatorami urządzeń czy wręcz „pracownikami fizycznymi", co w naszej tradycji teatralnej budzi co najmniej zdziwienie. Mam wrażenie, że to zaburzanie hierarchii jest działaniem świadomym nie tylko ze względu na ów jednolity „stop" całości, ale także z racji paradoksalnego zwrócenia uwagi na tę „niedo-obecność" osobowości aktorskich. Jakby reżyser chciał wysłać mocny sygnał, że gra w jego przedstawieniach toczy się na innych zasadach i o coś innego niż wybitne kreacje.

Ta próżnia nie drwi z ciebie

Zamiast z zasady odrzucać te demonstracyjne zabiegi, warto zadać pytanie o ich cel i funkcje. Nie jestem wcale pewien odpowiedzi, nie dlatego, że nie wiem, czy i czego doświadczyłem, ale dlatego, że usiłując znaleźć przylegające do doświadczenia formuły słowne napotykam na zasadniczy opór. Zdaję też sobie sprawę, że dla wielu widzów moje doświadczenie jest czymś obcym i niezrozumiałym, bo ich przedstawienia Garbaczewskiego zwyczajnie męczą i nudzą. Ale właśnie w tej szczególności i odrębności doświadczenia widziałbym jedną z cech charakterystycznych tego teatru. „Medytacja" nie jest przecież tekstem, ale właśnie doświadczeniem. Czymś, czego doświadczam na planie mojego życia wewnętrznego, wykorzystując bodźce dostarczane przez

MAGDA HUECKEL / MATERIAŁY PRASOWE

„Boska komedia" w reżyserii Krzysztofa Garbaczewskiego, Teatr Powszechny w Warszawie

twórców. Bodźców tych jest dużo, działają równocześnie i wielozmysłowo, niekiedy wręcz na granicy postrzegalności.

W trakcie jednego, a nawet kilku oglądań nie sposób ich wszystkich zarejestrować, a co dopiero „odczytać" i „zinterpretować". Wymagałoby to sporego wysiłku i było czymś na kształt „analitycznego rozbioru wiersza", czyli szkolnego sposobu na zabijanie poezji. A teatr Garbaczewskiego jest najczyściej poetycki w swoim dążeniu do całościowego oddziaływania, angażującego nie tylko intelekt i nie tylko emocje, ale pewien swoisty zmysł totalnego i bezpośredniego rozpoznania, które w wielu recenzjach nazywa się zachwytem czy wzruszeniem. Oba te określenia to dobre przykłady tego, jak język stawia opór: są trafne w swoim dążeniu do wskazania na totalne zagarnięcie doświadczającego przez przedstawienie, ale niemal natychmiast osuwają się w skojarzenia i kontekty mylące. Bo zachwyt nie jest tylko estetyczny i nie łączy się z jakimiś pięknymi obrazami (choć i takie w przedstawieniach Garbaczewskiego oczywiście są), wzruszenie zaś nie jest wyłącznie emocjonalne. Ten stan, który – w moim doświadczeniu – przedstawienia Garbaczewskiego wywołują, to silne poczucie znalezienia się w miejscu, które rozpoznaje się jako to, do którego się dążyło przez te wszystkie piętrzące się obrazy i działania, by znaleźć się „dokładnie tu", „u siebie", by poczuć zagarniające i pochłaniające „tak". Zarazem jest to stan, o którym trzeba zaraz powiedzieć, że jest „nie tym", że każde słowo go określające to fałsz.

Zdaję sobie sprawę, że sposób opisywania tego doświadczenia, jaki proponuję, zatrąca o język metafizyczny, a nawet wprost – mistyczny. Natychmiast więc trzeba go schłodzić, bo wydaje mi się, że w zgodzie z gatunkowym określeniem „medytacja" nie jest to doświadczenie jakiejś ekstazy czy uniesienia. To raczej spokojna kontemplacja siebie doznającego w sposób bezpośredni, ale zarazem przecież jakoś bierny (skoro siedzę na widowni, słucham i patrzę, a nie działam sam).

By nie sięgać ponownie do obrazów religijnych, powiedziałbym ostrożnie, że jest w tym podobieństwo do snu: widzę siebie doświadczającego czegoś, a zarazem jakaś cząstka mnie wie, że śnię. Śniło mi się, że śniłem – i w tej podwójnej ramie, którą buduje sytuacja przedstawienia, odnajduję paradoksalnie własne miejsce – teatr, który staje się *locus philosophicus*.

I właśnie jej nie ma

Doświadczenie, które usiłuję opisać, w sposób szczególnie mocny i wyrazisty stało się moim (a chyba nie tylko moim) udziałem w przypadku „Nic". Wiąże się ono z zamykającą całą „medytację" „Dziewczyną" Bolesława Leśmiana wypowiadaną w ciemności. Siła tego finału oczywiście jest zakotwiczona w pięknie recytacji, ale moim zdaniem nie wynika z niej, tylko z wszystkiego, co działo się wcześniej. Cały ten nadmiar fascynujących, chwilami pobudzających, a chwilami męczących i drażniących wrażeń wydaje mi się konieczny, by znany na pamięć wiersz, będący jednym z najdoskonalszych poetyckich wypowiedzeń tego doświadczenia, które nieudolnie usiłuję tu nazwać, nie tylko zabrzmiał w pełni, ale się z d a r z y ł.

Ktoś może oczywiście złośliwie zapytać, czy dla tych kilku minut konieczne były wcześniejsze dwie godziny palimpsestowej kompozycji. Na co ja oczywiście odpowiem, że tak i że jak najbardziej warto przejść przez ten sen, który niekiedy staje się dręczącym koszmarem, by przeżyć coś tak czystego i jasnego jak Leśmianowe zaklinanie „niczego". Więcej jeszcze powiem: takie chwile zdarzają nam się tak rzadko, że warto dla nich podjąć jeszcze większy wysiłek. Niektórzy – też uważani za dziwaków – wspinają się dla nich na niebotyczne i niebezpieczne szczyty, więc przesiedzenie dwóch godzin w teatrze ↦

↦ doprawdy jest przy ich trudach niczym.

W przypadku „Boskiej komedii" jest jeszcze inaczej. Wprawdzie na scenie stoi biała góra, część – jak zawsze niesamowitej – instalacji scenicznej Aleksandry Wasilkowskiej, ale zasadą dramaturgiczną tego przedstawienia nie jest – znów w demonstracyjnej odmienności od oryginału – wertykalność, lecz cykliczność. Po swoistym prologu, jaki stanowi „Skończyć z sądem bożym" Antonina Artauda, hipnotyzująco mówionym przez Sandrę Korzeniak, rusza obrotówka, sprawiająca, że sceniczny szczyt będzie się kręcił aż do końca. Gdy Dante (Julian Świeżewski) i Wergili (Paweł Smagała) już się na niego wdrapią, okazuje się, że zamiast linearnego wznoszenia się ku górnym sferom, będziemy się wręcz dosłownie kręcić w kółko, z piekłem po jednej, a czyśćcem i rajem po drugiej stronie białej góry.

W ten sposób Garbaczewski i raper Koza, który współpracował z nim jako dramaturg, przekreślają podstawową figurę chrześcijańskiego mitu Zachodu. Zamiast wznoszenia się – uwięzienie w zamkniętym kręgu. Można by tu odwoływać się do dalekowschodnich wyobrażeń religijnych, ale nie wydaje się to konieczne, bo z tego kolistego więzienia wydobywa się wołanie zaskakująco proste i zarazem podstawowe: o miłość, przewodnictwo, wyzwolenie, a może nawet – tak to odczuwam – o Boga. Jednym słowem: o wszystko to, co w poemacie Dantego uosabiała Beatrycze.

Gdy w ostatnich scenach Mamadou Góo Bâ coraz bardziej rozpaczliwie chrypi „Ne me quitte pas" Jacques'a Brela, jej nieobecność zaczyna być odczuwana szczególnie mocno, ale zarazem zostaje postawiona pod zaskakującym znakiem zapytania. Bo skoro tak bardzo prosi się, by nie odchodziła, to może właśnie – jak w dantejskim przecież wierszu Lechonia – „jest tylko Beatrycze", a nie ma wszystkiego tego, co na scenie widać: „ziemi, nieba, otchłani i piekła"?

Szczyt przestaje się kręcić. Aktorzy wychodzą do oklasków.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Pejzaże we mgle

ANITA PIOTROWSKA

Kiedy wszystko spowija gęsta aura, zacierają się granice między ziemią i niebem, a według lokalnych wierzeń również między żywymi i umarłymi.

Pracą żałoby nazywają psychologowie złożony proces przejścia przez obezwładniające poczucie straty. Ale jak tu opłakiwać stratę i zmierzać do pogodzenia się z nią, kiedy okazuje się, że osoba opłakiwana była kimś innym, niż wydawała się przez całe życie? Na dużym ekranie podobną historię opowiadał nam już choćby Alexander Payne w „Spadkobiercach" (2011). Lepiej jednak niż hawajskie wyspy szczęśliwe oddaje wspomniany wyżej dylemat surowa sceneria islandzkich Fiordów Wschodnich. A obdarzony szorstkimi rysami Ingvar Eggert Sigurðsson o wiele bardziej niż George Clooney sprawdza się w roli wdowca przygniecionego podwójną żałobą.

W filmie „Biały, biały dzień" pejzaż staje się zresztą jednym z głównych bohaterów. Kiedy wszystko spowija gęsta mgła, zacierają się granice między ziemią i niebem, a według lokalnych wierzeń również między żywymi i umarłymi, o czym informuje nas filmowy prolog. Wypadek samochodowy na pustej drodze w taki „biały, biały dzień" wygląda niczym materiał z kasety VHS, nagrany bez cięć i odtwarzany obsesyjnie w czyjejś głowie. Zanim rozpocznie się właściwa akcja, nieruchoma kamera rejestruje przez kilka minut jeszcze inny pejzaż – obraz domostwa w szczerym polu. To raczej budynek gospodarczy, który w kolejnych odsłonach, przy zmieniających się porach roku i dnia czy w różnych warunkach atmosferycznych, zaczyna powolutku przekształcać się w dom mieszkalny. Właśnie w taki sposób zafascynowany fotografią młody reżyser Hlynur Pálmason filmuje upływ czasu. Właśnie tak – pracami budowlanymi, które zdają się nie mieć końca – główny bohater, były policjant o imieniu Ingimundur, wypełnia swój czas żałoby. Albowiem przyszłości nie ma, jest tylko ścięte stuporem tu i teraz oraz wyobrażone kiedyś. To zawieszenie zostaje wyostrzone jeszcze bardziej przez „analogowy" wygląd filmu, nakręconego staromodnie na taśmie 35 milimetrów. Pełno w nim także wewnętrznych ekra-

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Biały, biały dzień”

nów, które monitorują spokojne życie islandzkiej prowincji, choć nie są w stanie dostrzec ukrytego pod powierzchnią szaleństwa.

Ów mgielny aerozol, jakim spryskany został prawie każdy kadr z filmu Pálmasona, zakłóca ostrość widzenia nie tylko na drodze. Porządkując pamiątki po zmarłej żonie, Ingimundur odkrywa, że miała ona swoje drugie życie. Odtąd nic – ani remont domu, ani opieka nad ukochaną wnuczką, ani kumpelskie posiady – nie będą już tym samym. Mgliste bielmo zaczyna dyskretnie zniekształcać rzeczywistość. Nawet dziecięca audycja w telewizji przemienia się w upiorny, mówiący aluzjami spektakl. Opowiadana przez dziadka bajka na dobranoc przybiera postać cmentarnej makabreski. Reżyser, który w „Białym, białym dniu” powraca w rodzinne strony (debiutanckich „Zimowych braci” z 2017 r. nakręcił w Danii), pokazuje też ich zbrutalizowane realia. Scena, w której ośmioletnia dziewczynka plaśnięciem o stół dobija rybę, wywołując męski aplauz, wiele mówi o tym świecie. I o wzorcach kolczastej męskości, która nie wierzy łzom, bywa jednak bardzo podatna na zranienia.

Ze swym powściągliwym i zarazem jakże cielesnym aktorstwem Sigurðsson świetnie odnajduje się w „emocjonalnym kryminale”, jak nazywa film sam reżyser. Jego bohater, zasupłany w swoim bólu, zazdrości i gniewie, próbuje na gwałt przepracować drugą żałobę – po utracie swoich wyobrażeń, zanim jeszcze zdąży opłakać żonę w jej realnym kształcie. Co istotne, twórcy potrafią opowiadać o tym bardzo zdawkowo, za pomocą półsłówek czy półobrazów, zredukowanych często do drobnego szczegółu. Zwykłe przedmioty, przydrożne kamienie, fragmenty rozbitego auta czy plamy rozlanego mleka, nie mówiąc o świdrującej pustce za oknem, żyją w „Białym, białym dniu” własnym życiem i nabierają tajemniczego ciężaru. Przed obiektywem Marii von Hausswolff układają się na kształt wanitatywnych martwych natur, to znów oznaczonych numerkami obiektów z policyjnego śledztwa. Bo taki właśnie jest ten film – na granicy codziennego banału i czystej metafizyki, pomiędzy kinem sensacyjnym i historią o duchach.

Pálmason lubi bowiem swego widza zwodzić. Podprowadza go np. pod sytuacje z pozoru normalne, które na skutek wybuchu stłumionych uczuć zyskują tragikomiczną puentę. Za to momenty grozy rozbraja gestem zaskakująco spokojnym. I kolejnym pytaniem: co jeszcze musi się wydarzyć, aby zdesperowany żałobnik zapłakał wreszcie nie nad swoją stratą, ale po prostu nad sobą? Gdy zimne obrazy z kamer przemysłowych i wspomniane zdjęcia operacyjne przechodzą nagle w serię nieruchomych ujęć przedstawiających bliskich Ingimudurowi ludzi, w takich chwilach film nabiera innej dynamiki. I choć musi dopełnić się sadomasochistyczny rytuał, choć poleją się krew i łzy, to dopiero dzięki nim pamięć o drogiej zmarłej może zostać odzyskana. A film o zranionym ego, męskiej zemście i zredukowanym patrzeniu wynurzy się ze swej zimnej, mglistej powłoki. ©

BIAŁY, BIAŁY DZIEŃ *(Hvítur, hvítur dagur) – reż. Hlynur Pálmason. Prod. Islandia/ /Dania/Szwecja 2019. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 6 marca.*

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM |
www.radiokrakow.pl

WARTO ZOBACZYĆ W TV [7 – 13 III]

1. Mirai

Animowany, reż. Mamoru Hosoda, Japonia 2018, Cinemax, 8 III, 20.00, 9 III, 11.25, 10 III, 20.00, 11 III, 9.55, 13 III, 21.40

Niewiele jest filmów, które mogą oglądać bez znudzenia i dorośli, i dzieci. Nominowana do Oscara japońska animacja zwyczajną życiową historię (kilkulatek nie może pogodzić się z narodzinami siostry) zamienia w podróż do krainy fantazji. Cel tej wyprawy okazuje się psychoterapeutyczny – pozwala małemu bohaterowi dorosnąć do nowej roli w rodzinnej wspólnocie.

2. Unknown, I Live With You

Opera, reż. Krystian Lada, Polska 2020, www.operavision.eu

Bezpłatny serwis internetowy ze spektaklami operowymi ma już w swojej ofercie produkcję z ostatniego festiwalu Opera Rara w Krakowie. Kompozycja Katarzyny Głowickiej powstała z inspiracji twórczością afgańskich poetek. W formie performansu opowiada o doświadczeniach kobiet żyjących i tworzących w skrajnie opresyjnych warunkach. Występuje m.in. Małgorzata Walewska.

3. McMiliony

Miniserial dokumentalny, reż. James Lee Hernandez, Brian Lazarte, USA 2020, HBO GO

W jaki sposób wyciekły 24 miliony dolarów z loterii Monopoly organizowanej w latach 90. przez sieć restauracji McDonald's? Jak agentom FBI udało się wreszcie wyśledzić ten niebywały przekręt? Przez sześć odcinków twórcy rekonstruują łańcuch nielegalnych powiązań, które umożliwiały zwycięstwo podstawionym osobom.

4. Ból i blask

Dramat, reż. Pedro Almodóvar, Hiszpania 2019, Cineman, vod.pl, player.pl

Reżyserskie opus magnum, a zarazem rozrachunek z samym sobą. Sentymentalny powrót do przeszłości i przyjacielskie spotkanie ze swą filmową rodziną. I do tego jeszcze Antonio Banderas przebrany za twórcę „Wszystko o mojej matce”. Czegóż chcieć więcej?

JAN

Klata: *Nowe kadry patriotyzmu*

Jak śpiewał swego czasu militarysta Maciej Maleńczuk: „Chcesz zmienić ten świat, zacznij od siebie". Architekt dobrej zmiany Czesław Bielecki potraktował owe słowa poważnie, i wygrał przetarg na poprawianie własnego projektu Muzeum Bitwy Warszawskiej. Inaczej nie byłoby priorytetowego muzeum na czas, na rocznicę, i to setną. Nie spełniłyby się wieloletnie, solennie grzmiące zapowiedzi najwyższych czynników rządowych, ministra Macierewicza i ministra Błaszczaka. Mogłoby dojść do kompromitacji na jubileuszową skalę, a przecież nie po to pod Ossowem w majestacie mazowieckiego krajobrazu obroniliśmy Europę i pogoniliśmy bolszewika, żeby teraz potknąć się o własną łopatę, co to jeszcze nie wbita, a przecież ma być amfiteatr „jak w Syrakuzach", tyle że pod Radzyminem.

Pracownia Bieleckiego zadeklarowała, że poprawi własne projekty! Super! Na rocznicę właśnie, aby rocznicę uczcić, i to setnie. Kiedy wpłyną poprawki, będziemy wiedzieli, że możemy zacząć świętować stulecie Bitwy Warszawskiej! Wow! Cała Polska odpali fajerwerki, zagrzmią saluty, kto może, zaprezentuje broń, nad Wisłą znów stanie się cud: wpłynęły, wreszcie wpłynęły poprawki, można wbijać łopatę, co tam łopatę – bojowy szpadel! Minister obrony narodowej uroni męską łzę wzruszenia, a może i sam premier powie: „Znów dotrzymaliśmy słowa". Miała być rocznica? Jest rocznica. Precz z imposybilizmem postkomuny.

Popatrzmy na poprawkowy przetarg ogłoszony przez instytucję wojskową. Trzeba skrócić maszty zwycięstwa Bieleckiego o 1/3, a budynki muzeum Bieleckiego zredukować o niemal połowę. Zgłosiły się dwie firmy, droższa i tańsza. Ta, która była tańsza, wygrała, ale została utrącona z powodów formalnych, i tak się złożyło, że na placu boju została firma Czesława Bieleckiego. Nie wątpię, że tryumfowała uczciwie, bo z kim miała przegrać, skoro nikt już nie został? Najwyżej z samą sobą, ale przecież właśnie dlatego wygrała. 3,4 mln PLN z kasy MON daje nadzieję na lepsze jutro.

Oddajmy głos architektowi autopoprawek odważnie zapowiadającemu, co pokaże: „Pokażemy sens odważnego patriotyzmu. W nowym kadrze zobaczymy historię Polski". Errata: nie tyle w nowym kadrze, co w nowych kadrach, przecież kadry są najważniejsze, zwłaszcza odważnie patriotyczne, zwycięskie w przetargach. Jak powiedział militarysta Mahatma Gandhi: „*Be part of the change you want to see*". W przewale na polski: „Teraz k... my". ©

Lektor: *Opowieść, która jest życiem*

▪ *Piotr Morgenbesser* **ADELE**
Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2020, ss. 38.

„Z rękopisów" – nowa seria Austerii, która wystartowała pod koniec minionego roku, niewielkie tomiki z esejami i miniaturami prozatorskimi, w przezroczystym niemal opracowaniu graficznym Marianny Cieleckiej, zapowiada się znakomicie: niezawodny Adam Wodnicki („Szuadit", „Duende", „Tezeusz K."), krakowskie obrazki Agnieszki Taborskiej, rewelacyjne „Wodospady" Amerykanina Eliota Weinbergera, będące gorzkim pożegnaniem XX wieku. Zacznę jednak od książki mniej oczywistej. Na niespełna trzydziestu stronach druku „Adele" Piotra Morgenbessera znajdziemy historię domagającą się znacznie rozleglejszej przestrzeni. Historię tak gęstą, że starczyłaby na rozlewną epicką księgę. A równocześnie ascetyczna powściągliwość przydaje jej mocy. Bo autor-narrator (czujemy to od pierwszej strony!) wciela się w opowieść, która naznaczyła jego własne życie. I niczego nie wymyśla, co najwyżej próbuje czasem domysłem uzupełnić miejsca puste i białe plamy, skleić rwące się wątki.

Kim jest Adele? To babka narratora, urodzona w roku 1911 w Galicji, w „modelowym sztetlu". Jak ktoś się postara, znajdzie owo „miasteczko, którego nazwa brzmi jak smaczne śniadanie", gdzieś pomiędzy Rajsze, Jassel i Krossen (co te nazwy znaczą – sami sprawdźcie). Mieszka tam tylko część licznej żydowskiej rodziny, której gałęzie bardzo się od siebie różnią. „Pierwsza, mocno zasymilowana, składa się głównie z bogatych, zarozumiałych prawników, największych snobów Wiednia i Krakowa. Gałąź druga, najbardziej znana, to lwowscy intelektualiści i skandaliści oraz uroczy degeneraci. (...) Na ich tle podkarpacka gałąź trzecia jawi się niczym zacofane, zabobonne pospólstwo z prowincji, które wyrabia terpentynę, zapałki i cuchnący dziegieć, skupuje po wsiach szkapy i szmaty...". Możemy się domyślać, kim jest lwowska ciotka-filozofka, osiadła po wojnie w Krakowie, a kim biseksualna diwa, „rzekoma kochanka wielkiej powieściopisarki". Nie będę jednak streszczał wojennych losów bohaterek ani przywoływał epizodów tak mrocznych, że trudno o nich mówić – jak dzieje ciotki Ruchli. Nie będę też komentował dzielności Adele, która po utracie synków (oddanych w dobre katolickie ręce i zamordowanych) postanawia mimo wszystko żyć – choćby dla swojej siostry (która wkrótce też umrze, na tyfus). No i nie spalę finału, który tłumaczy emocjonalną temperaturę tej prozy. Prozy naprawdę wybitnej. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Braki

Sześćdziesiąt pięć. A może siedemdziesiąt. Różne są granice wieku, które z szumu rozmaitych, nie zawsze zgodnych ze sobą informacji można wydobyć jako tę bezpieczną barierę, poniżej której licho się człowieka nie ima. To najnowsze licho, o nazwie jak szyfr, kryptonim, kojarzącej się raczej z techniczną zagwozdką, a nie huśtawką życia i śmierci. No ale już dawno medycyna przestała mówić do nas językiem może tępym i nieścisłym, ale jednak ludzkim – puls, krew, ropa, mdłości, obrzęk, gorączka, zgaga, zgorzel, zgon.

Władze Lombardii poprosiły właśnie osoby powyżej 65. roku życia, żeby zechciały nie ruszać się z domu przez dwa tygodnie. Z komunikatu jasno przebijał sens: oszczędźcie nam kłopotu, który wyniknie, jeśli złapiecie bakcyla i trzeba będzie was zapakować do szpitala. Miejmy przy tym w pamięci, że Lombardia to region, który pod względem stopy życiowej i zaawansowania gospodarki spokojnie może konkurować z Holandią. Ważne, żeby w tym trudnym czasie wyzbyć się stereotypu biednych i bałaganiarskich Włoch – zacofanie południa przysłania nam fakt, że północ jest jednym z wielkich ognisk cywilizacji i tego wszystkiego, co czyni nam ziemię poddaną tak totalnie, że ziemia ta powoli pęka pod ciężarem tego poddaństwa.

Oczywisty fakt, że ciało starsze zazwyczaj gorzej sobie radzi z zewnętrznymi bodźcami niż młodsze w tych samych warunkach, można obrócić w wezwanie do szczególnej troski albo powód, by szybko w sobie obudzić prawa dżungli. To mnie w tym całym zgęszczeniu zbiorowych napięć szczególnie fascynuje: jak łatwo pewna prosta medyczna zależność ułatwia nam redukcję lęku. Lęk (zrodzony z oczywistego i zrozumiałego strachu, tylko takiego, który nie ma konkretnego obiektu) jest czymś naturalnym, odruchowym, jak wdech i wydech. Ale to, czy umiemy z nim współżyć, czy raczej się z niego wyślizgujemy, miotając członkami, jakby był mokrą, śliską, obrzydliwą koszulą – to już jest jednak temat do rozmowy i oceny. Coś, co z początku wydaje się nam zagrażać, burzy pewną równowagę i oczywistości życia codziennego, w magiczny sposób zaczyna dotyczyć Innego. A że Innym okazał się nie Żyd, czarnoskóry, wieśniak, miastowy, kacerz, katolik, tylko ktoś „z naszych", jednak o pokolenie starszy... Cóż, *mors tua vita mea*, łacina brzmi podniośle, ale usłyszymy to w codziennej mowie: twoja śmierć moim życiem.

Druga rzecz, jaką śledzę uważnie, to rzecz skądinąd na co dzień bardzo mi bliska, czyli problem, ile z tego, co stanowi niewidzialną dietę współczesnego mieszczucha (niewidzialną, bo domyślną, bezwiedną), jest bezpieczne i do jakiego stopnia w sytuacji dowolnych zakłóceń. Jak donosiły ze zdumieniem różne media, Włosi wykupujący na zapas jedzenie z supermarketów brali hurtowo wszelki rodzaj makaronu – z wyjątkiem jednego, gładkich rurek, czyli *penne lisce*. Przyznam, że sam już zapomniałem o ich istnieniu, przecież prążkowane, *rigate*, lepiej łapią sos i są zatem sensowniejszym daniem. Strona internetowa głównego włoskiego miesięcznika kulinarnego ogłosiła specjalny zbiór przepisów na ten rodzaj klusek.

Ale to tylko zabawna anegdota. Mniej zabawne jest za to przejrzenie zawartości lodówki i spiżarni pod kątem tego, co z naszych przyzwyczajeń i rytuałów stołowych się ostanie w razie, gdyby przyrządzanie obiadu z przyjemnej rozrywki zamienić się miało na jakiś czas w negocjowanie z koniecznością i rynkowym brakiem. Białko, skrobia, tłuszcz, witaminy – z czego je wezmę, jak chwilowo pozrywa się łańcuch dostaw? Kozi francuski serek, słodkie bataty i awokado, śledzie holenderskie i węgierskie salami... pyk, pyk, wszystko znika jak w pewnej reklamie wyborczej. Jak długo byłbym w stanie przerabiać ziemniaki, cebulę i fasolę tak, by nie mieć poczucia, że życie straciło blask? Octu to nawet za komuny nie zabrakło, tak jak soli, ale kto próbował w ostatniej dekadzie zrobić winegreta ze spirytusowego? Da się godnie żyć bez balsamico?

Kiedyś żelaznym zapasem i alternatywną walutą spekulacyjną – czymś w rodzaju głodowego bitcoina – był w naszych szerokościach cukier. Nie do słodzenia herbaty, bynajmniej, lecz jako najcenniejszy wsad do bimbru. Dziś w naszych domach jeszcze gdzieniegdzie przetrwał *know-how*, jak zrobić chleb na zakwasie (w sumie to proste, wymaga tylko wprawy i konsekwencji). Sztuka destylacji, jak sądzę, zanikła już całkowicie poza paroma enklawami na ścianie wschodniej. A może się mylę i tkwi uśpiona tuż pod powierzchnią wypolerowanej nowoczesności, obok lęków, które w jedną noc zamieniają nas w stado, porzucające w trakcie ucieczki stare osobniki w środku lasu? ©℗

ADRIANO BARIOLI / ADOBE STOCK

Co zatem radzą mądre głowy, jeśli jedyna paczka makaronu na półce to gładkie rurki? Zrobić je z jak najbardziej gęstym, lepkim, kremowym sosem – ot, choćby quattro fromaggi (kanoniczna liczba czterech serów się nie zmienia, ale jakie to sery, to już kwestia wyboru – albo tego, co zostało nam w sklepie). Tu w wersji cięższej, zapiekanej, w sam raz na wilgotny chłód. Kroimy do dużego garnka na drobną kostkę po ok. 50 g ementalera, gorgonzoli (albo innego dobrego sera z niebieską pleśnią) oraz sera taleggio albo fontina, albo podobnego sera o dość kremowej konsystencji (np. francuski comte). Przygotujemy beszamel z pół litra mleka i 50 g masła i 50 mąki, soli i pieprzu. Gotujemy rurki al dente (400 g dla 4 osób), przerzucamy do garnka z serami, intensywnie mieszamy, wlewamy w to ciepły beszamel, posypujemy garścią tartego parmezanu, przekładamy do żaroodpornego naczynia, w którym zapieczemy to cudo w 200 stopniach przez kilkanaście minut.

GATUNEK LUDZKI

W pięć lat opłynął Ziemię. Wyruszył w rejs jako geolog, ale późnym plonem tej wyprawy była jego teoria, która zrewolucjonizowała wiedzę o pochodzeniu człowieka.

ŁUKASZ KWIATEK

Najsłynniejsza wyprawa naukowa świata – przynajmniej do czasu lotu na Księżyc – opóźniła się o jeden dzień z powodu pijaństwa załogi. HMS „Beagle" już kilka tygodni wcześniej zaliczył dwa falstarty i musiał zawracać do portu w Plymouth ze względu na załamanie pogody. Drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia 1831 r. morze nareszcie było spokojne, ale kapitan Robert FitzRoy postanowił najpierw ukarać najbardziej niezdyscyplinowanych marynarzy. Kilku wychłostano – odmierzono im po 30–40 razów – i zakuto w kajdany na kilka godzin. Dopiero 27 grudnia „Beagle" podniósł kotwicę i postawił żagle.

Niespełna 23-letniego Karola Darwina „dręczyły smutne myśli" z powodu losu „tak bezmyślnych istot, jakimi są marynarze", jak zanotował w pamiętniku w pierwszym dniu wyprawy. Wkrótce poczuł się jednak znacznie gorzej – choroba morska zwaliła go z nóg na wiele dni.

Cierpiał podwójnie, ponieważ wsiadał na pokład z postanowieniem przeznaczenia każdej wolnej chwili na naukę. Zamierzał ćwiczyć się we wszystkich dziedzinach „historii naturalnej", a także francuskim, hiszpańskim, matematyce i klasykach (lekturę Nowego Testamentu po grecku zostawiał na niedzielę). Wszystko po to, by nadrobić czas, jaki zmarnował na Uniwersytecie w Cambridge. On i jego kompani wiedli wówczas zwyczajne życie studenckie, „pili za dużo, podśpiewywali wesoło i grali w karty" – jak przyznał w przygotowanej pod koniec życia autobiografii.

Czytanie na statku zwykle w ogóle nie wchodziło w grę, na szczęście nawet w najgorszych dla siebie dniach Darwin był w stanie zanotować w diariuszu kilka zdań. Na podstawie tych zapisków krótko po powrocie z wyprawy przygotował książkę, najbardziej znaną pod tytułem „Podróż na okręcie Beagle" (niedawno ukazała się po polsku w Marginesach, w przekładzie Kazimierza Witalisa Szarskiego), która przyniosła mu szerokie uznanie. Niemal pięcioletnia wyprawa dookoła świata naprowadziła go na trop koncepcji ewolucji gatunków drogą naturalnej selekcji, a już w tej pierwszej książce widać zalążki tej idei. Nad jej dopracowaniem Darwin będzie jednak jeszcze pracował ponad 20 lat, zanim zdecyduje się ogłosić ją drukiem.

DOMENA PUBLICZNA

Karol Darwin na portrecie George'a Richmonda, 1840 r.

Guz Czcigodności

Początkowo studiował medycynę w Edynburgu, ale porzucił ją po dwóch latach. Jego ojciec bał się, żeby nie został „rozpróżniaczonym sportowcem", wysłał go więc do Cambridge. Tam Karol Darwin zaczął kształcić się na pastora. Być może miał pewne predyspozycje do stanu duchownego. Gdy już zdobył światowy rozgłos, niemieccy frenolodzy odbyli publiczną debatę nad kształtem jego czaszki. Dla tej pseudo-

nauki, jaką była frenologia, była to podstawa do wnioskowania o cechach osobowości człowieka. U Darwina stwierdzono rozrośnięty „guz Czcigodności" – podobno wystarczyłoby jej nawet dla dziesięciu księży.

Inna jego cecha fizyczna omal nie przekreśliła szansy na udział w wyprawie „Beagle'a". W Cambridge jego mentorem został profesor botaniki John Stevens Henslow. Namówił Darwina, by zainteresował się geologią, a po zakończonych studiach wystarał się dla niego o miejsce na „Beagle'u".

Kapitan FitzRoy, który poszukiwał właśnie dodatkowego przyrodnika na swoją wyprawę, wyznawał kolejną dziwaczną teorię pseudonaukową – fizjonomikę. Tak jak frenologia próbowała odczytać cechy umysłu człowieka z kształtu jego czaszki, tak fizjonomika wnioskowała o tym samym na podstawie wyglądu twarzy. Kapitanowi nie przypadł do gustu nos Darwina – obawiał się, że zwiastuje on braki w energii i stanowczości. Wsparcie Henslowa jednak przeważyło. Sam FitzRoy miał być potem bardzo zadowolony, że nos Darwina w istocie fałszywie o nim zaświadczył.

HMS „Beagle" był z konstrukcji okrętem wojennym (dwumasztowym, wyposażonym w dziesięć dział), ale brał udział wyłącznie w misjach badawczych. W tych czasach pływało po morzach sporo takich jednostek. Udział w wyprawie był przepustką do kariery naukowej, przynajmniej w dziedzinach historii naturalnej, jako że podczas podróży najłatwiej było o oryginalne odkrycie.

Na pokładzie „Beagle'a" znajdowało się ponad 70 osób. Poza Darwinem było wśród nich jeszcze kilku badaczy. Najważniejszym był sam kapitan, który opracowywał raporty naukowe z wyprawy, a także osobiście dokonywał rozmaitych pomiarów. Około połowy czasu całej wyprawy statek spędził na morzu, resztę w portach. Sam Darwin podróżował po lądzie znacznie więcej.

Nie rozstawał się z młotkiem geologicznym i strzelbą, oba te przyrządy służyły mu do zbierania okazów – skał, zwierząt i skamieniałości. Zdobiły one potem rozmaite muzea. Były

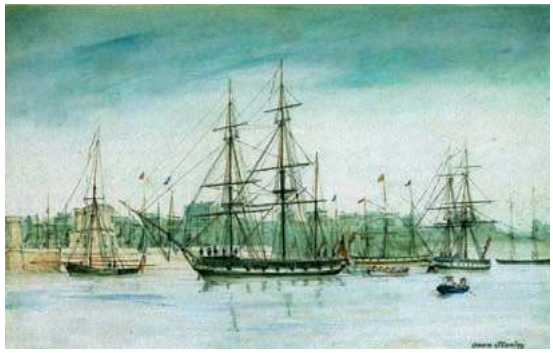

DOMENA PUBLICZNA

HMS „Beagle" na akwareli Owena Stanleya z 1841 r.

wśród nich najróżniejsze cuda natury – kości mastodonta, tropikalne ptaki, chrząszcze, pająki i żaby, m.in. jedna osobliwej urody, niestety już wcześniej sklasyfikowana, którą miał ochotę nazwać *diabolicus* – „gdyż jest to gad godny, by szeptał do ucha Ewie". Nawet w przypadku większych zwierząt nie zawsze potrzebował broni palnej. Pewnego lisa, który zapatrzył się na geologów przy pracy, zaskoczył uderzeniem młotkiem.

Najbardziej niezwykłą grupę pasażerów „Beagle'a" stanowiła trójka rodzimych mieszkańców Ziemi Ognistej: Jemmy Button, York Minster i Fuegia Basket (takie imiona nadano im już na statku). Trafili na „Beagle'a" kilka lat wcześniej, podczas jego pierwszej wyprawy badawczej. FitzRoy uprowadził ich, by nauczyć języka angielskiego i „ucywilizować". W czasie drugiej wyprawy „Beagle'a" – tej, w której brał udział Darwin – zamierzał odstawić ich w rodzinne strony.

Była to prywatna inicjatywa kapitana. Na swoich „gości" wydał znaczną sumę 1500 funtów z własnej kieszeni (budowa „Beagle'a" kosztowała około pięciokrotnie więcej), nie licząc perłowego guzika, za który wykupił z niewoli Buttona. FitzRoy zadbał o to, by cała trójka została zaszczepiona, zorganizował im nauczycieli oraz spotkania z brytyjskimi uczonymi, a nawet królem Williamem IV. Nie wszystko poszło jednak dokładnie tak, jak to kapitan zaplanował. „Beagle" dotarł w lutym 1834 r. do Ziemi Ognistej na południu dzisiejszej Argentyny i Chile, a Jemmy Button odnalazł matkę i braci – i dołączył do nich, mimo raczej chłodnego przyjęcia. W ich wiosce osiedlili się także Fuegia i York, gdyż kapitan uznał, że poszukiwanie ich rodzimych plemion byłoby zbyt ryzykowne. Jednak w okresie spędzonym w anglojęzycznym świecie Jemmy Button w większości zapomniał ojczystej mowy. Nie było mu łatwo poukładać sobie na nowo stosunki z rodakami.

Luki w boskim planie

Jako początkujący geolog Darwin zainteresował się nowością wydawniczą – książką „Principles of Geology" Charlesa Lyella, którą zabrał na statek. Odegrała ona potem szczególną rolę w narodzinach teorii ewolucji, ponieważ wyrobiła w Darwinie przekonanie, że o procesach przyrodniczych należy myśleć w bardzo długich – geologicznych – skalach czasu.

Lyell krytykował rozwijaną zwłaszcza przez francuskich przyrodników tzw. teorię katastrof. Według niej spotykane na Ziemi formacje geologiczne – wszystkie skały i gleby, a także sposób ich rozmieszczenia – miałyby być efektem szalejących w przeszłości gwałtownych zjawisk – wulkanizmu, globalnych powodzi czy uderzeń meteorytów. Lyell nie przeczył oczywiście, że takie zjawiska zdarzały się okazjonalnie i miały wpływ na ukształtowanie terenu. Nie wierzył jednak w epokę katastrof. Sądził, że to raczej procesy działające nieustannie – takie jak erozja czy sedymentacja – w największym stopniu odpowiadają za ukształtowanie powierzchni Ziemi. Zachodziły one stopniowo i wymagały bardzo długiego czasu.

Spór „katastrofistów" z „uniformitarystami" – jak nazywano pogląd Lyella – był głośny, ponieważ geologia przeżywała swój złoty wiek, a jej ustalenia rzutowały na całą dziedzinę historii naturalnej. Jednym z najważniejszych problemów nauki było wówczas wyjaśnienie, co takiego przydarzyło się setkom gatunków, w tym takim olbrzymom jak megalozaury, których skamieniałości odkrywano w wielu miejscach na świecie. Kilkadziesiąt lat wcześniej Georges Cuvier udowodnił, że skamieniałości należały do gatunków, które nie mają już żywych przedstawicieli. A globalne katastrofy wydały mu się najlepszym wyjaśnieniem faktu wymarcia tych stworzeń. Spór rodził także napięcia ↦

teologiczne. Z jednej strony katastrofizm inspirowany był biblijnym mitem o potopie. Z drugiej części przyrodników nie mieściło się w głowach, że Bóg mógłby chcieć unicestwiać tak wielką liczbę gatunków w wywołanych przez siebie katastrofach. Czy nie oznaczałoby to luki w Jego doskonałym stwórczym planie?

Na tropie doboru

Jeszcze sto lat wcześniej, zanotował pewnego dnia z satysfakcją Darwin, większość ludzi zadowoliłaby się wyjaśnieniem, że świat wygląda tak, jak wygląda, ponieważ w takiej właśnie postaci został stworzony. XVIII- i XIX-wieczne postępy nauki, odkrycia rozmaitych procesów naturalnych, prowadzących do stopniowych zmian ekologicznych czy geologicznych, odbierały jednak Stwórcy przynajmniej część zasług.

Darwin zdawał sobie sprawę ze stopniowego podnoszenia się rozmaitych lądów, dlatego nie dziwił go widok skamieniałości morskich skorupiaków – i powstałych z nich skał wapiennych – odnajdywanych na wyżynach czy w górach. Największym jego ówczesnym osiągnięciem było opisanie dokładnych mechanizmów tworzenia się wysp koralowych, które przy okazji odarł nieco z mitu. „Ów często powtarzany opis – pisał – jak to zrazu wyniosłe palmy i inne tropikalne drzewa, potem ptaki, a wreszcie człowiek biorą kolejno w posiadanie wyspy koralowe w miarę ich tworzenia się na Pacyfiku, nie jest ścisły. Obawiam się, że fakt, iż pierwszymi mieszkańcami nowo powstałych wysp oceanicznych były prawdopodobnie owady pasożytnicze i owady żywiące się piórami i guanem, pozbawia poezji te historie".

Pod koniec podróży „Beagle" zatrzymał się na Wyspie Świętej Heleny. Niegdyś jej sporą część porastały gęste lasy – zniknęły one jednak po sprowadzeniu tam kóz, które rozmnożyły się i zjadły wszystkie młode drzewka. Gdy pozostałe rozsypały się ze starości – wyspa spustynniała. Razem z drzewami wyginęły chrząszcze, pozbawione leśnego schronienia i pożywienia.

Na Falklandach występowało stado koni, które wymknęły się hodowcom i z czasem zdziczały. Zmieniło się nie tylko ich zachowanie, ale także wygląd – stały się znacznie mniejsze i słabsze. Darwin przewidywał wręcz, że niedługo mogą z nich zrobić się kuce. Taki proces „degeneracji" gatunku łatwo było powiązać z trudnymi warunkami klimatycznymi panującymi na danym terenie (zresztą wcześniej na pomysł ten wpadł Francuz, hrabia de Buffon).

Rozważanie takich scenariuszy ekologicznych mogło już naprowadzić na trop doboru naturalnego i ewolucji gatunków. Dla Darwina kluczowa okazała się wizyta na archipelagu Galapagos. Wyspy te zamieszkiwały rozmaite gatunki żółwi czy ptaków, które przypominały gatunki amerykańskie, ale jednak różniły się od nich pojedynczymi cechami. Co więcej, endemiczne gatunki spotykano właściwie na każdej wyspie, choć na wszystkich panowały jednakowe warunki. Obraz ten nie pasował zbytnio do historii o stworzeniu wszystkich gatunków w gotowej postaci. Już wcześniej Darwin mówił o „spokrewnionych" gatunkach – mając na myśli ich anatomiczne podobieństwa – jednak dopiero po wizycie na Galapagos zaczęła mu w głowie świtać myśl, jaka jest faktyczna natura tego pokrewieństwa.

Kapitanowi, będącemu zwolennikiem fizjonomiki, **nie przypadł do gustu nos Darwina** – obawiał się, że zwiastuje on braki w energii i stanowczości.

Najgorszy naród świata

Większość miejsc, do których Darwin przybył, zaskakiwała go gościnnością mieszkańców – często bezinteresowną. Czasem drzwi domów otwierała przed nim aura naukowca. W Argentynie sensację wzbudzał kompas i opowieści o tym, że Ziemia jest okrągła. Niekiedy spoglądano jednak na niego podejrzliwie. W Chile, którego ekonomia opierała się na górnictwie (i pracy wolnych ludzi w nieludzkich warunkach), pewien hiszpański adwokat podejrzewał, że Darwin potajemnie szuka złóż cennych metali. Nie mógł sobie wyobrazić, by brytyjski król miał wysłać kogoś na drugi koniec świata tylko po to, by zbierał jaszczurki i odłupywał nic niewarte skały.

W różnych miejscach napotykał obyczaje „zbyt obrzydliwe, by o nich wspomnieć". Trudno sobie nawet je wyobrazić, skoro w Santa Fe zanotował, że „jeden z najmniej paskudnych zabiegów przy złamaniu kości polega na tym, że należy zabić dwa szczeniaki i rozciąwszy je, przyłożyć po obu stronach złamanej kończyny".

Urugwaj nie przypadł Darwinowi do gustu. Korupcja w kraju była gigantyczna. Naczelnik urzędu pocztowego sprzedawał fałszywe znaczki, a adwokaci otwarcie doradzali klientom, by po prostu przekupywali sędziów sądu najwyższego. Wśród mieszkańców „nieoszukanie przyjaciela przy nadarzającej się okazji uważano za słabość". Mało kto najmował się do pracy, bo o żywność było łatwo, wszyscy za to chodzili z nożami, co chwilę wybuchały więc awantury. „Ani honor, ani żadne wspaniałomyślne uczucie nie przetrzymało długiej drogi przez Atlantyk" – pisał o tym miejscu Darwin.

Ze wszystkich odwiedzonych miejsc najgorzej wspominał jednak Brazylię. W kraju kwitło niewolnictwo, a życie czarnoskórych ludzi miało dla ich właścicieli znikomą wartość. Na własne uszy słyszał Darwin jęki torturowanych niewolników czy opowieści o bezceremonialnym rozdzielaniu rodzin. Przekonał się, jak bardzo złamany był duch tych ludzi, żyjących w ciągłym lęku przed swoimi panami. Los niewolników stał się powodem jednej z wielu straszliwych kłótni z FitzRoyem, z którym Darwin współdzielił na statku kajutę. Kapitan – człowiek o „wielu cechach szlachetnych", ale równocześnie „o wysoce nieszczęśliwym usposobieniu" – był przekonany, że niewolnicy wiodą w istocie całkiem znośne życie.

Z niezrozumieniem spotykały się także refleksje Darwina dotyczące losu Indian w Argentynie. Był to niespokojny czas dla tego kraju: miasta przeżywały „śmiechu warte rewolucje" nawet kilkanaście razy do roku, ale śmiertelnie poważna była wojna z okolicznymi plemionami, które nie chciały się podporządkować kolonizatorom. Ich członków wybijano niemal do nogi – nie oszczędzano nawet kobiet, jeśli wyglądały przynajmniej na 20 lat. „Cóż innego można zrobić? Oni tak się mnożą!" – przekonywał pewien Hiszpan.

Ład Nowego Świata wykuwał się powoli. Nie pomagało mu to, że znaczna część mieszkańców – po obu stronach Pacyfiku – wywodziła się z najcięższych przestępców odsy-

CHRIS J. RATCLIFFE / GETTY IMAGES

Dla Darwina kluczowa okazała się wizyta na archipelagu Galapagos. Wyspy te zamieszkiwały rozmaite gatunki żółwi czy ptaków, które przypominały gatunki amerykańskie, ale jednak różniły się od nich pojedynczymi cechami. Na zdjęciu: targ rybny w Puerto Ayora w Santa Cruz, Galapagos, styczeń 2019 r.

łanych z Europy. Wśród nich była m.in. pewna staruszka, donna Clara, która niegdyś wznieciła bunt na statku i własnoręcznie zamordowała kapitana. Potem wyszła za mąż i odziedziczyła w Buenos Aires wielki majątek. Powtarzała najczęściej: „Wszystkich bym powiesiła, mój panie, wszystkich bym zabiła" – i sprawiała wrażenie, jak zanotował Darwin, że „wolałaby to wykonać, niż mówić".

Stopnie cywilizacji

Jednak bardziej niż kolonizatorzy interesowali Darwina autochtoni. W „Podróży" klasyfikował napotykane ludy na kolejnych szczeblach rozwoju cywilizacyjnego. Najniżej znajdowali się rdzenni mieszkańcy Ziemi Ognistej – w oczach Darwina niemal pozbawieni ludzkiego rozumu, a przynajmniej jego produktów. Na drugim biegunie stali mieszkańcy Tahiti. Gospodarni, zaradni i zorganizowani. Z własnej woli zdelegalizowali na wyspie alkohol, zdając sobie sprawę ze społecznych kosztów pijaństwa.

Choć Darwin nie stronił od przytyków w stronę religii chrześcijańskiej – od której przez całe życie stopniowo odchodził – doceniał jej pozytywny wpływ. Wszyscy, którzy tak bardzo krytykują działalność misjonarzy – zauważył – gdyby tylko zostali rozbitkami, modliliby się, by morze wyrzuciło ich na wyspę, na którą dotarło już chrześcijaństwo.

W połowie XIX w. niewiele było już miejsc, w których nie słyszano Ewangelii. Europejscy kolonizatorzy docierali w każdy zakątek globu. Tubylcy często mówili choć trochę po angielsku i próbowali jakoś ułożyć sobie życie z nowymi sąsiadami.

W Nowej Zelandii, gdzie podobno zdarzał się jeszcze kanibalizm, wódz jednego z plemion napadł na dom angielskiego kolonisty, którego żona leżała w połogu. Wodzowie innych plemion uznali to za szczególny występek i sami postanowili, by w ramach rekompensaty majątek przestępcy przekazać brytyjskiej koronie. Z kolei świadectwem – jednej z najbardziej błahych – niegodziwości, których dopuszczali się kolonizatorzy na lokalnych mieszkańcach, był szczaw, który szeroko rozsiał się po Nowej Zelandii. „Na zawsze pozostanie jako dowód łajdactwa pewnego Anglika, który sprzedał jego nasiona jako nasiona tabaki".

Trudno doprawdy zgodzić się z Darwinem, że różnica między człowiekiem „cywilizowanym" a „dzikim" jest jeszcze większa niż różnica między dzikim a udomowionym zwierzęciem.

„Beagle" dotarł do Anglii 2 października 1836 r. Wkrótce wziął udział w trzeciej wyprawie. W 1839 r. przepływał u północnego wybrzeża Australii, gdzie odkryto naturalną przystań. Budujący ją piaskowiec przypomniał załodze o pewnym młodym geologu. Miejscu nadano nazwę Port Darwin.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

RDC POLSKIE RADIO

ŁUKASZ KWIATEK będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 4 marca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

STANISŁAW

Mancewicz:
Porady literackie

Gdyby nie osobliwa okazja, nie przyszłoby nam do głowy, by propagować wśród najszerszych mas czytanie książek. Zdjęliśmy z półki „Dżumę" Camusa i „Dziennik roku zarazy" Defoe, a powinniśmy dla kompletu wyjąć i „Wojnę światów" Wellsa, ale nie możemy znaleźć. Każdy inteligentny czytelnik już po brzmieniu tytułów zorientuje się, że są one bardzo na czasie. Lepiej je więc przeczytać, niźli wkłuwać się zbyt głęboko w sprawozdanie ze spotkania premiera z Gospodarzem. Udał się ów pierwszy – jak wiemy – do lokalnego znawcy wszechrzeczy po poradę, cóż oto ma czynić w razie zarazy. Roztrząsanie tego wydarzenia w kategoriach pozaliterackich nie ma oczywiście sensu. Popatrzmy, że to spotkanie i jego okoliczności to czysta literatura, to wątek mieszczący się w każdym schemacie fabularnym, każdej opowieści katastroficznej. Zresztą wszystko, co się teraz dzieje, cały okrywający nas – za przeproszeniem – całun informacyjny i nastrojowy jest żywcem wyjęty z tego schematu, wraz z wokabularzem. W mediach dzisiejszych – popatrzmy – słowo „scenariusz" gra rolę główną, najczęściej w parze z kolorem, a jest to kolor „czarny" – ulubiony przez media każdego nurtu. Słuszne to i piękne, dla literatury naturalnie.

W książkach, co wie każde dziecko, bardzo ważne są zdania pierwsze, jakże silnie działające na centralny układ nerwowy czytelnika. Wie o tym naturalnie każdy fachowiec. Albert Camus twórczo rozwinął tę zasadę. „Dżumę" zaczął kilkoma nieco usypiającymi stroniczkami, by niebawem łupnąć w czytelnika tymi słowy: „Rankiem 16 kwietnia doktor Bernard Rieux wyszedł ze swego gabinetu i pośrodku podestu zawadził nogą o martwego szczura". Zdechły szczur – popatrzmy – to kadr szalenie prosty, rzec można, że autor za jego pomocą trąca nogą ziewającego czytelnika. Skutecznie. Nawiasem, „Dżuma" czytana w szkole nie miała jednak żadnego powabu, kazano nam się zastanawiać nad abstrakcją kondycji ludzkości, czynić jałowe charakterystyki postaci, słowem: nie robiliśmy nic praktycznego. Tymczasem groza, owo uczucie wjeżdżające do głowy zawsze najprędzej, uznawana była za niewartą wypracowania. Praktyczność „Dżumy" jest dziś oczywista. Gdy czyta się ją tu i teraz, wreszcie coś gra, a praktyczny wymiar tej wybitnej przecież książki stał się z nagła instrukcją obsługi.

Zgoła prościej jest z „Dziennikiem roku zarazy", który pisany jest ściśle wedle reguł i językiem, które żadnej głowie nie powinny sprawić problemu. Dziennik zaczyna się słowami takimi: „Było to jakoś na początku września 1664 roku, kiedy, tak jak inni moi sąsiedzi, usłyszałem w potocznej rozmowie, że zaraza powróciła do Holandii (...) dokąd, jak powiadają, została zawleczona, zdaniem jednych – z Włoch...". Też ładnie. Coś, co wydawałoby się stare, okazuje się całkiem młode, na przykład smak urzędowych ogłoszeń. Weźmy pierwsze z brzegu, bardzo podobne do tych, o jakie apeluje dziś do władz cech tutejszych medyków: „Zarządza się, by wszelkie widowiska, jak szczucie niedźwiedzi, sztuki kuglarskie, śpiewanie ballad, strzelanie do tarcz i tym podobne zbiegowiska, były całkowicie zakazane, osoby zaś przekraczające to zarządzenie zostały surowo ukarane, do czego ma prawo każdy radny pełniący służbę". Jest więc w „Dzienniku" – jako się rzekło – sporo solidnego konkretu, którego nam nieco brakuje, mimo że książkę wydano w 1722 r.

Wśród czytelników bywają różne gusta. Ktoś źle znosi prozę, zwłaszcza cudzoziemską, lubując się we frazie raczej rodzimej i rymowanej. Niechże więc taki, w czasach, w których zaiste zakazanie szczucia bądź to kuglarstwa dowolnie interpretowanego nie jest możliwe, poczyta sobie „Ojca zadżumionych" Słowackiego. Otóż wypada uprzedzić, że nie jest to lektura krzepiąca, bowiem jest rejestrem konsekwencji. ©℗

Fragmenty „Dżumy" Alberta Camusa w przekładzie Jadwigi Dmochowskiej, fragmenty „Dziennika roku zarazy" Daniela Defoe w przekładzie Joanny Guze.

BARTOSZ MINKIEWICZ

75 TYGODNIK POWSZECHNY
SUWERENNI DZIĘKI CZYTELNIKOM
+ HISTORIA
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl
Kraków 11 marca 2020 nr 1 (3) cena 12,90 zł (w tym 8% VAT)

RAPORT z przyszłości

Specjalne wydanie jubileuszowe
na 75-lecie „Tygodnika Powszechnego"

PREMIERA!
JUŻ 11 MARCA

„Raport z przyszłości" dostępny w sklepach z dobrą prasą. Więcej na powszech.net/raport

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
PROJEKT OKŁADKI: WOJTEK KWIECIEŃ-JANIKOWSKI

REKLAMA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena
Filharmonia Narodowa
Teatr Wielki Opera Narodowa
Zachęta
ORLEN
LOTTO
BMW
REGENT Warsaw Hotel
Instytut Adama Mickiewicza
Culture.pl
dwójka Polskie Radio
HEXELINE
pap
TVP Kultura
VOGUE
Rzeczpospolita
JCDecaux
STRÖER
BEETHOVEN Magazine